

**SIOSTRA CHMIELEWSKA
NA SWOIM**

**CEZARY SZEMLEY
NIWYGODNY BOHATER GETTA**

**JAK LESZEK KONARSKI
WYLANSOWAŁ KALIBABKĘ**

**FROTEX...
BYŁY TAKIE ZAKŁADY**

Fakty i mity

UKRAIŃCY W POLSCE



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

ØRGANEK

& CHÓR POLITECHNIKI MORSKIEJ W SZCZECINIE

19 MAJA 2023
KLUB STODOŁA / WARSZAWA



BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

 @KLUB.STODOLA  @KLUB.STODOLA



Niech się święci 1 Maja

Pamiętamy to hasło. Dla wielu z nas jest okazją do wspomnień. Niestety, młodzieży kojarzy się ono głównie z grillem na majówce. Podobnie jest ze świętowaniem 3 Maja. Dwie ważne, lecz dla większości ludzi tylko urzędowe daty. Nie zostały zakotwiczone w świadomości młodych Polaków. A jak nie ma emocji, to zostaje sztampa. I postawa gapia, który nie identyfikuje się z treściami i przekazem ideowym tych świąt. Mimo apeli i zaklęć większości Polaków nie chce się nawet wywiesić flagi z tej okazji. Na tle USA i wielu państw w Europie jesteśmy jakimś dziwolągiem. Zmieniają się rządy i partie, ale tego bojkotu nikomu nie udaje się odmienić. Dla prawicy, która wydaje setki milionów złotych z budżetu państwa

na niezliczone instytucje narodowe, taka postawa jest programową klęską.

Dla jednych brak narodowej flagi może być oznaką protestu wobec tej czy innej władzy. Ale w przypadku reszty jest to kliniczny objaw lenistwa. Usprawiedliwiany tym, że przecież mało kto wieś białą-czerwoną.

Skoro brakuje flag, to może chociaż uruchomimy głowy. Skorzystajmy z tego święta, by pomyśleć o milionach Polaków, których praca sprawia, że mimo zawirowań politycznych funkcjonujemy w miarę normalnie. Podziękujmy im. Na co dzień nie ma ich w programach telewizyjnych. Nie interesują się nimi media. Tym bardziej zasługują na naszą wdzięczność.

POMOŻECIE?

Minęły dwa tygodnie od mojego apelu o wspieranie PRZEGLĄDU. Już 154 osoby (stan na piątek rano) wpłaciły darowizny. Przeważają kwoty od 20 do 100 zł. Reakcja Czytelników, adresowane do mnie listy i mejle potwierdzają, że nasz tygodnik jest pismem wspólnotowym. W Polsce na palcach jednej ręki można policzyć takie tytuły. Naszym wielkim atutem są autorzy. Wybitni, z ugruntowaną pozycją naukową lub literacką, komentatorzy. I zespół redakcyjny z publicystami, którzy są w krajowej czołówce. To duża przyjemność z nimi pracować. A po reakcji Czytelników widzę, że taką opinię ma wielu, wielu z Was.

Tak wielka gromada mądrych ludzi, którzy nas czytają, jest oczywiście naszą siłą. Bardzo dziękuję za każdą wpłatę. Za

każdy gest i za wszystkie dobre słowa. Wasza postawa bardzo nas mobilizuje. Postaram się każdemu, jeśli są jakieś dane adresowe, podziękować. Jeśli przekazacie numer telefonu, chętnie zadzwonię. Trochę to potrwa, ale miło mi będzie z Państwem porozmawiać. Nie wiem, czy mogę publikować nazwiska darczyńców. Zrobimy to, jeśli ktoś wyrazi zgodę. Pytacie o darowizny rzeczowe. Tak, ale jeśli to będzie zgodne z przepisami. Dostaliśmy od Was porcję tlenu i pracujemy dalej. Jeśli nie zabraknie wsparcia, to i PRZEGLĄDU w poniedziałki nie zabraknie.

Proszę o wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



**Oferta specjalna
PRZEGLĄDU**

**MAJÓWKA Z NASZĄ
DOBĄ KSIĄŻKĄ**



-25% na **WSZYSTKO**
z kodem: **MAJ2023**
tylko do **3.05**

**UWAGA: promocja łączy się
z innymi rabatami!**

sklep.tygodnikprzeglad.pl

- książki i e-booki
- e-wydania PRZEGLĄDU i ZDANIA

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Koniec sielanki**
Ukraińcy w Polsce: fakty i mity
- 13 Początek katastrofy**
Wojna z ukraińskimi oligarchami
- 16 Młode głowy z niską samooceną**
Dzieci cierpią na depresję
- 20 Prawie jak w pałacu**
Siostra Chmielewska na swoim
- 24 Papier bije kryzys**
Izraelskie wycieczki do Polski
- 39 Wiosną stanęły zegary Froteksu**
Tekstylnego giganta żal

ZAGRANICA

- 26 Kryzysowa gra Macrona**
Ludzi nie stać na ciągłe strajkowanie
- 56 World Press Photo 2023**

OPINIE

- 30 John Gray**
Tragiczny realizm Roberta Kaplana

HISTORIA

- 32 Niewygodny bohater**
Dlaczego pomniejsza się rolę PLAN

ZDROWIE

- 36 Tępimy absurdy pseudomedyczne**
– rozmowa z Patrykiem Nowakiem

WOJSKO

- 42 Migiem, ale nie za szybko**
Koniec służby migów 29

KULTURA

- 46 W drodze człowiek rozpina skrzydła**
– rozmowa z Leną Górą
- 50 Qulturalia**
- 66 Picasso w Wiedniu**

ZWIERZĘTA

- 52 Śliczna paskuda**
Ropucha kroczy dumnie

OBSERWACJE

- 58 Jaka szkoda, że Kalibabka nie trafił do Piszczaca**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Niech się święci 1 Maja
- 19 Jan Widacki**
Mądry Polak po szkodzie?
- 29 Andrzej Romanowski**
O wymóżdzeniu
- 35 Andrzej Szahaj**
Finlandia – oddalający się ideał
- 45 Roman Kurkiewicz**
FBI, mówicie? Ci, co dopuścili do ataku na WTC?
- 51 Tomasz Jastrun**
Polonia prostytutka
- 55 Wojciech Kuczok**
Bibliografia alternatywna

46

KULTURA

W DRODZE CZŁOWIEK ROZPINA SKRZYDŁA

– rozmowa z Leną Górą



52

ZWIERZĘTA

ŚLICZNA PASKUDA

Ropucha kroczy dumnie



56

ZAGRANICA

WORLD PRESS PHOTO 2023

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK (3)



f Pomoczenie?

Trzymam za was mocno kciuki. Jestem z wami stosunkowo krótko, ale już polubiłem się z waszymi autorami. Szkoda by było zmarnować to, co wypracowaliście. Mimo że mieszkam w Warszawie, to na Białotę, żeby was kupić, trzeba podjechać na stację benzynową. Brakuje mi was w pobliskich sklepikach z prasą. Wtedy więcej osób mogłoby was kupić. A i ja nie usłyszałbym o was, gdyby nie fakt, że szukałem alternatywy do czytania i kupiłem wasz numer na próbę – i tak z wami zostałem.

Kamil Wójcik



f Kto w Polsce czuje się jak u siebie?

Z moich obserwacji wynika, że w Polsce czują się jak u siebie: obywatele Watykanu, czyli wierchuszka mafii wyznaniowej; pośledni szamani narodowej i państwowej, jedynej słusznej religii; „prawdziwi Polacy”; rodzimi naziści i faszysty; nietrzeźwi; bardzo bogaci; rodzina radia i telewizji; pisopaci; analfabeci i analfabeci funkcjonalni; osoby bez żadnego wykształcenia; klakierzy i sługusy pisopatów; Kaja G. i jej fani; kibole...

Dodałbym, że wykluczonych, wyalienowanych, zniewolonych, faktycznie pozbawionych praw człowieka i obywatela, poniżanych przez „państwo” i „partię”, pogardzanych jest znacznie więcej. Zdecydowana większość.

Piotr Krzeszewski



✉ PRZEGLĄD uzależnia

Nie wyobrażam sobie poniedziałku bez PRZEGLĄDU. Jest to rodzaj pozytywnego uzależnienia, od którego nie chcę się uwolnić. Wprowadziłam do zleceń stałych miesięczną wpłatę na rzecz Fundacji (...).

Świetny artykuł red. Marka Czarkowskiego. Nareszcie jakaś konkretna (choć skrótowa) informacja, czyje właściwie jest tzw. ukraińskie zboże. A puentą felietonu prof. Widackiego jest końcówka artykułu o Mitoraju. Na pogrzebie rzeźbiarza (2014 r. – jeszcze rządy PO-PLS) nie było przedstawiciela ani Ministerstwa Kultury, ani ambasady. Profesor ma rację – PiS z całą jego mentalnością wypracowali sobie rządzący (z naszą pomocą lub biernością) przez 30 lat.

Joanna Wdzięczna

Jak zwykle – oportuniści oraz ludzie bez honoru, bez zasad, bez wiedzy! Ci dobrze się czuli w PRL, a potem jeszcze lepiej w III RP. Stworzono takim świetne warunki do świetnego samopoczucia. Są u siebie. Jest pytanie, kto im je stworzył. Odpowiedzi brak. Oficjalnie! *Jola Czart*

Jako osoba pochodząca z byłego województwa przemyskiego rozmawiałem z wieloma ludźmi zza wschodniej granicy i mam nieodparte wrażenie, że jak u siebie czują się tu zachodni Ukraińcy w porównaniu z rosyjskojęzycznymi obywatelami Ukrainy. Nie ulega wątpliwości, że wpływ na taki stan rzeczy ma duże podobieństwo języka ukraińskiego do języka polskiego, jak również (niestety!) niechęć Polaków do języka rosyjskiego.

Damian Paweł Strączyński

Uchwała, a nie ustawa

W felietonie Tomasza Jastruna pojawił się błąd. Otóż PiS przyjęło uchwałę, a nie ustawę broniącą JP2.

Bogusław Nowak

ZDJĘCIE TYGODNIA

Peruwianka Alina Surquislla Gomez, hodowczyni alpak, w drodze na letnie pastwisko. Za fotoreportaż „Alpaqueros” Alessandro Cinque został nagrodzony w konkursie World Press Photo w kategorii Ameryka Południowa.



Przemysław Czarnek, na nieszczęście dzieci i nauczycieli ciągle minister, zapowiedział, że po wygraniu przez PiS wyborów **zlikwiduje Kartę nauczyciela**. Bilbord z tą informacją powinien stanąć we wrześnie przed każdą szkołą.

Krzysztof Pietraszkiewicz, prezes Związku Banków Polskich od 2003 r., a wcześniej dyrektor generalny, przeszedł na emeryturę. Jest współtwórcą polskiego systemu bankowego, inicjatorem wielu instytucji i rozwiązań funkcjonujących w tym sektorze. Współpracował blisko ze środowiskiem naukowym i mediami. Dzięki niemu debaty o finansach były na wysokim poziomie i każdy zainteresowany mógł dostać solidną porcję wiedzy.

537 mln euro kary (do 23 kwietnia) **musi zapłacić Polska** za brak zawieszenia kluczowych przepisów ustawy kagańcowej w sądownictwie. Placimy milion euro dziennie. **Komisja Europejska potrąciła dotychczas 360 mln euro** z przelewów innych funduszy.

Wreszcie ujawniono wyniki Narodowego Spisu Powszechnego dotyczące mniejszości narodowych i etnicznych. W 2021 r. ponad 1,3 mln obywateli Polski zadeklarowało inną identyfikację narodowo-etniczną niż polska. **Najwięcej było Ślązaków. 231,8 tys. osób zadeklarowało narodowość śląską, a dodatkowo 353,9 tys. zadeklarowało tę narodowość jako drugą.** Może teraz, gdy w Polsce osiedlają się setki tysięcy Ukraińców,

Ślązacy doczekają się decyzji o uznaniu ich za mniejszość narodową.

Izraelskim wycieczkom młodzieży rząd PiS proponuje zwiedzanie polskich muzeów. Chwalebny pomysł, gdyby nie ulokowanie na ich liście Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce i podobnego w Warszawie. Nie dość, że te muzea są paranoją, to jeszcze **młodzi Żydzi mają oglądać morderców ich rodaków.**

Światowe ceny żywności według indeksu FAO spadły o 21% w stosunku do ubiegłorocznego szczytu. A u nas?

Ceny gazu na świecie są niższe o 65% w stosunku do zeszłego roku. W konsekwencji ceny nawozów azotowych spadły o 62%. Niestety, orlenowska Polska jest poza tymi trendami.

583 mln zł przekroczył zysk netto Grupy Azoty w 2022 r. Rekordowe ceny nawozów dobijały rolników, wpłynęły na plony i fatalne nastroje na wsi.

Soltysi dostaną dodatek do emerytury w wysokości **300 zł**. Kobiety po ukończeniu 60. roku życia i mężczyźni po skończeniu 65 lat. Kwota ta ma być co roku waloryzowana.

Tylko 54% Polaków deklaruje, że ich gospodarstwa domowe mają jakieś oszczędności. 40% gospodarstw spłaca raty i pożyczki (sondaż CBOS).

Po pierwszym kwartale liderem polskiego rynku motoryzacyjnego jest Toyota, która wyprzedza Škodę, Volkswagena i Audi.

PRZEBŁYSKI

Pewien polski urzędnik

Nie ma szczęścia premier pisowskiego rządu do ambasadorów wielkich mocarstw. I nie chodzi tu bynajmniej o ambasadora Rosji. Najpierw Morawieckiego sponiewierała egzotyczna ambasador USA Georgette Mosbacher, a teraz zajął się nim Sun Linjiang. Ambasada ChRL bardzo nietypowo zareagowała na przemówienie, jakie Morawiecki wygłosił na forum Atlantic Council – napisała w oświadczeniu, że „**pewien polski urzędnik państwowy**” w czasie spotkania z przedstawicielami amerykańskiego think tanku wygłosił przemówienie, podczas którego otwarcie porównał kwestie Tajwanu i Ukrainy.

Nie pada nazwisko Morawieckiego, ale 13 kwietnia nikogo innego tam nie było. I poza nim nikt by nie opowiadał, że jeśli Ukraina przegra wojnę, to następnego dnia Chiny zaatakują Tajwan. Przecież ciągle obowiązuje doktryna, że Ukraina wygra. A więc i Tajwan jest bezpieczny.



Plama na orderze

Co trzeba zrobić, by zasłużyć na Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski? Kryteria przynajmniej w teorii są bardzo ostre. To wysokie odznaczenie przyznaje prezydent. Zdarzały się w historii decyzje kontrowersyjne. Ale pomyśl, by Krzyżem Kawalerskim uhonorować

Tomasza Duklanowskiego, jest żalosną kpinką z powagi tego orderu. Odznaczono hochsztaplera, który przegrał wiele procesów sądowych, m.in. z marszałkiem Senatu Grodzkim, postem Nitrasem, burmistrzem Myśliborza Janowiczem i burmistrzem Pyrzyc Olechem. Zniestawienie to drugie imię Duklanowskiego. A trzecie od teraz to kawaler wysokiego odznaczenia państwowego. Gdzie tu sens? Gdzie logika? Duklanowskiego nie bez powodu wyrzucono z pracy („Kurier Szczeciński” i „Życie”). Jeśli prezydent Duda odznaczył Duklanowskiego, bo brakowało mu wiedzy, to są sposoby, by ten błąd naprawić.

Gdzie są silosy Bidena?

Prezydent Biden, przemawiając w Filadelfii w czerwcu ub.r., obiecał, że na polsko-ukraińskiej granicy Amerykanie zbudują tymczasowe silosy na ukraiński ziarno. Rzecznik rządu Piotr Müller opowiadał mediom, że rząd współpracuje z amerykańskimi przyjaciółmi i uzgadnia kwestie techniczne. Może wystannicy Morawieckiego nie znają angielskiego albo obie strony są tak zarobione, że brakuje im czasu na konkrety? Na razie amerykańskie silosy to propagandowa ściema. A to, co przy granicy zbudowano, jest dziełem polskich firm paszowych.





PYTANIE TYGODNIA

Czy to prawda, że faceci gotują lepiej niż kobiety?

BARTOSZ „SNECZ” DĘBSKI,
*szeł kuchni, organizator
warsztatów kulinarnych*

Taki pogląd może wynikać z faktu, że kiedy powstawała współczesna kultura restauracyjna, na początku XX w. we Francji, mężczyźni gotowali częściej. Wynikało to jednak nie z większych umiejętności, ale z tego, że była to jeszcze cięższa fizycznie praca niż obecnie, wiążąca się m.in. z dźwiganiem żeliwnych garów. Jeśli chodzi o to, kto ma lepiej wyrobiony smak, z mojego doświadczenia wynika, że nie ma zasady, gdyż liczba osób utalentowanych pod tym względem jest wyrównana wśród obu płci. Gdybym jednak miał wskazać jedną z nich, to raczej kobiety, ale to bardzo subiektywne, bo ja gotowania nauczyłem się od mojej mamy.

MICHAŁ MARKOWICZ,
menedżer Restauracji u Milscha

Umiejętność gotowania to bardzo indywidualna sprawa, zależna nie od płci ani wieku, ale od predyspozycji

smakowych oraz doświadczenia, więc nie, to nieprawda. Bo nie ma co ukrywać, że pewnych rzeczy uczymy się dopiero z kolejnymi przygotowanymi potrawami, podróżami, wizytami w restauracjach. Nasz gust kulinarny kształtuje się przez całe życie i jest zupełnie niezależny od naszych pozostałych cech. Mówi się, że faceci lepiej gotują, bo większość zawodowców to jednak mężczyźni, co wynika z tego, że zawód jest ciężki. Gdy wziąć na to poprawkę, nie ma już podstaw, by twierdzić, że płęć ma w tym kontekście jakiegokolwiek znaczenie. Z wyczulonym smakiem niektórzy po prostu się rodzą, a inni potrafią go nabyć, próbując przeróżnych rzeczy.

MAGDA GRZEBYK,
*dziennikarka i kulturoznawczyni,
autorka bloga Krytyka Kulinarna*

To zależy, kto odpowiada na to pytanie. A nieco poważniej: wytrenowane kubki smakowe nie mają płci. Rodzimy się z podobną ich liczbą na języku i policzkach,

ale różnie je trenujemy – to zależy od tego, jak najpierw jemy w domu, w dzieciństwie, jak później rozwija się nasze zainteresowanie kuchnią, jak bardzo chcemy próbować nowych rzeczy i ile jesteśmy w stanie poświęcić dla tej pasji. A można dla niej poświęcić bardzo wiele. Gotowanie to także wiedza, znajomość technik. Sądzę, że dobre gotowanie nie ma płci. Wciąż w domach gotują głównie kobiety, a w restauracjach w dużej mierze szefami kuchni są mężczyźni, ale na szczęście siły w obu tych miejscach rozkładają się coraz bardziej równomiernie. Spotkałam w życiu zarówno fenomenalne szefowe kuchni, jak i nadzwyczajnych szefów kuchni. Płęć nigdy nie miała znaczenia, zawsze najważniejsze były pasja, wiedza, umiejętności i chęć rozwijania się.

MICHAŁ BŁASZCZAK
Czytelnik PRZEGLĄDU

Z pewnością mężczyźni gotują rzadziej. To chyba jednak nie dlatego, że robią to lepiej lub gorzej.



KONIEC SIELANKI

Wolny rynek doprowadził do tego, że obok solidarności Polaków z Ukraińcami widzimy rosnącą rywalizację obu grup

Jakub Dymek

Afera ze zbożem z Ukrainy, wzrost poparcia dla Konfederacji i seria badań opinii publicznej otworzyły w Polsce debatę, która przez ponad rok była spychana na dalszy plan. Czy Polacy „zmęczą się” pomocą Ukrainie? Czy wywołana wojną solidarność obu narodów ma granice? I czy po ponad roku rzeczywistość nowych mieszkank i mieszkańców Polski okaże się trudniejsza, niż przedstawiały to cukierkowe obrazy medialne? To część pytań, które dziś zadajemy sobie coraz głośniejsze.

Od 24 lutego 2022 r. polską granicę przekroczyło 10,7 mln mieszkańców Ukrainy. Z tych ponad 10 mln, jak podaje Biuro Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców ONZ, 1,5 mln zostało w Polsce i objęto ich ochroną tymczasową lub innymi formami pomocy dla uchodźców. Do łącznej liczby uchodźców z Ukrainy należy pewnie doliczyć tych, którzy przekroczyli granicę z Polską z innego kraju – np. przez Czechy bądź Słowację – albo z innego powodu nie mieszczą się w statystykach UNHCR. Poza tym do ogólnej liczby Ukrainek i Ukraińców w Polsce trzeba dopisać około miliona migrantów ekonomicznych, którzy zaczęli życie tutaj przed 24 lutego 2022 r. Najczęściej więc szacunki mówią, że mamy dzisiaj w kraju 2,3 mln ukraińskich współmieszkańców.

Oznacza to, że Polska zmieniła się błyskawicznie z jednego z najbardziej zamkniętych na imigrację i monoetnicznych państw w kraj z jedną z największych populacji uchodźców na świecie. Ustupujemy w tej kategorii Turcji (ponad 3,5 mln

uchodźców) czy Kolumbii, a w Europie Niemcom (ponad 2 mln) – ale w kwestii liczby osób, które znalazły schronienie przed wojną w innym kraju, jesteśmy już na tym samym pułapie, co dotychczasowi globalni liderzy rankingów humanitarnych. A to oznacza głębszą transformację, bo napływ ponad 2 mln nowych współmieszkańców ma skutki dla demografii, rynku pracy, gospodarki i relacji społecznych.

Lęk społeczny, nie kulturowy

„Najpilniejszą potrzebą w sferze publicznej jest dziś rozbrojenie, zanim wybuchnie w sposób niekontrolowany, nabrzmiały do ogromnych rozmiarów niechęci do uchodźców”, wzywał w swoich konkluzjach wydany na początku 2023 r. raport „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom” autorstwa dr. hab. Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego. „Silnie wzrósł odsetek Polaków uważających, że na pomoc (...) nas nie stać”, alarmowały wnioski sondażu sporządzonego na zlecenie Warsaw Enterprise Institute. „Na co dzień z Polakami ciężko żyć. Proszę sąsiadów, żeby się ciszej zachowywali, a ci kurwami rzucają. Mówią, wracajcie do domu”, relacjonuje wrażenia Ukraińców z Polski portal OKO.press. I dopytuje rozpaczliwie: „Polacy, czy to już koniec waszej pomocy?”.

Atmosferę paniki moralnej wokół – rzeczywistej lub podkreślonej przez media – niechęci do pomagania Ukraińcom i Ukrainie podbiły jeszcze wydarzenia przełomu marca i kwietnia 2023 r. Konfederacja, partia najbardziej niechętna pomocy Ukrainie, odbiła się w sondażach i na pewien czas uplasowała na trzecim miejscu. Chwilę później nabrały zaś rozgłosu

protesty rolników, w tym organizowane przez Agrounię. W kwietniu polscy rolnicy, po niemal roku sygnalizowania problemu, dobili się w końcu do ucha rządzących w sprawie ukraińskiego zboża zalewającego polski rynek i wymusili na nich reakcję. Rząd Zjednoczonej Prawicy tymczasowo zablokował więc import żywności z Ukrainy w ogóle – co odczytano jako kolejny znak rosnącej niechęci do Ukraińców. Te fakty w połączeniu z sondażem Ipsos dla OKO.press, który wskazywał częściowy spadek entuzjazmu wobec stałego pobytu uchodźców z Ukrainy w Polsce, napędziły kolejne alarmistyczne diagnozy.

Zdecydowana mniejszość podobnych publikacji – ukazujących się seriami od wiosny 2022 r. – niuansuje problem. Dyskurs o przyjęciu przez Polskę ponad miliona uchodźców z Ukrainy ma biegunowy charakter. Jedna z dominujących narracji mówi, że Polacy są wobec Ukraińców niezwykle gościnni i tworzą z Ukrainą wręcz jeden naród, a w przyszłości być może nawet jedno państwo. Druga – przeciwnie, podkreśla, że uchodźcy z Ukrainy spotykają się w Polsce z nienawiścią, wykluczeniem i dyskryminacją, a wzory zachowań Polaków wobec Ukraińców kreuje „propaganda Kremla”. Czyli Polacy albo są narodem „humanitarnego supermocarstwa”, albo, jeśli nie urosną do tych oczekiwań, stanowią najwyraźniej społeczeństwo nienawistników podatnych na propagandę z Moskwy.

Wśród cytowanych powyżej publikacji raport Sadury i Sierakowskiego wyróżnia się zwróceniem uwagi na konkretne problemy. „Należy mówić wprost o autentycznym zmęczeniu Polaków, o problemie ze



Ukraińskie rodziny przekraczają przejście graniczne w Medyce, 13 marca 2022 r.

wzrostem cen mieszkań i dostępem do usług publicznych. Przez to, że politycy wolą milczeć o tym, wciąż nie rozpoczęła się tak potrzebna publiczna dyskusja o rozwiązaniach”, zauważają trzej autorzy. Jednak to właśnie jest sedno sprawy, a nie jej margines.

Mamy już nawet badania, które to pokazują. W przeciwieństwie do obaw związanych z migracją z krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu lęki Polaków mają w tym wypadku w umiarkowanym stopniu charakter kulturowy i tożsamościowy, a dotyczą bardziej spraw materialnych i redystrybucji. „Wśród potencjalnych zagrożeń ze strony uchodźców z Ukrainy dla Polski wymieniane są: negatywny wpływ na rynek pracy, negatywny wpływ na polską gospodarkę/budżet państwa/wzrost inflacji oraz przestępczość. W stosunku do [badań z] kwietnia 2022 r. zmalało znaczenie ukraińskiego nacjonalizmu, ale jednocześnie częściej wymieniano postawę roszczeniową oraz inną kulturę Ukraińców”, czytamy choćby we wnioskach z badania „Społeczna percepcja uchodźców z Ukrainy, migrantów oraz działań podejmowanych przez polskie państwo” przeprowadzonego przez zespół z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych

Uniwersytetu Warszawskiego oraz Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie.

Widać więc, że obawy o „banderyzm” czy „ukrainizację Polski” albo napięcia wywołane pamięcią Wołynia i ukraińskiego nacjonalizmu z biegiem czasu ustępują lękom o sprawy materialne.

Kto zyskuje, kto traci?

Można spróbować zapytać inaczej. Nie o to, czy Polacy są otwarci na uchodźców lub czy ich wprost nienawidzą. Lepiej byłoby zapytać, kto na przyjęciu przez Polskę ponad miliona uchodźców, głównie kobiet i osób niepełnoletnich, korzysta, a kto widzi problemy. Gdzie rodzą się napięcia, a gdzie integracja przebiega szybciej. I jaki jest – aby użyć zakazanego słowa – klasowy wymiar tego problemu. Słowem, zaryzykować odpowiedź na pytanie, czy są w Polsce takie grupy i klasy społeczne, dla których trwałe osiedlenie się u nas uchodźców/migrantów z Ukrainy będzie korzystne, i takie, które postrzegają to jako ryzyko lub zagrożenie.

Już pierwsze tygodnie po 24 lutego ułożyły – przynosząc niezliczone dowody anegdotyczne – listę obaw i potencjalnych konfliktów. Internet

zalały historyjki o tym, jak Ukraińcy dostają preferencyjne miejsca w kolejce do lekarza i przedszkola, jak kupują sobie drogie mieszkania w polskich miastach, nadużywają świadczeń społecznych i gościnności polskich gospodarzy lub niebezpiecznie jeżdżą po polskich miastach swoimi (za drogimi) samochodami. Z tych luźnych, a nierzadko pewnie wymyślonych anegdot wyłania się dość spójny obraz lęków Polaków na temat negatywnych konsekwencji przyjęcia uchodźców. Wszystkie te obawy łączy tematyka usług publicznych i niewydolności polskiego państwa. Rodacy boją się, nie bez podstaw, że państwo i samorządy, które nie nadążały z zaspokajaniem zapotrzebowania na miejsca u lekarza i w przedszkolach, dostępne mieszkania i punktualny transport publiczny, kompletnie – mówiąc obrazowo – się zakorkują.

To, co media i sondaże rejestrują jako „nienawiść do uchodźców” czy „antyukraińskie fobie”, może być tak naprawdę wyrazem obaw, że kolejka po podstawowe dobra – takie jak mieszkanie, szkoła czy ochrona zdrowia – się wydłuży. Co więcej, skoro płace realne maleją, a jakość dostępnych przeciętnemu Polakowi świadczeń się nie poprawia, to może całe przedsięwzięcie pomocy Ukrainie odbywa się kosztem usług publicznych? – zastanawiają się Polacy.

Mieszkaniowy szok cenowy

Weźmy sprawę najbardziej podstawową, takie jak dach nad głową. W lutym 2022 r. rząd w kwestii przyjęcia uchodźców z Ukrainy zdecydował się postawić na polską gościnność. Co było wygodnym eufemizmem na puszczenie spraw na żywioł. Cały pomysł na zakwaterowanie milionów osób oparty był na dobrowolności i odruchu serca. I na krótką metę sprawdził się wręcz doskonale – potrzebujący znaleźli schronienie, a polskie państwo i społeczeństwo mogły sobie pogratulować. Aby zachęcić do ofiarności jak największą liczbę ludzi, rząd wprowadził też świadczenie pieniężne w wysokości do 1,2 tys. zł miesięcznie dla osób przyjmujących Ukraińców. ▶

Problemy zaczęły się nie w pierwszych tygodniach, gdy liczyła się ofiarność i spontaniczność, ale później. Świadczenie miało ten skutek, że odsunęło w czasie skokowy wzrost cen najmu mieszkań i pokoi. Dopóki Polacy mogli otrzymać środki finansowe za pomoc – której i tak pewnie by się podjęli – nie było powodu próbować na dramatycznej sytuacji zarabiać. Jednak świadczenie było po chuligańsku reformowane wstecz, tak aby ostatecznie trafiło do mniejszej liczby osób.

W tym samym czasie trwało już w najlepsze podnoszenie stóp procentowych, która to polityka przeżyła się na rosnące koszty kredytów, a te – na stawki najmu. Gdy kurek z pieniędzmi za pomaganie Ukraincom został zakręcony, ceny wynajmu mieszkań i pokoi radykalnie wzrosły. W połączeniu z powrotem studentów do dużych miast dało to szok cenowy latem 2022 r. Według analiz PKO BP w szczytowym momencie 2022 r. średnia cena wynajmu jednego pokoju dla studenta przekroczyła w dużym polskim mieście 1,5 tys. zł w bloku z wielkiej płyty, a za pokój w nowym budownictwie – nawet 2 tys. zł w Gdańsku czy we Wrocławiu i 2,3 tys. w Warszawie.

Już latem i wczesną jesienią minionego roku analitycy nie mieli wątpliwości, że jest to skutek przyjazdu uchodźców i uwolnienia dynamiki rynkowej. To logiczne, skoro w Polsce i tak mamy niedobór mieszkań przy ujemnej demografii, pojawienie się nagle ponad miliona osób w pałęj potrzebie wynajmu mieszkania lub pokoju skutkuje wzrostem cen. Efekt jest taki, że w dużych miastach obywatele Ukrainy często tłoczą się w wynajmowanych mieszkaniach, padają ofiarą oszustów lub zwyczajnie przepłacają – a młodzi Polacy zmuszeni są zgadzać się na kolejne podwyżki cen wynajmu i rośnie ich frustracja.

To jednak niewygodny polityczny temat. Partia rządząca nic nie zrobiła, by najemcom ulżyć albo chociaż ograniczyć Dzikie Zachód na rynku wynajmu. Z kolei wszystkie partie opozycji z wyjątkiem Konfederacji również opowiadały się za jak najhojniejszą pomocą dla uchodźców



Zbiórka darów dla Ukrainy, Wrocław 27 lutego 2022 r.

i boją się, że zwrócenie uwagi na realne problemy może zostać odebrane jako przejaw ksenofobii. Gdy więc problem cen wynajmu najbardziej nabrzmiał – jesienią 2022 r. – był prawie nieobecny w debacie politycznej. Kwestia mieszkalnictwa zaś wróciła do dyskusji dopiero wiosną, gdy zaczęła się kampania wyborcza. Ale chyba nikt się nie oszukuje, że obietnice kredytu 2% (dostępnego i korzystnego dla względnie małej liczby osób) lub budowy publicznych mieszkań na wynajem – które nie wiadomo kiedy powstaną – rozwiążą problem.

Nie ma zaś wątpliwości, że największej – przynajmniej krótkoterminowo – zyskali na tym najróżniejsi spekulanci, którzy skorzystali z możliwości nagłych podwyżek i z braku regulacji. Kto przecież zabroni – a i takie oferty pojawiały się w aplikacjach służących do wynajmu krótkoterminowego – kasowania wielotysięcznych kwot za wynajem kilku metrów?

W kolejce po swoje

Sytuacja z mieszkaniem pozwala zrozumieć w szerszym wymiarze, jakie problemy wygenerowało przyjęcie ponad miliona uchodźców i pozwolenie, aby o wszystkim zdecydował wolny rynek. Stało się to, co musiało się stać – większa liczba ludzi

konkuruje o te same mieszkania, te same miejsca w przedszkolach, te same zabiegi w systemie ochrony zdrowia i nawet najbardziej prozaiczne rzeczy, np. miejsca parkingowe i numerki w urzędzie. To rodzi napięcia, które nie znajdują ujścia w przestrzeni publicznej, więc urastają do miejskich legend, teorii spiskowych i fał niezyczliwych plotek.

Atmosfera jest jeszcze gęstsza po protestach rolników. Po raz pierwszy do milionów Polaków trafił przekaz, że gospodarcze interesy Polski i Ukrainy nie są idealnie zbieżne, a z otwarciem rynku i dalszą integracją gospodarczą wiąże się zarówno korzyści, jak i ryzyko. Nikt tego na razie systemowo nie bada, ale można przypuszczać, że akceptacja dla pomocy Ukrainie i – tym bardziej – szybkiej ścieżki przyjęcia Ukrainy do UE już maleje w tych regionach Polski, gdzie istotną rolę odgrywają rolnictwo, branża przetwórcza i spożywcza – tam Ukrainę widzi się jako bezpośrednią konkurencję dla polskiego producenta.

Skądinąd na tym polu nieufność powstaje po obu stronach. W serii pisanych w języku angielskim tweetów rektor Kijowskiej Szkoły Ekonomii i doradca prezydenta Zełenskiego Timofiej Miłowanow oskarżył Polskę o „gospodarczy protekcyjizm”, importowanie żywności z Rosji

i stawianie interesu własnych rolników nad pomoc Ukrainie. „Ukraina jest na wojnie. Polska chce dostać dopłaty z Brukseli dla swoich rolników. Więc blokuje import i przewóz żywności z Ukrainy”, tłumaczył swoim ponad 50 tys. obserwujących na Twitterze. Miłowanow dodał, że w takich sytuacjach Unia Europejska powinna mieć możliwość „dyscyplinowania” państw członkowskich.

Wracając zaś do Polski, o ile problemy producentów żywności są już opisane, o tyle w dyskusji o systemowych obciążeniach usług publicznych nadal jesteśmy skazani na plotki i domysły. Poszukiwanie w internecie informacji o wyzwaniach dla służby zdrowia czy opieki prowadzi najczęściej do stron i artykułów demontujących fake newsy o tym, że Ukraińcy mają pierwszeństwo w kolejce do lekarza.

Tak samo z przedszkolami – nie brakuje anegdotycznych dowodów w postaci relacji wkurzonych rodziców, albo i takich, którzy najchętniej w ogóle wprowadziliby w polskiej edukacji segregację. Ale w gruncie rzeczy na poziomie kraju nie wiadomo, czy i jak wzrost zapotrzebowania

na miejsca w przedszkolach i zwiększona liczebność klas w szkołach wpłynęły na dostępność i koszt opieki oraz edukacji. Jak co roku – są miasta, gdzie rodzice nie dostali upragnionego miejsca w publicznym przedszkolu lub żłobku i są wściekli, a są takie, gdzie wciąż jest ich nadmiar. Bez porządnej jakości badania socjologicznego nie dowiemy się, jak wpływa to na postrzeganie Ukraińców w Polsce. Choć i bez pogłębionych badań wiemy, że koszt oddania dzieci do przedszkola (opłaty i wyżywienie) może w Warszawie przekroczyć 2 tys. zł i mało kogo to dziwi. Czy w jakimś stopniu rodzi to frustrację i prowadzi do uprzedzeń? Na pewno.

Demografia i ciasny rynek matrymonialny

Przyjęcie przeszło miliona uchodźców z Ukrainy i obecność kolejnego ponad miliona migrantów ekonomicznych i pracowników sezonowych niesie ze sobą jednak niezaprzeczalne korzyści dla polskiego systemu emerytalnego, demografii i rynku pracy. Według danych ZUS liczba obcokrajowców płacących składki emerytalne w Polsce przekroczyła już milion, a poziom pokrycia składowego emerytur jest największy w historii instytucji. Napływ wykształconych, pracowitych i aktywnie poszukujących szans zarobku obywateli

i obywateli Ukrainy ma z punktu widzenia systemu składowego niemal same zalety. Polska nie poniosła kosztów wykształcenia tysięcy lekarzy, pielęgniarek, budowlanców czy informatyków, którzy teraz pracują w naszym kraju i tu odprowadzają składki oraz podatki.

Co więcej, Polska nie tylko nie doświadczyła przez to skokowego wzrostu bezrobocia, lecz nawet przez kolejne miesiące notowaliśmy bezrobocie rekordowo niskie, biorąc pod uwagę całą historię III RP, i byliśmy obok Czechów społeczeństwem z najniższą stopą bezrobocia w UE. Ze średnią (metodologia GUS) w okolicach 5,15% bezrobocia w III i IV kwartale 2022 r. mieliśmy pod tym względem – tak jak w 2019 r. – najlepszy czas od planu Balcerowicza. Według badań NBP pod koniec 2022 r. pracowało 65% uchodźców z Ukrainy, a kolejne 24% aktywnie poszukiwało pracy.

Nie tylko więc napływ uchodźców nie wypchnął Polaków z rynku pracy, ale jeszcze prawdopodobnie pomógł rozgrzać gospodarkę (co może, prawdę mówiąc, mieć negatywne konsekwencje dla inflacji). To również dobra informacja dla biznesu, z kilku powodów. Po pierwsze, napływ pracowników uzupełnia niedobory w licznych sektorach. Po drugie, część biznesu z pewnością liczy, że pojawienie się nowych rąk do pracy osłabi presję płacową lub warunki stawiane przez polskich ▶



Ostatnie dni promocji!

Cały miesiąc za 10 zł!

Czeka na Ciebie 5 E-WYDAŃ tygodnika

Kup miesięczną e-prenumeratę PRZEGLĄDU, nim skończy się oferta

Tylko do 30.04.2023 r.!

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Koniec sielanki – protest Agrounii w Hrubieszowie, 16 kwietnia 2023 r.

► pracowników. Po trzecie, rośnie liczba klientów w wielu branżach. Po czwarte, organizacje biznesowe cieszą się, że Ukraińcy zakładają w Polsce firmy – a robią to licznie – bo od dawna promowały model rynku pracy oparty na rozdrobnieniu i indywidualnej przedsiębiorczości.

Wreszcie, pokazują to nowe kalkulacje Komisji Europejskiej i Banku Światowego, imigracyjny zastrzyk w krótkim terminie pomaga polskiej demografii. Z projekcji wynika, że przynajmniej do roku 2025 zastopowany zostanie ubytek ludności wynikający z ujemnego salda urodzeń i zgonów – szczególnie niekorzystnego po pandemii. Owe badania wskazują też, że właśnie migracja do Polski bardziej niż cokolwiek innego może w średnim okresie poprawić – choć nie odwrócić – trend demograficzny. Ale skoro zgadzamy się, że ukraińska imigracja polskie społeczeństwo odmładza i nieco feminizuje (w końcu młodzi mężczyźni powinni, przynajmniej w teorii, walczyć dziś na froncie), to warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno źródło napięcia: sferę seksualną i matrymonialną.

Konsekwentnie od wiosny 2022 r. badania pokazują, że młode kobiety częściej niż mężczyźni widzą negatywne skutki osiedlenia się uchodźców na stałe. Skoro po 24 lutego 2022 r. chodzi głównie o kobiety i dzieci, pojawiło się pytanie, skąd ta obawa. Publicyści i analitycy – np.

Marcin Kędzierski z Klubu Jagiellońskiego – postawili wówczas „hipotezę matrymonialną”. Zauważyli, że młode kobiety mogą „patrzeć na młode Ukrainki jak na konkurentki nie tylko w sferze ekonomicznej, ale i »matrymonialnej«” oraz że wśród młodych Ukrainek panują negatywne stereotypy na temat Polek i vice versa.

Trudno wykazać to za pomocą twardych danych z badań – bo ankietowani mają wiele powodów, by rozmyślać albo niuansować prawdziwe powody swojej niechęci. Ale Kędzierski i inni, którzy powtarzali „hipotezę matrymonialną”, rozumowali całkiem logicznie – jeśli rzeczywistość społeczna przypomina wolny rynek, a więc relacje międzyludzkie i seksualne wyceniane są przez „rynek matrymonialny”, to potencjał niechęci do młodych Ukrainek można wytłumaczyć konkurowaniem o ten sam ograniczony zasób – porządnego i samodzielnego młodego faceta. W minionym roku główny nurt medialny „hipotezę matrymonialną” z pogardą odrzucał – Kędzierski zaś został oczywiście posądzony o „powielanie rosyjskiej dezinformacji”. Teraz, w świetle tych samych badań, „hipoteza matrymonialna” staje się mniej kontrowersyjna. „Młode kobiety tracą serce do ukraińskiej obecności. Powód? Chodzi o rynek matrymonialny”, tłumaczył rok po tym, jak Kędzierskiego posądzano o tezy żywca z Kremla, portal OKO.press.

Ksenofobia czy walka klas?

Czy wszystko to świadczy o masowej nienawiści i wielkim, nieprzekraczalnym napięciu? A może raczej o niepokoju o stan państwa, który i tak na różne sposoby jest łagodzony i rozbrajany, zanim przerodzi się w wybuch niechęci w przestrzeni publicznej?

Dziwić powinno raczej, że niezadowolonych jest tak mało, a nie tak dużo. W końcu społeczeństwo polskie przez 25 lat transformacji wbijano do głowy, że za każde świadczenie czy zasiłek dla jednego obywatela musi zapłacić – z własnych podatków! – drugi. Że „rząd nie ma własnych pieniędzy”, a jedni obywatele żyją na koszt drugih. Państwo – mówiono Polakom – aby komukolwiek dać pieniądze, najpierw musi je komuś zabrać. W społeczeństwie, które całymi dekadami nastrojano negatywnie do redystrybucji i świadczeń, łatwo byłoby przy niewielkim wysiłku rozpałić prawdziwą nienawiść do Ukraińców jako tych, którzy rzekomo żyją z socjału i stanowią obciążenie dla pracujących i odprowadzających podatki Polaków.

Fakt, że do tego nie doszło, pokazuje raczej, że wciąż mamy do czynienia z obawami, a nie wrogością, i że niechęć do uchodźców z Ukrainy to problem społeczny, a nie zalew ksenofobii. Z drugiej strony negatywne stereotypy o Polakach czy nieprzychylnie albo wyższościowe podejście do Polski niektórych ludzi z ukraińskich elit bądź otoczenia Zełńskiego pokazują, że potencjał niechęci istnieje po obu stronach. Okres sielanki i wypierania problemów powoli się kończy.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Początek katastrofy

W ubiegłym roku Morawiecki był gorącym zwolennikiem zniesienia ceł na ukraińskie towary.
Za byli wszyscy europoście

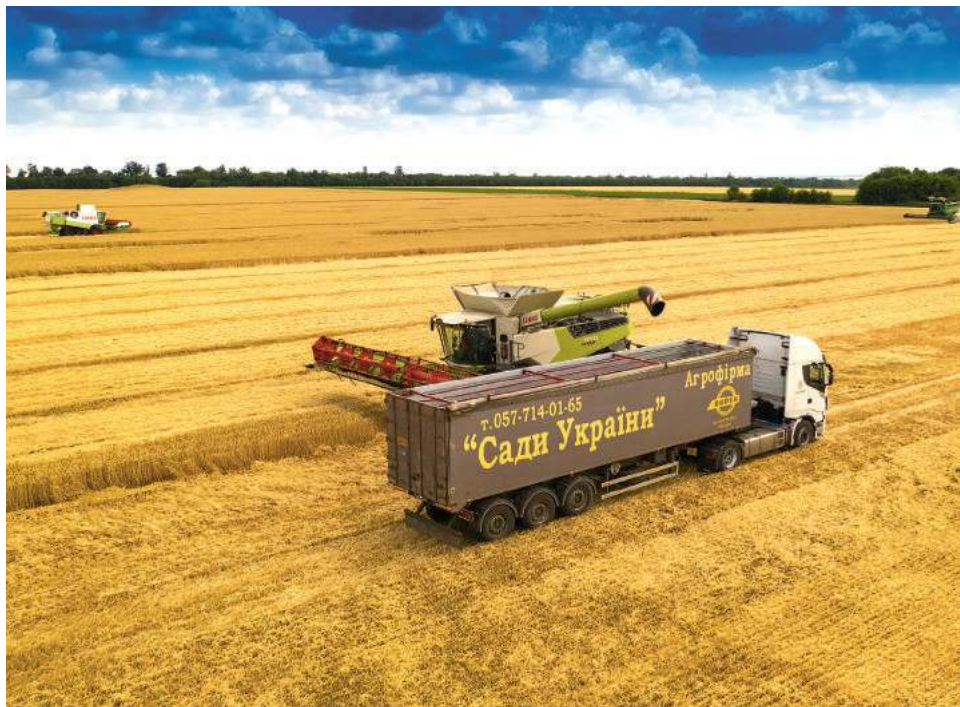
Marek Czarkowski

„By ratować poparcie, PiS wbija Ukrainie nóż w plecy”, pisał 16 kwietnia br. na łamach „Rzeczpospolitej” Michał Szułdrzyński, dowodząc, że partia Jarosława Kaczyńskiego odwraca się od Kijowa, otwiera kolejny spór z Unią i trwoni kapitał moralny, który Polska zgromadziła w ostatnim roku, pomagając zaatakowanemu sąsiadowi. Dzień później na portalu ua.korrespondent.net Walery Litninskij opublikował artykuł opatrzonego tytułem „Cios w plecy. Sąsiedzi blokują zboże z Ukrainy”. Reakcja dziennikarzy i obywateli ukraińskich na decyzję rządu premiera Mateusza Morawieckiego była jednoznaczna.

W Kijowie pamiętają, że Polska przyjęła największą liczbę uciekających przed wojną Ukraińców, że regularnie zwiększa swoją pomoc wojskową, lecz zakazując eksportu, a nawet tranzytu ukraińskich produktów rolnych przez swoje terytorium, zadała potężny cios gospodarce zaatakowanego sąsiada.

W identycznym tonie wypowiedział się Mykoła Kniażycki, poseł opozycyjnej Europejskiej Solidarności do Rady Najwyższej Ukrainy, który przypomniał, że polskie embargo naruszyło umowy międzynarodowe w ramach Światowej Organizacji Handlu, przepisy wewnętrzne Unii Europejskiej oraz umowę o wolnym handlu między Unią a Ukrainą.

Pamiętajmy, że dotychczas nasz kraj udzielił Ukrainie wsparcia w wysokości ponad 50 mld zł, co stanowi 2% polskiego PKB, o czym dwa tygodnie temu powiedziała w Waszyngtonie minister finansów Magdalena Rzeczkowska w trakcie dyskusji zorganizowanej przez think



tank Atlantic Council. Teraz, na skutek błędów popełnionych przez rządzących, pozytywny oddźwięk tych działań słabnie. A jeśli ktoś sądzi, że decyzja o zamknięciu granic – która, jak się wydaje, zyska choć częściową akceptację Komisji Europejskiej – to koniec kłopotów, jest w błędzie. To dopiero początek. Ponieważ do gry wkroczyli ukraińscy oligarchowie, których interesy zostały zagrożone.

Królewieća ukraińskiego rolnictwa

Już w XVI i XVII w. Ostrogskich, Zbaraskich, Zasławskich, Koniecpolskich, Wiśniowieckich, Potoczek i Mniszchów szlachta polska i litewska, ze względu na wielkość posiadanych majątków kresowych, nazywała królewiećmi. Na początku

XVIII w. majątek Potockich na Ukrainie obejmował 70 miast, kilkaset wsi i 11 królewstew, a liczba poddanych przekraczała 400 tys. osób. Pozostałe rody były tylko odrobinę „uboższe”.

Pod tym względem na Ukrainie niewiele się zmieniło. Do niedawna był to kraj rządzony przez oligarchów, takich jak Ihor „Benia” Kołomojski, Rinat Achmetow czy Dmytro Firtasz, którzy wzbogacili się, przejmując kontrolę nad częściami ukraińskiego przemysłu i bankowości. Atak Rosji na Ukrainę w lutym ub.r. znacząco uszczuplił ich stan posiadania. Obok nich wyrosli oligarchowie, którzy dorobili się, tworząc ogromne latyfundia, w niczym nieustępujące majątkom królewiećmi.

Bardzo pomogła im w tym Unia Europejska. By zrozumieć, w czym ▶

► rzecz, należy się cofnąć do 1 stycznia 2016 r. Tego dnia weszła w życie umowa między Ukrainą a Unią Europejską o pogłębionej i całościowej strefie wolnego handlu (DCFTA), będąca najważniejszą i największą częścią podpisanej w czerwcu 2014 r. umowy stowarzyszeniowej między Ukrainą a UE. Umowa ta przewidywała nie tylko powołanie strefy wolnego handlu, ale także przyjęcie przez Ukrainę ok. 60% regulacji prawnych UE, w tym rozwiązań w zakresie energii, przepisów technicznych, sanitarnych, fitosanitarnych, celnych i dotyczących ochrony własności intelektualnej. Umowa miała też zabezpieczyć przepływ kapitału i stworzyć równe warunki konkurencji.

Dotychczas nasz kraj udzielił Ukrainie wsparcia w wysokości ponad 50 mld zł, co stanowi 2% polskiego PKB.

Tego samego dnia, decyzją prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina, przestała obowiązywać umowa o wolnym handlu między Rosją a Ukrainą, co oznaczało zamknięcie rosyjskiego rynku na ukraińskie towary.

Kijów liczył, że otwarcie się na Zachód zrekompensuje utratę rynku rosyjskiego oraz rynków pozostałych krajów Wspólnoty Niepodległych Państw (WNP). Stało się odwrotnie. Wielkość handlu Ukrainy z państwami UE w 2020 r., wynosząca 39,7 mld euro, była tylko trochę wyższa niż w roku 2013 – 36,8 mld euro.

Kijów zrozumiał, że układ stowarzyszeniowy nie przyniósł krajowi spodziewanych korzyści. Pojawiły się szacunki, że w latach 2014-2020 straty w eksporcie Ukrainy w wyniku utraty rynków WNP osiągnęły wysokość 92,7 mld dol. Czyli ponad połowę ukraińskiego PKB z roku 2020.

Jedynymi sektorami, które w nowej sytuacji radziły sobie lepiej, były rolnictwo i przetwórstwo towarów rolno-spożywczych.

Tak oto wielkie agroholdingi, zajmujące setki tysięcy hektarów najlepszych w Europie gleb – czarnoziemów – stały się filarem ukraińskiej gospodarki. Do największych należy

UkrLandFarming PLC zarejestrowany na Cyprze. W jego skład wchodzi kilkanaście spółek zajmujących się m.in. produkcją i sprzedażą zbóż, jaj oraz produktów jajecznych, cukru z buraków cukrowych uprawianych na gruntach należących do holdingu, hodowlą bydła, produkcją nasion, jak również dystrybucją środków i materiałów do produkcji rolnej. UkrLandFarming PLC zarządza dziś obszarem o powierzchni ponad 670 tys. ha gruntów ornych. Posiada sieć elewatorów o pojemności 2,5 mln ton zboża i eksportuje swoje produkty do 40 krajów świata. Współpracuje z globalnymi korporacjami, takimi jak Cargill, Glencore, Marubeni czy Noble Resources. Właścicielem i prezesem agroholdingu jest jeden

z najbogatszych ukraińskich oligarchów Ołeh Bachmatyuk.

Karierę w biznesie Bachmatyuk zaczynał w roku 2001, zakładając Podkarpacką Korporację Finansową. W 2005 r. założył Bank Finansowa Inicjatywa. Rok później sprywatyzował pałac Potockich w Iwano-Frankowsku (dawniej Stanisławowie). Potem trafił do ukraińskiego odpowiednika PGNiG, czyli przedsiębiorstwa Naftohaz Ukrainy. Seria udanych inwestycji sprawiła, że mógł się zająć biznesem rolno-spożywczym. W 2007 r. założył UkrLandFarming i konsekwentnie rozwijał firmę. Dziś agroholding Bachmatyuka należy do największych w Europie.

Konkurentem UkrLandFarming jest zarejestrowany w Luksemburgu Kernel Holding SA. Jego założycielem oraz właścicielem pakietu kontrolnego jest Andrij Werewski. Ten absolwent Trinity College w Oksfordzie, w przeszłości poseł Rady Najwyższej Ukrainy IV, V, VI i VII kadencji, był doradcą premier Julii Tymoszenko oraz członkiem Partii Regionów prezydenta Wiktora Janukowycza, zrobił w biznesie niebywałą karierę.

Kernel Holding SA zaczynał jako producent i eksporter oleju słonecznikowego. Dziś dostarcza ten olej

do największych europejskich sieci supermarketów. Jest też wiodącym eksporterem zbóż i znaczącym producentem oraz eksporterem cukru. A poza tym właścicielem Transbalkterminal, drugiego co do wielkości terminalu zbożowego Ukrainy. Główny majątek spółki stanowią zakłady produkcyjne, takie jak tłocznie nasion oleistych, rafinerie, rozlewnie, magazyny, sieci silosów zbożowych i obiekty przetadunkowe.

Kernel Holding świadczy również usługi logistyczne i transportowe. Szacuje się, że kontroluje on ponad 400 tys. ha ziemi na Ukrainie. Od 2007 r. jest notowany na Warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Jest to więc... także polska spółka.

Z pewnością na polską spółkę miał chrapkę należący do Jurija Kosiuka Mironowski Chliboproduct (MPH) dysponujący ponad 300 tys. ha ziemi i specjalizujący się w produkcji drobiu. W 2017 r. pojawiły się informacje, że nazywany „bogiem kurczaka” Kosiuk jest zainteresowany przejęciem jednego z polskich zakładów. Były to Kutnowskie Zakłady Drobiarskie Exdrob SA, które chciała przejąć zarejestrowana na Cyprze spółka Raftan Holding Limited należąca do agroholdingu MPH. Skończyło się na planach. Exdrob, który popadł w kłopoty, ostatecznie został przejęty przez Cedrob SA.

W 2018 r. Jurij Kosiuk w wywiadzie udzielonym „Financial Timesowi” opowiadał, jak udało mu się zwiększyć produkcję mięsa drobiowego ze 173 tys. ton w 2007 r. do 566 tys. ton w 2017 r. Zapowiadał też ekspansję swojej firmy na rynki unijne.

W roku ubiegłym, po zdjęciu przez UE ceł i kontyngentów na ukraińskie produkty rolne, Mironowski Chliboproduct był gotów do szerokiej ekspansji. W pierwszych miesiącach 2023 r. eksport mięsa drobiowego (głównie piersi) z Ukrainy do państw UE osiągnął 24 tys. ton. Miał w tym znaczny udział agroholding Jurija Kosiuka. Tego człowieka najbardziej obawiają się polscy hodowcy drobiu. To energiczny, pomysłowy i bezwzględny



Jednym z najbogatszych ukraińskich oligarchów jest Oleh Bachmatiuk.

biznesmen, który wie, jak korzystać z unijnego prawa.

Innym wielkim przedsiębiorstwem rolniczym jest Agroprosperis Group, który ma biura na Cyprze, w Szwajcarii i na Ukrainie. Jego właścicielami są George Rohr i Maurice Tabasinik. Grupa kontroluje ok. 400 tys. ha wysokiej klasy ziemi ornej. Rocznie holding eksportował ponad 3 mln ton pszenicy, kukurydzy, soi, rzepaku i słonecznika do 35 krajów świata.

Wymieniłem ukraińskie agrolholdingi, które kontrolują grunty orne o powierzchni od 300 tys. ha do ponad 600 tys. ha. Lecz jest także sporo mniejszych podmiotów, takich jak Astarta-Kyiv należący do Wiktora Iwanczuka – 250 tys. ha, HarvEast Rinata Achmetowa i Wadima Novinskiego – 102 tys. ha, IMC kontrolowany przez Aleksandra Pietrowa – 129 tys. ha, Ukrprominvest-Agro byłego prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki – 116 tys. ha.

W Polsce nie ma równie wielkich firm, więc nasze rozdrobnione rolnictwo w konfrontacji z ukraińskimi gigantami jest skazane na klęskę. To żadna tajemnica, że lobbyści reprezentujący w Brukseli interesy Bachmatiuka, Kosiuka, Werewskiego i Tabasinika rozpoczęli działalność.

Nasi małorolni

Były wicepremier i minister rolnictwa Janusz Piechociński ostrzega, że wydarzenia ostatnich tygodni to początek katastrofy. Problemem jest zalegające w silosach zboże. Rząd

zapewnia, że opróżni silosy przed końcem tegorocznych żniw, jednak nie mówi, jak ma zamiar to zrobić. Jeśli rolnicy uprawiający pszenicę, żyto, kukurydzę i rzepak nie będą mogli sprzedać swoich zbiorów po godziwej cenie, część z nich ograniczy produkcję, a niektórych czeka bankructwo. Kryzys dotknie również producentów maszyn rolniczych. Unia Group produkuje rocznie przeszło 25 tys. maszyn rolniczych w czterech zakładach. Połowa trafia na eksport do 60 krajów. Jeśli polscy rolnicy zbiednieją, przyjdzie ograniczyć produkcję. Dotyczy to także krośniewickiego Expomu, Meprozetu z Międzyrzecza Podlaskiego, mirosławieckiego Metaltechu czy zabłudowskiego Samaszu.

Nasze rozdrobnione rolnictwo w konfrontacji z ukraińskimi gigantami jest skazane na klęskę.

Z lękiem obserwuję rozwój sytuacji producenci drobiu, którzy wiedzą, że ich koszty produkcji są wyższe niż u konkurentów ukraińskich. Także pszczelarze czują na plecach oddech kolegów zza wschodniej granicy. Ukraińscy pszczelarze są w stanie zaoferować niższe ceny, a wtedy Polacy będą mogli tylko spalić ule.

Trudno wskazać tę część polskiego rolnictwa, która byłaby w stanie podjąć równą walkę z rolnictwem ukraińskim. Rząd na razie nie ma pomysłów, jak ratować ważną dla kraju gałąź gospodarki. W ubiegły

poniedziałek wysłałem do Ministerstwa Rolnictwa kilka konkretnych pytań dotyczących zasad, na jakich miałyby funkcjonować zapowiadana przez polityków PiS pomoc dla rolników mających problemy ze sprzedażą pszenicy. Do chwili oddania materiału do druku nie doczekałem się odpowiedzi. Co jest najlepszym dowodem, że rząd jeszcze nie wie, jak powinien zorganizować pomoc.

Jeden z moich rozmówców, rolnik posiadający przeszło stuhektarowe gospodarstwo, słusznie zauważył, że dziś Ukraina nie będzie zabiegała o szybsze wstąpienie do Unii Europejskiej, gdyż bardziej opłaca się jej być poza Unią. Granice są otwarte, zarówno dla obywateli tego kraju, jak i dla towarów. A nie obowiązują jej surowe unijne normy dotyczące rolnictwa, które my musimy spełniać.

Komisja Europejska wyraziła niezadowolenie z powodu zamknięcia granicy przez Polskę, Węgry i Słowację. Jeśli się nie porozumiemy, przyjdzie płacić kary.

Po ukraińskiej stronie już 16 kwietnia br. utworzyła się wielokilometrowa kolejka tirów, które przeszły tamtejszą odprawę celną, ale do Polski nie mogą wjechać. To samo dotyczy składów towarowych z ukraińskim zbożem, które utknęły na granicznych stacjach kolejowych. Są podstawy, by ukraińskie firmy eksportujące te towary dochodziły swoich roszczeń na drodze sądowej.

Tylko patrzeć, jak rząd w Kijowie w ostrej formie zażąda od Brukseli wywiązania się z podjętych zobowiązań. Przypomnę, że w ubiegłym roku gorącymi zwolennikami zniesienia celi i kontyngentów na ukraińskie towary byli premier Mateusz Morawiecki i wszyscy polscy posłowie do Parlamentu Europejskiego. Dzisiaj woleliby o tym zapomnieć. Zwłaszcza że przyszły rok zapowiada się dla polskiego rolnictwa jeszcze gorzej niż obecny.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Anna Stachowiak

Młode głowy z niską samooceną

Jest źle. Bardzo źle.
Dzieci cierpią na depresję
i mają myśli samobójcze

To pandemia pogłębiła wiele problemów i wynikających z nich kryzysów psychicznych, których doświadczają młodzi ludzie. Dystans społeczny, nauczanie zdalne, brak kontaktu z przyjaciółmi, niepewność oraz strach o siebie i bliskich nałożyły się na już istniejące zaniedbania. A tych jest dużo: brakuje programów profilaktycznych i edukacji, w całej Polsce jest zaledwie nieco ponad 500 psychiatrów dziecięcych, a dostanie się do psychologa, także prywatnie, graniczy z cudem. Psychologów, mimo nowelizacji ustawy, brakuje też w szkołach.

Z raportu „Życie warte jest rozmowy” wynika, że w 2021 r. 1439 dzieci i nastolatków podjęło próbę samobójczą; 127 prób zakończyło się śmiercią. W porównaniu z poprzednim rokiem to wzrost o 77%. Martyna Wojciechowska, założycielka prowadzącej projekt „Młode Głowy” Fundacji Unaweza, pisze we wstępie do raportu „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym”: „Wszystko zaczęło się od bardzo osobistego doświadczenia. Dwa lata temu osoba z otoczenia mojej córki powiedziała jej, że zamierza popeł-

miesiący, podczas gdy reagować powinno się natychmiast. A przede wszystkim, że zdrowie psychiczne to temat tabu i że nie potrafimy o nim rozmawiać”.

Rzecznik kontra młodzież

Dlatego właśnie powstał projekt i alarmujący raport. „Młode Głowy” to największe w Polsce badanie stanu zdrowia psychicznego, poczucia własnej wartości i sprawczości wśród dzieci i młodzieży. Jest i kampania edukacyjna adresowana do młodych, do rodziców oraz nauczycieli. Ankiety wypełniło ponad

niebezpieczne jest uwiarygodnienie aplikacji TikTok poprzez wykorzystanie autorytetu nauczycieli i szkół. Naukowcy ostrzegają, że już dzisiaj TikTok ma zatrważająco duży wpływ na zachowanie młodych, którzy zaczęli postrzegać rzeczywistość przez pryzmat bezwartościowych, a nawet groźnych narracji narzucanych przez tę aplikację, co prowadzi do niezwykle niebezpiecznych uzależnień behawioralnych dzieci i młodzieży”.

Tymczasem autorzy badania Maciej Dębski i Joanna Flis piszą: „Obraz dzieci i młodzieży, jaki wyłania się z pozyskanych wyników, to obraz przepełniony samotnością, skrajnie niską samooceną i niskim poczuciem sprawczości. Roboczo nazwaliliśmy ten stan triadą kryzysu psychicznego dzieci i młodzieży, która przyczynia się m.in. do dramatycznego wzrostu myśli samobójczych wśród młodych ludzi, zachowań samobójczych i podejmowanych zamachów samobójczych. W dużym uproszczeniu dzieci w kryzysie psychicznym to dzieci przekonane o tym, że nic nie znaczą, niczego nie potrafią i dla nikogo nie są ważne. Obraz ten dopełnia niski poziom zaufania społecznego młodych, brak wiary w skuteczność profesjonalnej pomocy czy wsparcia społecznego i skala doświadczanej przemocy rówieśniczej, domowej oraz doświadczania hejtu”.

Co piąty planował samobójstwo

Justyna Żukowska-Gołębiowska, psycholożka, psychotraumatolożka, specjalistka ds. zapobiegania

Dzieci w kryzysie psychicznym są przekonane, że nic nie znaczą, niczego nie potrafią i dla nikogo nie są ważne.

nić samobójstwo, a z Marysi uczyniła swoją powiernicę. To był dla nas obu moment głębokiego wstrząsu i trzeba było działać. Na szczęście to konkretne dziecko zostało uratowane, ale miałam okazję przekonać się osobiście, jak działa, a raczej jak bardzo nie działa system. Czy edukujemy młode pokolenie, jak rozpoznać kryzys psychiczny u siebie, u kogoś, jak postępować? Czy potrafimy zrobić to skutecznie? Czy szkoły mają wypracowane procedury reagowania w takich sytuacjach? Do kogo zwrócić się po pomoc? Pytań było więcej niż odpowiedzi. Okazało się, że mamy za mało psychiatrów dziecięcych, że na wizytę u specjalisty na NFZ czeka się nawet rok, prywatnie – wiele

180 tys. nastolatków z całej Polski – badanie zrealizowane zostało we wszystkich województwach, w 342 powiatach, udział w nim wzięły 1923 szkoły. Projekt powstał we współpracy z Fundacją Dbam o Mój Z@sięg, wsparcie komunikacyjne zapewniła zaś platforma TikTok, co zresztą spowodowało atak na Fundację Unaweza rzecznika praw dziecka Mikołaja Pawlaka (PRZEGLĄD 16/2023). Sprawę zgłosił na policję oraz do dwóch resortów, argumentując: „W opinii Rzecznika – w kontekście narastającego problemu uzależnienia młodego pokolenia od internetu w stopniu zagrażającym zdrowiu, a nawet, w skrajnych przypadkach, życiu dzieci i młodzieży – szczególnie



przemocy i jedna z ekspertek biorących udział w badaniu, komentuje: – Wyniki są alarmujące! Uważam, że wręcz dramatyczne.

Faktycznie: 52,4% młodych odczuwa brak motywacji do działania, 28% nie ma chęci do życia (prawie co trzeci uczeń), jedna trzecia zgłasza problemy w nauce, 37% ma problemy ze snem, 32,5% nie akceptuje tego, kim jest i jak wygląda. Dodatkowo częste są zachowania ryzykowne i autodestrukcyjne: 43,3% objada się albo się głodzi, 39,5% ogląda przemoc w sieci, 20% ogląda pornografię. Dalej jest jeszcze straszniej: 29,3% ma podejrzenie depresji, 39,2% myślało o próbie samobójczej, 25,9% przyznaje, że mówiło o próbie samobójczej, co 10. uczeń deklaruje, że podjął próbę samobójczą, co piąty planował samobójstwo, a 41,9% przyznaje, że ktoś w ich bliskim otoczeniu mówił o samobójstwie, podjął próbę samobójczą lub odebrał sobie życie. Połowa badanych to osoby o skrajnie niskiej samoocenie, co drugi uczeń czasami czuje się bezużyteczny, jeden na trzech nie lubi siebie, co czwarty

uważa, że jest mniej wartościowy od innych ludzi.

– W mojej perspektywie większość wyników tego badania jest zatrważająca i powinny one otworzyć nam, dorosłym, oczy – dodaje Justyna Żukowska-Gołębiewska. – Młodzi czują się przede wszystkim osamotnieni, o czym już alarmowałam w marcu na łamach „WO”. Co trzecie

Ponad 80% ankietowanych w kłopotliwej sytuacji nie potrafi znaleźć rozwiązania i nie radzi sobie ze stresem.

dziecko: nie ma chęci do życia, ma podejrzenie depresji, a 8,8% dzieci w Polsce deklaruje, że podjęło próbę samobójczą. Co drugi uczeń w Polsce w wieku 10-19 lat ma skrajnie niską samoocenę i bardzo złe zdanie o sobie. Ponad 80% ankietowanych w kłopotliwej sytuacji nie potrafi znaleźć rozwiązania i nie radzi sobie ze stresem dnia codziennego.

W marcowym wywiadzie na łamach „Wysokich Obcasów” psycholożka mówiła: „Dotykamy czoła, żeby sprawdzić gorączkę, zaglądamy do

gardła i ucha, ale zdrowia psychicznego nie sprawdzamy. Nie do końca wiemy (jako społeczeństwo), jak być uważnymi na kondycję psychiczną dzieci – dopiero nasze pokolenie jest bardziej świadome, na szczęście, ale wymusił to kryzys zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży, natomiast nadal potrzebujemy szeroko zakrojonych kampanii społecznych, dostępu do poradni suicydalnych, bezpłatnej ochrony zdrowia, edukacji w obszarze zdrowia psychicznego”.

Wiele dzieci nie ma do kogo pójść, kiedy przychodzi im do głowy, że woląby umrzeć.

Szkola i dom

W szkole nie jest dobrze: co trzeci uczeń hejtuje innych, co 10. deklaruje, że doznaje przemocy rówieśniczej, a jednocześnie tylko co 20. twierdzi, że skorzystałby z pomocy psychologa. 68,5% deklaruje, że nie skorzystało z pomocy psychologa w szkole lub poza nią, prawie 7% nie skorzysta, bo boi się, że psycholog nie dochowa tajemnicy. 43,1% uważa, że nauczycielom nie zależy na ich przyszłości.

– Docierają do mnie informacje, że stanowisko psychologa szkolnego powierzane jest czasami studentom IV roku psychologii lub osobom, które skończyły studia podyplomowe tylko w nazwie mające „psychologia” – martwi się Justyna Żukowska-Gołębiewska. – Zadania psychologa

powierzane są pedagogowi i odwrotnie. Psycholog, zamiast zająć się dziećmi i ich problemami, dyżuruje na korytarzu lub jest odsyłany na zastępstwo za nieobecnego nauczyciela. Zamiast zwiększać liczbę etatów psychologów w szkole, zmniejsza się ją. Analizujemy ten problem w Ogólnopolskim Związku Zawodowym Psychologów i jesteśmy tym zaniepokojeni. Nadal czekamy na ustawę o zawodzie psychologa, która pomogłaby uregulować również kwestię etyki wykonywania tego zawodu. ►

► Obecnie ustawa oczekuje na pierwsze czytanie w komisji sejmowej.

Szkoła ma kluczowe znaczenie, bo to tutaj dzieci spędzają połowę czasu. Ale polska szkoła, archaiczna, funkcjonująca w pruskim systemie, przytłoczona nieudaną reformą edukacji, wciąż stawia na zdobywanie książkowej wiedzy, całkowicie zaniedbując kluczowe kompetencje, ważne dla rozwoju motywacji, sprawczości, właściwej samooceny. – Z tego powodu nie może się przyczyniać do zdrowego rozwoju poznawczego, emocjonalnego i społecznego dzieci i młodzieży – wskazuje Justyna Żukowska-Gołębiewska. – W świetle nowej wiedzy na temat neurobiologicznych podstaw uczenia się, psychologii rozwojowej dziecka czy rosnącej świadomości w zakresie psychiatrii dzieci i młodzieży refleksja i praca nad zmianą paradygmatu edukacji jest i konieczna, i możliwa.

ponad połowa szuka u nich wsparcia w trudnych chwilach, co 10. osoba czuje się niekochana przez rodziców.

Co robić? Justyna Żukowska-Gołębiewska proponuje: – Przede wszystkim dopuścić do świadomości i zrozumieć, co mówią te badania! U osób zapoznających się z raportem może się pojawić mechanizm wyparcia lub unikania. Oznacza to, że niektórym może być trudno uwierzyć w skalę zjawiska, uznać, że aż tak wielu młodym ludziom towarzyszy kryzys psychiczny. Mogą się pojawić próby dewaluacji wyników lub nawet dyskredytacji samego badania, z czym mieliśmy do czynienia tuż przed jego publikacją. Doskonale rozumiem, że społeczeństwu może być trudno przyjąć do wiadomości, że co trzeci nastolatek w tym kraju może nie chcieć żyć. Szczególnie jeśli zawodo-wo lub instytucjonalnie jesteśmy za te dzieci odpowiedzialni. Uważam, że

dziecka! Podobnie niskie poczucie własnej sprawczości/skuteczności będzie źródłem problemów z siłą woli. W wyniku obniżenia motywacji pojawia się niezdolność do podejmowania celowego działania, brak inicjatywy, niska aktywność, bierność i apatia. Są to stany, na które narzekają nie tylko młodzi, ale i rodzice, którzy niestety sprowadzają te objawy jedynie do aspektu związanego z niepowodzeniami szkolnymi i trudnościami w nauce. Jednak, jak wynika z badań nad motywacją, trudności w nauce stanowią częściej konsekwencję problemów, z jakimi boryka się dziecko, a nie ich źródło. Dzieci bowiem dużo wcześniej kształczą podstawowe kompetencje związane z siłą woli. Jak wynika z wielu badań, dzieci rozpoczynające szkołę najczęściej posiadają już ukształtowaną strukturę motywacyjną, co pokazuje, że dla motywacji fundamentalne znaczenie ma środowisko rodzinne.

Warto, aby rodzice zadali sobie pytanie, czego potrzebują, aby rozumnie i adekwatnie do potrzeb dziecka udzielić mu wsparcia. – Z mojego punktu widzenia bez budowania relacji opartej na bezpieczeństwie, otwartości, tolerancji, szacunku dla autonomii dziecka i jego praw udzielanie pomocy dziecku w kryzysie może być nie tylko trudne, ale i nieefektywne – tłumaczy Justyna Żukowska-Gołębiewska. – Dlatego zachęcam rodziców do korzystania ze wsparcia innych osób, edukowania się, podnoszenia swoich kompetencji i umiejętności, ale także do otwarcia się na pomoc specjalisty, bo nierzadko potrzebna jest terapia całego systemu rodzinnego. Jak mantrę my, specjaliści, powtarzamy, że najważniejsza jest rozmowa. Natomiast rodzice często nie wiedzą, jak rozmawiać z dzieckiem, jeszcze częściej nie wiedzą, jak uważnie i z empatią (bez oceniania i osądzania) słuchać. Natomiast kiedy już wiedzą, czego nie wiedzą, stają się osobami otwartymi na poszukiwanie wiedzy, ale też wtedy mogą najbardziej się zbliżyć do dziecka, bo dzieci najbardziej odpycha rozmowa z dorosłym, który ciągle wie lepiej, co dziecko czuje i czego potrzebuje.

Anna Stachowiak

W całej Polsce jest zaledwie nieco ponad 500 psychiatrów dziecięcych, a dostanie się do psychologa graniczy z cudem.

Psycholożka dodaje: – Analizując zjawisko samotności życiowej, której doświadcza co trzeci uczeń w Polsce, po raz wtóry należy podkreślić, że kluczowymi kompetencjami młodych powinny pozostawać kompetencje interpersonalne, społeczne, umożliwiające współpracę i współdziałanie z innymi. Dzisiejsza szkoła niestety stawia głównie na rozwój kompetencji twardych, z pominięciem tych, które kształtują rezylencję, czyli odporność psychiczną. Pamiętajmy, że dziecko powinno wzrastać w środowisku, które jest odporne na kryzys i które potrafi z niego wyjść obronną ręką, miejscu pełnym optymizmu i wsparcia społecznego. Tu bardzo ważną rolę mogą odgrywać psycholodzy. Należałoby więc zadbać o kampanię zmieniającą przekonania społeczne co do korzystania z pomocy psychologicznej i przede wszystkim uregulować zawód psychologa.

A jak jest w domach? Różnie: 11% czuje się zaniedbane przez rodziców, 4,5% rozpoznaje we własnych domach przemoc. Połowa podziwia matkę lub tatę, 56% matkę, 45,4% tatę,

jeśli ktoś ma własny, powinien z niego skorzystać i ustalić, gdzie dokonał zaniechania, gdzie coś poszło nie tak. Nie możemy unieważniać głosu tak wielu dzieci! One nam, dorosłym, zaufały, powierzając w tym badaniu swoje najszybsze myśli. Teraz naszym zadaniem jest to uznać i zabrać się do roboty. W pierwszej kolejności musimy zadbać o rodziców, gdyż to ich młodzi wskazali jako osoby, do których zwróciliby się w kryzysie i które podziwiają.

Co mogą rodzice

Psycholożka mówi również o innym aspekcie: rodzicielskim wypaleniu. Rodzice w Polsce mają bowiem największy wskaźnik wypalenia w Europie. – Jeśli nie wesprzemy rodziców w ich kondycji psychicznej i kompetencjach rodzicielskich, to nie będą oni w stanie wspierać swoich dzieci.

Jej rekomendacje dla rodziców? – Uwierzyć i zrozumieć, że brak motywacji do nauki czy do posprzątania swojego pokoju nie wynika z lenistwa

Z Galicji



Jan Widacki

Mądry Polak po szkodzie?

Znów cała Polska żyje sprawą Tomasza Komendy. Jego smutna twarz ozdabia nawet okładkę jednego z ostatnich wydań „Polityki”. Tym razem nie chodzi już o niesłuszne skazanie, lecz o aktualne kłopoty człowieka, który po spędzeniu (niewinnie!) 18 lat w kryminalu, ostatecznym uniewinnieniu i otrzymaniu 13 mln zł odszkodowania i zadośćuczynienia nie może się odnaleźć w życiu i społeczeństwie. Przypadek ten fascynował opinię publiczną trzykrotnie. Raz, gdy okazało się, że Tomasz Komenda, który został skazany na 25 lat pozbawienia wolności, był w rzeczywistości niewinny, drugi raz – gdy wyprocesował wspomniane 13 mln zadośćuczynienia i odszkodowania, obecnie zaś zajmuje ją po raz trzeci. Nic dziwnego.

Nic również dziwnego w tym, że na podstawie jego historii nakręcono film fabularny. Tyle że przejścia tego człowieka, dostarczające sensacji telewizjom, czytelnikom gazet, w szczególności rozmaitych tabloidów w formie papierowej czy elektronicznej, powinny być pouczające dla polskiego wymiaru sprawiedliwości. Historia ta powinna być drobiazgowo przeanalizowana w środowisku sędziowskim, w organach śledczych, wreszcie w środowisku odpowiedzialnym za więziennictwo. Ministrowie sprawiedliwości i spraw wewnętrznych powinni powołać wspólną komisję, złożoną z sędziów, prokuratorów, policjantów, funkcjonariuszy służby więziennej i całego zespołu ekspertów z zakresu kryminalistyki, kryminologii, procesu karnego, która zbadałaby ten przypadek i ustaliła, gdzie popełniono błędy. Nie po to, by dziś szukać winnych, ale po to, by takich błędów uniknąć w przyszłości.

Przecież było śledztwo, ktoś zabezpieczał i badał dowody, ktoś je oceniał i wyciągał wnioski. Ktoś wykonywał ekspertyzy w tej sprawie. W końcu sąd na podstawie oceny materiału dowodowego, tego zgromadzonego w śledztwie i przedstawionego na rozprawach, oparłszy się też na dowodach przeprowadzonych przed sądem, skazał Tomasza Komendę. Przecież sądy dwóch instancji nie miały wątpliwości. Sąd okręgowy (w składzie dwóch sędziów zawodowych i trzech ławników) skazał go na 25 lat pozbawienia wolności, a sąd apelacyjny (w składzie pięciu sędziów zawodowych) utrzymał wyrok w mocy. Czy ktoś próbował ustalić, jak to było możliwe, że tak się stało? A stało się! Co więcej, śmiem twierdzić, że przypadek Tomasza Komendy to jedynie wierzchołek góry lodowej.

Mechanizm, który doprowadził do skazania Komendy, typowy dla naszego procesu karnego, musiał doprowadzić także do wielu podobnych pomyłek sądowych. Jeśli nie zostanie naprawiony, będzie prowadził do kolejnych. Z badań nad pomyłkami sądowymi wynika, że w procesach poszlakowych w sprawach o zabójstwo skazywanych jest wielu niewinnych. Wynikami tych badań, poza wąską grupą naukowców, też nikt w Polsce nie był zainteresowany. Ani instytucje państwowe, ani środowisko sędziowskie, ani adwokackie. Niestety.

Przecież ci policjanci, którzy prowadzili czynności śledcze w sprawie Komendy, prowadzili je również w dziesiątkach innych podobnych spraw. Podobnie biegli, prokuratorzy, sędziowie. Czy zawiódł któryś z trybów tego mechanizmu? Czy może kilka naraz? A może cały mechanizm jest zły i wymaga gruntownej naprawy? Jeśli się tego nie ustali, nie naprawi tego mechanizmu, z całą

Historia Tomasza Komendy powinna być drobiazgowo przeanalizowana w organach śledczych, w środowisku sędziowskim i odpowiedzialnym za więziennictwo.

pewnością będzie on nadal funkcjonował wadliwie i pakował do kryminału kolejnych niewinnych ludzi, w dodatku na coraz dłuższe lata. Na coraz dłuższe, bo ludzie, którzy za ten mechanizm są odpowiedzialni, jedyne, co potrafią zrobić, to zaostrzyć represję karną. I właśnie ostatnio zrobili to po raz kolejny.

Czy wiemy, dlaczego doszło do skazania niewinnego człowieka? Na podstawie jakich dowodów, jak przeprowadzonych, jak ocenionych? Nie, tego opinia publiczna nie wie i zdaje się, że nie jest nawet ciekawa. Nie to ją w tej sprawie podnieca. Ale czy wiedzą to sędziowie, którzy każdego dnia w całej Polsce wydają wyroki? Czy aby nie powielają tych samych błędów, które doprowadziły do skazania Komendy? Czy tak samo ufnie podchodzą do efektów śledztwa? Czy tak samo opierają wyrok bardziej na wierze, że skazują sprawcę, niż na wiedzy, że to jest sprawca?

Ostatnio ujawnione losy Tomasza Komendy już po jego wyjściu na wolność pokazują, że 18 lat pobytu w więzieniu zupełnie oduczyło go społecznego funkcjonowania, choć teoretycznie powinno nauczyć nawet kogoś, kto przed skazaniem był społecznie nieprzystosowany. Czy i nad tym nie warto się zastanowić? ■

Prawie jak w pałacu

W Warszawie powstało najpiękniejsze miejsce dla bezdomnych prowadzone przez fundację siostry Małgorzaty Chmielewskiej

Ewa Smolińska-Borecka

Siostra Małgorzata Chmielewska patrzy na swoje dzieło z uśmiechem i z dumą. Cieszy się każdym łóżkiem w pokoju, każdą umywalką w łazience, każdym krzesłem. W Domu Matki Bożej Serdecznej przy ulicy Foliałowej we Włochach wszystko jest nowe i wciąż pachnące świeżością. To najmłodszy przybytek Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia. Zamieszkuje go ponad 50 osób. Bezdomnych, chorych, starych, odrzuconych. A tu – najważniejszych.

Większość mieszkańców ma problemy z psychiką: choroby psychiczne, demencję, także jako skutek alkoholizmu. Siostra Małgorzata Chmielewska mówi o nich: „Ci, co głowy nie mają”. Ale nie prześmiewczo i złośliwie, tylko jakoś tak ciepło i z troską w głosie. Ostatnio na swoim blogu stwierdziła, że choć minął już ponad miesiąc od otwarcia domu, mieszkańcom nadal się wydaje, że są tu jedynie na chwilę. Bo tak trudno uwierzyć, że spełniły się marzenia o lepszym życiu. Mieszkańcy mawiają: „Bardzo tu dobrze na tych wczasach, ale my chcemy już do domu”.

A ten „dom” to warszawskie Betlejem – skromne dwa budynki przy ulicy Gniewkowskiej, otoczone torami kolejowymi i oprószone betonowym pyłem. Tam spędzili ostatnie miesiące albo lata. I myślą, że będą musieli wrócić do tego, do czego przywykli, czyli do ciasnoty i dość obskurnych warunków. Nowy dom z jego luksusami wydaje się nierealny, abstrakcyjny. Nadal nie mogą uwierzyć, że naprawdę tak może wyglądać ich życie. – Ludziom ubogim czasem nie mieści się w głowie, że można inaczej – dzieli się refleksją

siostra Chmielewska. – Cóż, musicie się przyzwyczaić, kochani, że to jest wasz dom.

Wszystko jest nowe

Budynek przypomina reprezentacyjny gmach albo galerię sztuki. Z obu stron wejścia połacie trawy z rolki, by od pierwszej chwili zrobić na przybyłych dobre wrażenie. W pobliżu drzwi stare drzewo, mocno pochylone, podparte z jednej strony drewnianym palem, żeby nie runęło. To jakby symbol tego domu, a raczej jego mieszkańców – są jak mocno pochylone drzewa, które wymagają wsparcia. A ludzie z Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia, fundatorzy, darczyńcy i wolontariusze to ten podpierający pał.

Siostra Małgorzata Chmielewska właściwie nie jest zakonnicą. Ale że nosi białą chustkę i brązowy habit, wszyscy zwracają się do niej per „siostra”. Głos ma stanowczy, ale ciepły. Jest konkretna, posługuje się językiem literackim, czasem lubi sięgnąć po zapożyczenie z języka potocznego, co w zestawieniu z tą białą chustką i habitem brzmi nieco zaskakująco. Ale właśnie te rzadkie potoczne wstawki skracają dystans między nią a mieszkańcami domów fundacji. Bo ona rozmawia z nimi jak z równymi sobie, nawet jeśli grozi palcem, to jakby serdecznie.

O nowym domu mówi, że to najpiękniejszy dom dla bezdomnych na świecie. Właściwie nikt tego nie zbadał, ale gdy widzi się Dom Matki Bożej Serdecznej, wątpliwości znikają. Nawet prywatne, wysoko opłacane domy opieki nie są zaprojektowane z takim rozmysłem i dbałością o piękno, a jednocześnie tak rygorystycznie spełniają warunki konieczne dla



Główna sala ma wysokość dwóch kondygnacji i jest w niej miejsce m.in. na stołówkę i salę telewizyjną.

niepełnosprawnych. A najbardziej urzekające jest to, czego brakuje w innych domach – przestrzeni. Szczególnie szokująca dla ludzi, którzy często zamieszkiwali w przepełnionych salach i spali na piętowych łóżkach. Tu wprowadzicie wszystkie pokoje są sześćoosobowe, ale każdy mieszkaniec ma swoją strefę osobistą. Główna sala ma wysokość dwóch kondygnacji i zawiera miejsca wspólne, czyli stołówkę i salę telewizyjną, oraz – co zaskakujące – nieduży budynek o stromym, dwuspadowym dachu, który jest kaplicą.

Ogród jest przestronny. Świeżo splantowane trawniki z czasem się zazielenią, pojawią się drzewa i krzewy. Ogrodzenie dochodzi do ekranów akustycznych przy trasie S2. Można się zżymać, że władze Warszawy dały fundacji niezbyt atrakcyjną działkę tuż przy drodze szybkiego ruchu, ale można też tym władzom dziękować, że taki prezent zrobiły. A ponadto zobowiązały się pokrywać 60% kosztów utrzymania domu. Same pensje obsługi to ponad milion złotych rocznie. A otoczenie? W okolicy – wille. Co jakiś czas słysząc samoloty odlatające z lotniska im. Fryderyka Chopina, ale można do tego przywyknąć. Zresztą w budynku ich nie słysząc.



Siostra Małgorzata Chmielewska cieszy się każdym łóżkiem w pokoju, każdą umywalką w łazience, każdym krzesłem.



W nowym domu wszystko jest nowe. Wszystko. Siostra Chmielewska najbardziej obwiała się, że w to miejsce zostaną przeniesione pluskwy. – Przy Gniewkowskiej były, a walka z pluskwami jest nie do wygrania – stwierdza. – Dlatego zasadą przenoszenia się do nowego domu było to, że mieszkańcy nie zabierają ze sobą nic. Dokumenty czy pamiątki są przechowywane na zewnątrz. Musieliśmy tak zrobić.

Tajemniczy fundatorzy

Dom powstał w połowie dzięki pieniądząz tajemniczych fundatorów. Małżeństwo biznesmenów już wcześniej wspierało budowę

dwóch innych domów, ale ta inwestycja jest zdecydowanie największa. To oni wybrali projektantów, z którymi współpracowali przy budowie wcześniejszych domów, Pracownię Architektoniczną XYstudio, i zapłacili połowę kosztów budowy – 7,5 mln zł. Drugą połowę domu sfinansowała Fundacja Biedronki. Fabryki Mebli Forte przekazały meble, a Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wyposażyła salę do rehabilitacji i gabinet pielęgniarki. – Nazwijmy rzecz po imieniu: żyjemy z żebrania – mówi siostra. – Przez wiele miesięcy staraliśmy się zdobywać środki na wyposażenie domu i kupować potrzebne produkty po najbardziej atrakcyjnych cenach, ale wysokiej jakości.

W owym zebraniu ludzie z Fundacji Domy Wspólnoty Chleb Życia są bardzo skuteczni. Robią to od 21 lat. To siostra Małgorzata Chmielewska, wcześniej przełożona polskiej Wspólnoty Chleb Życia, powołała fundację i do dziś jest jej prezesem. Pierwsze domy, które udostępniali bezdomnym, organizowali w podarowanych budynkach – remontowali je i przystosowywali do zamieszkania.

– Po raz pierwszy zbudowaliśmy od początku dom w Zochcinie koło Opatowa – wspomina siostra. – Jest nieduży, przeznaczony dla 17 osób. Sfinansował go ten sam fundator, który współfinansował nowy dom przy Foliałowej. Tam istniało już wcześniej siedem domków, w których zamieszkały ludzie ze wspólnoty. Były marne, spod podłogi wychodziły szczury. Kiedy bezdomni dostali w Zochcinie ten piękny, nowy dom, śmialiśmy się, że mają dużo lepsze warunki niż my, członkowie wspólnoty. W tej chwili w naszym najnowszym domu, Matki Bożej Serdecznej, członkowie wspólnoty będą mieli wreszcie ludzkie warunki. Jeśli mieszka się 24 godziny na dobę z ludźmi, którzy mają najróżniejsze problemy, w tym psychiczne, potrzebna jest chwila oderwania i spokoju. Ja jednak, z moim przybranym synem Arturem, zostaję w Zochcinie.

Drugim po Zochcinie domem wybudowanym od podstaw był ten w Jankowicach w gminie Ożarów. Otwarto go cztery lata temu. Jest przeznaczony dla 35 osób. Powstał w pobliżu starego ośrodka, który funkcjonuje w byłej szkole. A budowę sfinansował ten sam tajemniczy fundator, który przeznaczył 7,5 mln zł na dom przy Foliałowej. Za architekturę i przystosowanie dla niepełnosprawnych budynek w Jankowicach otrzymał nagrody. Bez wątpienia nowy dom także jest kandydatem do nagród.

Chciałbym być niezależny

Na ścianie sali głównej mural. Artysta zgodził się wykonać go za niewielkie pieniądze. To jedna z pięknych twarzy tutejszego domu. Jeden z mieszkańców na stole w jadalni rozkłada produkty przyniesione właśnie z Biedronki. Mężczyzna zrobił zakupy ▶

► według złożonych zamówień. Mieszkańcy tłoczą się w kolejce. Hitem są wafelki za niecałe 90 gr. Są osoby, które z racji stanu zdrowia nie mogą samodzielnie wybrać się do sklepu, wtedy taka pomoc innych mieszkańców jest bezcenna.

Leszek nie był w sklepie. Ale też nie złożył zamówienia, bo chwilowo nie ma pieniędzy. Czeką na rentę socjalną. Ale jak renta wpłynie, pewnie i tak nie pójdzie do sklepu, bo do przystanku daleko, a on chodzi o kulach. Ma 64 lata, lecz sprawia wrażenie starszego. Opowiada, że wybrał sobie łóżko przy drzwiach, bo bliżej jest do łazienki w korytarzu. A dla niego chodzenie to problem, bo nie ma poływy stopy. – W ubiegłym roku miałem amputowane trzy palce, potem dwa kolejne, potem kawałek stopy – wyjaśnia. – Byłem w ośrodku przy Traktorzystów, ale on się nie nadaje dla ludzi, którzy chodzą o kulach, bo dużo tam schodów. Dlatego znalazłem się w ośrodku siostry Chmielewskiej przy Gniewkowskiej. A stamtąd przywieziono mnie tutaj. Przyjechałem, tak jak stałem, bo nic nie pozwolono nam wziąć. Wszystko poszło do utylizacji. Pewien etap się zamyka, a następny się otwiera.

Najbardziej nie może odżałować, że nic nie mógł zabrać ze sobą. Nawet krzyżówek, kawy, choć była w słoiku, i paczki papierosów. – Krzyżówki uwielbiam – wyznaje. – Kupię nowe, dopiero jak przyjdzie renta.

Jak to się stało, że stał się bezdomny? – Pochodził z Bydgoszczy, pracował w Warszawie, wynajmował mieszkanie – wspomina, ale nie odpowiada wprost na pytanie. Można się domyślić, że w pewnym momencie nie było go stać na wynajem mieszkania i wylądował na ulicy. Alkohol? Może. Nie miał gdzie pójść, choć ma syna i córkę. – Niektóre sprawy nie są załatwione do końca, myślami człowiek jest gdzie indziej – mówi Leszek. – Już odzyskałem kontakt z synem, który jest w Holandii. Jak zadzwoniłem do niego, po kilku latach, to się popłakał. Ja też. Teraz muszę skontaktować się z córką, która jest w Warszawie.

I rozmyśla o tym, co będzie, jak w końcu stopa, która jeszcze boli niemiłosiernie, całkiem się zagoi.



Sypialnie są sześciuosobowe, ale każdy mieszkaniec ma swoją strefę osobistą.

Chciałby stanąć na własnych nogach, pójść do pracy. – Nie mogę i nie chcę tu być do końca życia – zapowiada twardo. – Mam zasiłek socjalny, ale to kropla w morzu, bo uwielbiam krzyżówki, gazety, palę papierosy, piję kawę. Jak wypełniam krzyżówki, to odcinam się od wszystkiego. Można przy mnie gadać, a ja i tak nie słucham. Ale na wszystko potrzebna jest kasa. Uważam, że na utrzymanie jakoś zarobię. Chciałbym być niezależny od nikogo, bo to jest wnerwiające i krępujące.

Artur jest przystojniakiem. Zwraca uwagę tatuażami i umięśnieniem. Choć jest 52-latką, ma figurę młodzieńca. Jeździ na wózku inwalidzkim. Ale to tylko przejściowa sytuacja. – Byłem ze swoją partnerką i jej córką na ścianie wspinaczkowej, nad Wisłą, po praskiej stronie – wyjaśnia. – Dziewczynka bała się sama zejść, więc jej pomogłem, a potem zeskończyłem ze ścianki, żeby poczuć się jak kaskader. A poczułem ból. Połamałem pięty. Dlatego trafiłem do tego domu. Ja mieszkam w mieszkaniu treningowym. Pani wie, co to jest? To takie mieszkanie dla osób, które wychodzą z bezdomności i czekają na przydział mieszkania socjalnego. Tam są dwa małe pokoje i jeden duży. Mieszkam tam z trzema innymi mężczyznami. Każdy z nas pracuje, robi sobie zakupy, gotuje. Raz w tygodniu przychodzi pani, która nas sprawdza. Tam jednak nie ma warunków, żeby poruszać się na wózku, a w budynku nie ma windy.

Moja partnerka nie mogła mnie wziąć do siebie, bo nie ma windy. I co mi pozostało? Dom dla bezdomnych.

Kiedyś Artur miał mieszkanie. Ale, jak teraz ocenia, był młody i głupi. Wpadł w niedobre towarzystwo, kradł, miał dużo pieniędzy, bawił się. A czynszu nie płacił. W końcu został eksmitowany. Pracował, wynajmował mieszkanie. Nie mówi, jak to się stało, że wpadł w bezdomność. – Biorę udział w programie wychodzenia z bezdomności – wyjawia. – Dostaje się punkty za to, że wychodzi się na prostą, że nie pije się alkoholu. Ostatnio dostałem propozycję mieszkania socjalnego, w Śródmieściu Warszawskim, bo kiedyś tam mieszkalem. Ale odmówiłem. Okazało się, że to 15 m kw. i nie ma łazienki, tylko WC. Jak spytałem pani administratorki, gdzie mam się myć po pracy, to ona z kolei spytała: „A w misce pan nie może?”. Ja nie potrzebuję luksusów, ale mamy XXI w. i w mieszkaniu powinna być łazienka. Raz mogłem odmówić przyjęcia propozycji. Ale teraz będę musiał ją przyjąć, jakiegokolwiek to mieszkanie by było.

Pracuje jako ochroniarz. Regularnie chodzi na siłownię, żyje jak zwykły człowiek. Już wyciągnięto mu pręty z pięt: z jednej cztery, z drugiej pięć. Będzie przechodził rehabilitację. W domu dla bezdomnych jest rehabilitant i sala z przyrządami. Artur ma nadzieję, że szybko wróci do sprawności i bez żalu opuści dom przy Foliańskiej, choć warunki tutaj są niemal



Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wyposażyła gabinet pielęgniarki.

luksusowe. Jak ma się ten dom do poprzedniego, przy Gniewkowskiej? – Nie ma porównania, niebo a ziemia. Co jest ważne – przestrzeń. Powiedzmy sobie szczerze, każdy w małych pomieszczeniach się dusi. Jak jest przestrzeń, więcej światła, to i ludziom lepiej się żyje. Standard jest podniesiony o parę pięt – ocenia.

Potęga miłości

Dorota siedzi na łóżku z maską do oddychania. A potem maskę zmienia na „wąsy”. Najpierw, jak wiele innych osób, odmawia rozmowy. Mówi, że to trudne tematy i że na pewno się popłaczę, a tego by nie chciała. Nie lubi wzbudzać współczucia, woli podziw. Wyświetla więc na ekranie smartfona zdjęcie i mówi: „To ja”. A na zdjęciu sprzed lat kobieta o niezwyklej urodzie. Kiedy słyszy okrzyk zachwytu, uśmiecha się skromnie. Dziś Dorota ma 52 lata i nie wygląda jak piękność ze zdjęcia. Ale dba o wygląd.

Do nowego domu przyjechała z lekarką, bo była transportowana z nowym respiratorem. – W folderach widziałam, jak będzie wyglądał ten budynek, ale kiedy podjechałyśmy, zaskoczył mnie jego ogrom – wspomina. – Że to nie jest ciasnota, to zniewolenie, jakie było przy Gniewkowskiej. Tu jest swoboda, jest czym oddychać, a w mojej sytuacji to szczególnie ważne. Mam POChP, czyli przewlekłą obturacyjną chorobę płuc.

Dom przy Gniewkowskiej był dla Doroty miejscem dołączającym. Mimo to, kiedy okazało się, że powinna trafić do hospicjum, wybitała, żeby tam wrócić. Kiedy patrzyła na pobliską betoniarnię, wyobrażała sobie, że hałdy piasku zgromadzone do produkcji betonu to nadmorska plaża, i wtedy humor jej się poprawiał. W nowym domu niczego nie musi sobie wyobrażać, bo wszystko jest idealne. – To, co zrobiła siostra Małgorzata, jest niesamowite – twierdzi. – To jest coś nieprzeciętnego, ile ona daje miłości, ciepła i poświęcenia ludziom pozbawionym przez społeczeństwo nawet szacunku. Dla każdego człowieka jest ważne, żeby być szanowanym. Mnie wydaje się, że z szopy na pałace trafiałam. Tu jest przepięknie! Słyszałam, jak ludzie narzekali, że koce pył. Ja im powiedziałam: „To nie ma znaczenia. Tu chodziło o to, żeby jak najszybciej nas przenieść, żebyśmy normalnie żyli”.

Nic nie wskazywało na to, że Dorota może stać się bezdomną. W dzieciństwie mieszkała na warszawskim Rakowcu. Mieszkanie, które odziedziczyła po mamie, oddała ojcu, bo akurat nie miał. Sama z mężem i dwójką dzieci mieszkała w zakładowym bloku Mery w Falenicy. Kiedy blok został kupiony przez prywatnego właściciela, zaczęły się problemy. Dorota rozwiodła się, a potem straciła prawo do mieszkania. – Musiałam wynajmować – mówi. – Jakoś dawałam sobie radę, ale dopadła mnie choroba. Zaczęto

się od płuc, serce nie wytrzymało, nogi zaczęły puchnąć. Dwa lata temu byłam w szpitalu przy Kasprzaka. A kiedy mnie wypisywano, dostałam skierowanie do hospicjum. Nie chciałam tam pójść. Wolałam być w domu dla bezdomnych przy Gniewkowskiej, bo tam znałam personel i mieszkańców i wiedziałam, że zawsze mogę liczyć na pomoc. Nadal jestem z tymi osobami. Wiem, że będą mi pomagać. Aż do końca, bo któregoś dnia się uduszę.

Teraz, kiedy mieszka w takich luksusach, być może będą ją odwiedzać córka i wnuczki. Córka nawet proponowała jej, by zamieszkała z jej rodziną, u dziadka jej męża, ale nie chciała. A nie daj Bóg wnuczki musiałyby patrzeć na jej śmierć. Syn też proponował, ale ma niedużą kawalerkę w Pułtusk, więc odmówił.

Dorota rozumie złość tych osób, które musiały się pozbyć całego dobytku przed przeprowadzką do nowego domu i zostały z niczym. Choć właściwie mogły przenieść się do innego domu. – Oni muszą zaczynać od początku. Dla takich ludzi to jest tragedia, bo w tych dwóch walizkach było całe ich życie. Ja bez żalu się rozstałam ze swoimi rzeczami. Teraz nie przywiązuję wagi do rzeczy materialnych, bo zobaczyłam, co to znaczy potęga miłości. Ten, kto ma wokół siebie ludzi, którzy mu dobrze życzą, jest najbogatszą osobą na świecie.

– W domach naszej fundacji w różnych miejscowościach mieszka obecnie 200 osób, do nowego domu przy Foliałowej przeniesliśmy z Gniewkowskiej ponad 50 osób – opowiada siostra Chmielewska. – To może nie jest dużo, ale nie zbawimy całego świata. Zbudowaliśmy ten dom i pokazaliśmy, jak powinien w XXI w. wyglądać dom dla ludzi bezdomnych. Oczywiście architektura nie musi być tak wypasiona jak tutaj, ale intencją fundatorów było, aby ten dom był piękny. Żeby to nie była kolejna psia buda dla ludzi, których nikt nie chce, ze-pchniętych na margines, ale miejsce, gdzie ludzie będą się czuli jak ludzie. Każdy człowiek ma prawo do piękna. Nawet ten, który upadł na dno.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Jakub Katulski

Kontrowersje dotyczące wyjazdów izraelskiej młodzieży do Polski powróciły do debaty politycznej, choć paradoksalnie za sprawą porozumienia, a nie konfliktu. W drugiej połowie marca Warszawę odwiedził izraelski minister spraw zagranicznych Eli Kohen, by wspólnie ze swoim odpowiednikiem Zbigniewem Rauem podpisać dwustronną umowę określającą warunki, na jakich wyjazdy te będą organizowane. Taka umowa okazała się konieczna, bo wycieczki uczniów przerwała najpierw pandemia koronawirusa, a później kryzys dyplomatyczny między rządem PiS a koalicją Naftalego Bennetta i Jaira Lapida.

Nie znaczy to jednak, że przyjazdy izraelskiej młodzieży dopiero w ostatnich latach były punktem zapalnym w relacjach między Polską a Izraelem. Na łamach polskiej prasy czy w mediach społecznościowych pracownicy branży hotelarskiej skarżyli się na

Przyjazdy izraelskiej młodzieży od dawna były punktem zapalnym w relacjach między Polską a Izraelem.

zachowanie młodych Izraelczyków w hotelach, ale najbardziej problematyczne okazały się programy wizyt edukacyjnych i obecność uzbrojonych funkcjonariuszy izraelskich służb bezpieczeństwa.

Obecność funkcjonariuszy Szabaku (Służba Bezpieczeństwa Ogólnego) rozpałała wyobraźnię komentatorów, którzy dopatrywali się w tym znamion bezprawia (choć broń i amunicja wwożone były po uzyskaniu konsularnej zgody). Z kolei programy, oparte przede wszystkim na wizytowaniu miejsc związanych z męczeństwem Żydów podczas niemieckiej okupacji Polski, były krytykowane także przez edukatorów związanych z żydowskimi instytucjami. Izraelska młodzież przewożona była od jednego obozu koncentracyjnego do drugiego, z przerwami na sesje edukacyjne w hotelach. Brakowało zwykle spotkań z rówieśnikami z Polski, nawet z żydowską młodzieżą, i możliwości poznania współczesnej twarzy kraju. Trudno

Papier bije kryzys

Czy umowa w sprawie izraelskich wycieczek w Polsce rzeczywiście coś zmienia?

się dziwić, że wielu Izraelczykom Polska kojarzy się jedynie z żydowskim cmentarzem, chociaż często zmieniają później ten pogląd, gdy przyjeżdżają tu ponownie, już nie w ramach programu zorganizowanego przez instytucje państwowe, by samodzielnie poszukiwać swoich korzeni.

Umowa o przywróceniu wizyt edukacyjnych miała się odnieść do powyższych kwestii. Tak przynajmniej krótko po jej podpisaniu przedstawiali to ministrowie i rzecznicy obu stron w mediach społecznościowych, które początkowo były głównym źródłem informacji o treści dokumentu. Gdy

Dani Dajan, dyrektor instytutu, w rozmowie z portalem Times of Israel zaznaczył, że z praktycznego punktu widzenia podpisane porozumienie niewiele zmienia i wycieczki będą miały niemal identyczną formę jak przed pandemiczną przerwą. Zaznaczył jednak, co wcześniej znalazło się w oficjalnym oświadczeniu kierowanej przez niego instytucji, że problematyczny jest aneks do umowy, zawierający listę miejsc do odwiedzenia rekomendowanych przez rząd.

Przynajmniej kilka pozycji z tej listy wzbudza sprzeciw Izraelczyków, którzy uważają, że programy wycieczek oparte na odwiedzaniu sugerowanych miejsc będą się sprowadzały do zakłamywania Zagłady. Szczególne emocje wywołuje wskazanie Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce i Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej. Żydowski badacz są przekonani, że odwiedzenie tych placówek może budować w młodych Izraelczykach nieprawdziwe przekonanie, że Polacy wyłącznie ratowali Żydów od śmierci. Co więcej, młodzież byłaby zmuszona oddawać cześć takim postaciom jak Józef Kuraś „Ogień”, który, jak przekonuje sam Instytut Pamięci Narodowej na swoim portalu, może i zabijał Żydów, ale nie za fakt ich przynależności religijnej czy etnicznej, lecz za współpracę ze służbami lub członkostwo w Polskiej Partii Robotniczej. IPN podaje nawet imienne przykłady, które wbrew tezie jasno postawionej w opracowaniu na temat Kurasia nie rozwiewają wątpliwości wobec jego postaci.

Aneks zawiera też listę muzeów, które dopiero są „w organizacji”, natomiast, co bardzo ciekawe, nie ma w nim wcale wskazanych niemieckich obozów koncentracyjnych

politycy ogłaszali sukces swoich działań dyplomatycznych, można było się zastanawiać, gdzie jest treść umowy.

Ta została ujawniona dopiero w kwietniu przez stronę izraelską, w językach hebrajskim i angielskim. Wówczas rozlała się fala krytyki ze strony polityków, publicystów, badaczy i instytucji, w tym choćby Instytutu Jad Waszem czy byłego premiera Jaira Lapida. Lider Jesz Atid dzisiaj jest przywódcą izraelskiej opozycji, organizującej właśnie największe antyrządowe protesty w historii kraju (w sobotę 15 kwietnia na ulice Tel Awiwu wyszło 115 tys. Izraelczyków, już 15. tydzień z rzędu), więc przyganiecie przez niego ekipie Beniamina Netanjahu sceptycy mogliby uznać za typowo polityczną zagrywkę, tym bardziej że wprost nazwał umowę „kapitulacją” Bibiego przed rządem PiS. Krytyka ze strony Jad Waszem, państwowej instytucji zajmującej się badaniem i upamiętnianiem Zagłady, jest jednak bardziej zniuansowana.



(coż, pewnie można uznać, że wizyty w nich są oczywiste i nie wymagają specjalnej rekomendacji) ani takich instytucji jak Europejskie Centrum Solidarności czy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, z którymi przynajmniej od kilku lat PiS ma problem.

Trudno przewidzieć, w jakim stopniu listę rekomendowanych miejsc wycieczki będą uwzględniać, czy nie ograniczą się do takich punktów jak wymienione na niej Muzeum POLIN, które i tak jest jednym z najpopularniejszych obiektów odwiedzanych

koordynując jednak swoje działania z instytucjami izraelskimi.

Zakres tej współpracy precyzuje ów drugi aneks, według którego Szabak wraz z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego mają wspólnie oceniać poziom zagrożenia dla konkretnych grup i na tej podstawie przydzielać im kolor: zielony, żółty lub czerwony. Dwa pierwsze poziomy zakładają, że polskie agencje mają odpowiadać na różne incydenty i prowokacje, bez ingerencji Izraelczyków. Dopiero poziom czerwony zakłada zwiększoną obecność izraelskich

i czy rzeczywiście zmniejszy się liczba uzbrojonych funkcjonariuszy z Izraela.

Być może jednak umowa przyczyni się do dalszego rozwoju sektora prywatnej ochrony, bo stwierdza również, że grupom w Polsce mają towarzyszyć nie tylko pracownicy polskich firm ochroniarskich (zatwierdzonych przez Izraelczyków), lecz także izraelskich firm zaakceptowanych przez Polaków. To nic nadzwyczajnego, bo większość izraelskich i żydowskich grup odwiedzających polskie miasta i tak porusza się w towarzystwie polskich ochroniarzy, którzy dobrze znają i teren, i język, co z pewnością ułatwia im rzeczywistą ocenę zagrożenia.

Na razie umowa nie została ratyfikowana przez parlamenty i nie wiemy, jak będzie wyglądała jej stosowność. Możliwe, że faktycznie niewiele ona zmieni, a jest jedynie pewnym rodzajem chwytu PR-owego. Rząd Netanjahu może się pochwalić sukcesem dyplomatycznym, rozwiązaniem kryzysu, do którego doszło za władzy poprzedników, a rząd Morawieckiego może pokazać, że wcale nie jest formacją antysemitką, o co oskarżał go Jair Lapid. Ci, którzy mieli to kupić, już przekaz kupili. A przynajmniej udaje się zażegnać jeden z najbardziej bezcelowych konfliktów dyplomatycznych, do jakich doszło w ostatnich latach między Polską a Izraelem. ■

Kontrowersje wzbudzały programy wizyt i obecność uzbrojonych funkcjonariuszy izraelskich służb bezpieczeństwa.

przez Żydów przyjeżdżających do Polski, prywatnie bądź w ramach zorganizowanych wyjazdów. Tak można zresztą interpretować opinię Daniego Dajana.

Najwięcej miejsca w tekście porozumienia zajmuje kwestia bezpieczeństwa, co wyraźnie wskazuje, że polskie władze chciałyby przejąć niemal całkowicie odpowiedzialność za młodych Izraelczyków. Zresztą czarno na białym umowa i drugi aneks do niej stwierdzają, że to polska policja będzie zabezpieczała wycieczki,

agentów, którzy otrzymają konsularną zgodę na wwiezienie broni i amunicji.

Na papierze zdaje się, że nieczęsto będzie możliwe zastosowanie ostatniego rozwiązania. Treść dokumentu precyzuje, że jego celem jest ograniczenie liczby izraelskich funkcjonariuszy, co więcej, wycieczki mają otrzymywać poziom czerwony jedynie wtedy, gdy pojawi się informacja o bezpośrednim zagrożeniu konkretnej grupy wizytującej. Praktyka pokaże, w jaki sposób będzie wyglądała współpraca Szabaku z ABW

Kryzysowa gra Macrona

Na dłuższą metę ludzi nie stać na ciągłe strajkowanie

Wojciech Albert Łobodziński

Francja wrze. 14 kwietnia w Rennes podpalono komisariat policji, ta w odpowiedzi zorganizowała „ścieżki zdrowia”. Nad centrum Nantes w tym samym czasie unosiły się dymy i swąd gazu łzawiącego. W Paryżu miały miejsce okupacje budynków administracyjnych oraz starcia z policją. Wszystko to w odpowiedzi na zatwierdzenie przez Radę Konstytucyjną większości założeń rządowej reformy podwyższającej wiek emerytalny z 62 do 64 lat. Publikacja w Dzienniku Urzędowym zaledwie kilka godzin po częściowym zatwierdzeniu zmiany prawa przez Radę Konstytucyjną została odebrana przez wielu jako nowa prowokacja. Premier Élisabeth Borne wraz z Emmanuelem Macronem nie wywalczyli swojej reformy drogą parlamentarną. Nie przekonali do niej ani społeczeństwa, ani polityków opozycji.

Czy kolejne cztery lata prezydentury Macrona będą niekończącą się batalią ze związkami zawodowymi i społeczeństwem obywatelskim?

W związku z tym 16 marca powołali się na art. 49.3 francuskiej konstytucji, który pozwala im ominąć Zgromadzenie Narodowe i przeforsować ustawę bez głosowania. Jedynym zabezpieczeniem jest to, że uruchomienie tego artykułu umożliwiałoby głosowanie nad wotum nieufności, ono jednak nie zostało przegłosowane.

Czy kolejne cztery lata prezydentury Macrona będą niekończącą się batalią ze związkami zawodowymi i społeczeństwem obywatelskim?

Reforma przewiduje podnoszenie wieku emerytalnego stopniowo, od 1 września 2023 r., począwszy od ubezpieczonych urodzonych 1 września 1961 r. Choć zmiana

z polskiej perspektywy może nie być rewolucyjna, perspektywa Francuzów jest zgoła inna.

– To jawne złamanie umowy społecznej, którą mamy we Francji od czasów powojennych, co więcej, jej ofiarami będą osoby urodzone chwilę po jej ustanowieniu, a więc w latach 60. Dla wielu jest to skok na publiczne pieniądze, zebrane przez te lata w ramach systemu emerytalnego, i jawna potwarz dla pokoleń ciężko pracujących Francuzów. Koniec końców jak możemy sobie wyobrazić funkcjonowanie osób 60-letnich na rynku pracy? Już teraz osoby 50-letnie miały z tym problem – mówi Yousra Khalifa, marokańska dziennikarka z Lille.

Kilka dni po ogłoszeniu przez Élisabeth Borne reformy emerytalnej, w czwartek, 19 stycznia, rozpoczął się ogólnokrajowy strajk. Pracownicy zarówno sektora publicznego, jak i prywatnego wyszli na ulice. Łączna liczba protestujących przekroczyła

200 tys. dni mobilizacji, kiedy to na ulice we wszystkich miastach ustalonego dnia wychodziły strajkujące związki zawodowe.

Ponad 70% Francuzów jest przeciwnych obecnej reformie emerytalnej, która wydaje się na ten moment głównym osiągnięciem ostatniej kadencji Macrona. – Nikt nie chce takiego dziedzictwa, poza nim samym. Atmosfera we Francji jest w tej chwili niezwykle napięta, w walkę z ustawą emerytalną zaangażowani są uczniowie szkół średnich i studenci, ale także nauczyciele, lekarze i większość innych branż. Ludzie są zbuntowani i źli na rząd, czują, że nie są słuchani, co tłumaczy masowy udział w strajkach i protestach – relacjonuje Yousra Khalifa.

Parlamentarny gambit

Po prawie dwóch miesiącach niepokoju społecznych, 14 marca, francuskie gazety pisały, że Macron ze swoim mniejszościowym rządem ma tylko dwa wyjścia: albo poprawić relacje z Les Républicains, albo powołać się na art. 49.3. Sami ministrowie upierali się jednak, że rząd nie pójdzie tą drogą. W wywiadach twierdzili, że artykuł ten został powszechnie potępiony jako niedemokratyczny. Jednocześnie liderzy związków zawodowych ostrzegali, że zastosowanie art. 49.3 doprowadzi do eskalacji konfliktu w i tak już głęboko podzielonym kraju.

Kilka minut przed planowanym na 16 marca głosowaniem nad ustawą Macron wciąż nie był pewien, które wyjście wybrać. Atmosfera w Assemblée nationale – niższej izbie parlamentu – była piekielnie gorąca. Nikt nie był pewien, jaką drogę wybierze rząd, nawet sam Emmanuel Macron. W ostatniej chwili w obozie prezydenckim przeszła „opcja atomowa”, czyli powołanie się na art. 49.3, za czym przemawiał fakt, że



prezydent „nie był pewien uzyskania wystarczającej liczby głosów”.

Cały ten chaos odzwierciedla stan francuskiej polityki w ostatnich miesiącach. Mniejszościowy rząd Borne i Macrona, tworzony przez kilka partii liberalnych, z których największą jest Renaissance Macrona – 250 deputowanych na 577 miejsc w Assemblée nationale – ciągle się chwieje. Aby tę chybotaninę ograniczyć, podpisał on porozumienia programowe z Les Républicains i nacjonalistami kierowanymi przez Marine Le Pen. Polegają one na przegłosowywaniu poszczególnych ustaw, a nie całościowej wizji państwa i jego reformy, co powoduje ciągłe negocjacje między partiami prawicowymi. Lewica, zjednoczona w bloku NUPES – Nouvelle Union populaire écologique et sociale – mimo drugiego miejsca w wyborach odgródzona jest od reszty partii kordonem sanitarnym.

Opcja atomowa

Sięgnięcie po „opcję atomową” skończyło się jeszcze większymi mobilizacjami społecznymi. Powróciły wcześniej już opisywane metody protestu, jednak tym razem policja zareagowała na nie znacznie ostrzej. Strajki i blokady dróg stały się do początku kwietnia codziennością.

Wiek emerytalny podnoszony będzie stopniowo, od 1 września 2023 r.

Robotnicy i studenci, uczniowie i pracownicy publiczni demonstrowali codziennie od 16 marca, w środku tygodnia na ulice wychodziło dzień po dniu, według różnych danych, 2-3 mln ludzi. Czuli się infantylizowani przez rządową propagandę, twierdzącą, że prości ludzie nie rozumieją powodów podniesienia wieku emerytalnego. – Nikt nie słucha ich głosu, nikt nie negocjuje z partiami, na które głosowali, a które w większości są lewicowe. Wiele osób nie głosowało, bo po prostu nie wierzy już we francuską demokrację – tłumaczy zdarzenia z ostatnich tygodni Yousra Khalifa.

Jednak w pierwszych dniach kwietnia widać już było zmęczenie protestujących. Manifestacji było mniej, chociaż miało się wrażenie – po tak długim oporze społecznym – że to tylko cisza przed burzą. Ostatnie sto dni ciągłych protestów, jak i zmęczenie ogólnym stanem pograżonej w inflacji gospodarki, odbijającym się na portfelach Francuzów, dało obozowi Macrona przewagę. Na dłuższą metę ludzi nie stać na ciągłe strajkowanie. Można to odczuć na demonstracjach.

– Musimy się nauczyć walczyć, jednocześnie przegrywając. To, co tutaj robimy, zostanie na następne pokolenia i nawet jeśli nie uda się zatrzymać tej reformy w najbliższym czasie, to wierzę, że damy przykład na przyszłość, pokazując, jak walczyć o swoje prawa – deklaruje na demonstracji z początku kwietnia Pierre z lokalnego oddziału związku zawodowego CGT. Z jego zdaniem zgadzają się inni protestujący. Zauważają, że choć jest ich na tej konkretnej manifestacji mało, to gdyby zebrać wszystkich działaczy CGT, mogłoby ich być ponad tysiąc. – Praca nad świadomością ludzi zajmuje dużo czasu – dodaje Jean. – Możemy nigdy nie zebrać plonów tego, co robimy w naszym życiu. Ale idee przenikają do społeczeństwa. W tym czasie musimy to kontynuować.

A przede wszystkim wyrwać się z kultu natychmiastowości: młodzi ludzie chcieliby wszystko od razu, a potem się wypalają. A walka społeczna tak nie wygląda.

Jeszcze większa eskalacja?

W odpowiedzi na protesty Macron po powrocie z Chin przemówił 17 kwietnia do narodu. Prezydent próbował odwrócić karty, ogłaszając trzy projekty: pracy, sprawiedliwości i porządku demokratycznego oraz postępu dla lepszego życia. Jednak nie powiedział nic, co mogłoby udobruchać protestujących. Stwierdził, że ustawa była potrzebna, w takim kształcie, w jakim ją zaproponował rząd Élisabeth Borne, ale jest otwarty na rozmowy ze związkami zawodowymi, jeśli chodzi o podwyżki płac czy bezpieczniejsze warunki pracy.

– Komentarze prezydenta pokazują, że wciąż nie rozumiał upartego gniewu, który jest wyrażany w kraju. Musi uszanować demokrację społeczną i przytłaczające odrzucenie tej reformy przez społeczeństwo. Tak arogancka władza wykonawcza ▶

► nie zdaje sobie sprawy z odpowiedzialności, jaką ponosi, zamykając się w swojej ignorancji. A ponosi wyłączną odpowiedzialność za wybuchową sytuację w całym kraju – stwierdzają związki zawodowe w apelu wystosowanym godzinę po przemówieniu prezydenta. – Po trzech miesiącach odrzucenie refor-

reformie emerytalnej wszędzie w kraju. Zachęcają wszystkich pracowników, młodzież, emerytów i ogół społeczeństwa, by zmanifestowali licznie, w sposób spokojny i zdecydowany, zachęcając do udziału kolegów, przyjaciół i rodziny, aby uzyskać uchylene tej nieuzasadnionej, brutalnej i niesprawiedliwej reformy.

Związki zawodowe we Francji dokonały rzeczy historycznej, zawierając porozumienie w sprawie reformy i działając w imię wspólnych postulatów.

my emerytalnej jest nadal masowe. Po ogłoszeniu ustawy w piątek, prezydent potwierdza w przemówieniu swoją pogardę zarówno wobec związków zawodowych, jak i wobec młodzieży i całego społeczeństwa. Międzyzwiązkowa organizacja potwierdza, że nie będzie uczestniczyła w spotkaniach z władzą wykonawczą – dodają.

Jednocześnie związkowcy wzywają, aby 1 maja był dniem masowej i zjednoczonej mobilizacji przeciwko

Jednak czy to wystarczy? – Związki zawodowe we Francji dokonały rzeczy historycznej, zawierając porozumienie w sprawie reformy i działając w imię wspólnych postulatów. Wybrały taktykę organizacji protestów ulicznych, która okazała się niewystarczająca. Zapewne na Macronie większe wrażenie mógł zrobić strajk generalny, pytanie jednak brzmi, czy związki będą w ogóle przygotowane na taką ewentualność i czy francuscy pracownicy,

dla których ostatnie lata też nie były łatwe, zaryzykowałoby udział w takim proteście i utratę zarobków – mówi mi dziennikarka Małgorzata Kulbaczevska-Figat. – Prezydent Francji udowodnił już, że swoje polityczne plany realizuje bez względu na wszystko. Nie cofa się przed agresywnym rozpędzaniem demonstracji i sięganiem po przymoc policyjną. Nie zrezygnował z reformy emerytalnej ani w obliczu historycznej mobilizacji na ulicach, ani patrząc na sondaże, które jednoznacznie pokazywały, co większość wyborców myśli o całej sprawie. Dopóki będzie to możliwe, Macron będzie się uchylał od dialogu ze związkami – dodaje.

Możliwe, że atmosfera z początku kwietnia istotnie była tylko ciszą przed burzą. Związkowcy wydają się zdeterminowani, aby dalej walczyć przeciwko rządowi Macrona. Pytanie, jak długa i jak brutalna będzie to walka. W końcu ile można walczyć, przegrywając?

Wojciech Albert Łobodziński





FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

CODZIENNIE ODBIERAMY TELEFONY Z WOŁANIEM O POMOC

Dzieci często dzwonią do nas w nocy.
Problemy i lęki nie pozwalają im spać.
Słuchamy ich. Wspieramy.
Jesteśmy dla nich zawsze.

Przekaż **1,5%**
Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę
i wspieraj telefon zaufania **116 111**

KRS 0000 20 44 26

wspierajtelefon.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

0 wymóżdzeniu

Dziesięć lat temu ogłosiłem w „Polityce” artykuł „Tajemnica Witolda Pileckiego”. Z dokumentów, opublikowanych w wydany przez IPN albumie, wywnioskowałem, że Pilecki poszedł w więzieniu na współpracę z UB. Artykuł wywołał burzę, najbardziej się rozgniewał IPN, ale i pravicowi publicyści nie pozostali w tyle. Bronił mnie tylko „Przegląd”. Lecz moi „polemiści” byli odporni na argumenty. „Romanowski bardzo chwali bezpieczeństwo”, głosił tytuł jednej z tych „polemik”, świadczący, że tyle tylko zrozumiano. Bo przecież „polemistom” chodziło jedynie o to, by dowalić; by autora potępić, a jego poglądy zakrzyczeć, zatupać, zdeptać i wymazać z pamięci. I to się udało: do moich ustaleń nikt do dziś się nie odwołuje. Natomiast istnieje ruch społeczny postulujący... wyniesienie Pileckiego na ołtarze.

Ale hagiografia i oszczerstwo w jednym stoją domu. Gdy kiedyś Adam Michnik oddał do sądu sprawę powtarzającego się pomówienia, jakoby „wielokrotnie powtarzał: ja tyle lat siedziałem w więzieniu, to teraz mam rację”, oszczercy nie spoczęli nawet wtedy, gdy sprawę przegrali. Na łamach ogólnopolskiego dziennika pojawił się list zbiorowy, którego sygnatariusze z uporem powtórzyli to kłamstwo, i tym razem nie przytaczając na nie żadnego dowodu. Chodziło więc

o to samo, co w przypadku Pileckiego: by dowalić, zatupać i unicestwić. W tym przypadku unicestwić orzeczenie sądowe. Cóż, Goebbels ponoć twierdził, że kłamstwo wielokrotnie powtarzane zostaje uznane za prawdę. Ciekawe tylko, że ci sami ludzie ekscytowali się ewangelicznym wezwaniem „poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi”.

Ekscytowali się tak zwłaszcza przy badaniu ubeckich teczek. Dopiero dziś, wobec Jana Pawła II, porzucili tę efektowną frazę. To miłe, że zmienili zdanie, ja również mam do nowych rewelacji stosunek mieszany, ale różnica między mną a nimi pozostaje fundamentalna: oni wzywają do szanowania polskiego papieża, ja – do szanowania wszystkich bliźnich. A przy tym nie mogę nie czuć obrzydzenia do tych lustratorów kameleonów i nie mogę milczeć, widząc akcje i demonstracje mające i tym razem wszystko, co ujawniono, zakrzyczeć i unicestwić. Jaka jest bowiem odpowiedź polskiego Kościoła na rodzące się w społeczeństwie pytania? Tylko jedna: zamknięcie archiwów.

W ostatnio wydanej książce „Demokracja na czarną godzinę” pisał o tym zjawisku prof. Wojciech Sadurski. Prawicowcy dobrze wiedzą, że w Smoleńsku nie było

żadnego zamachu, ale chodzi im o akces do grupy, o bycie takim jak inni, o znalezienie się w tłumie – nie myślącym, lecz wrzeszczącym, i to jednym głosem. Tymczasem do tego, by być z innymi, potrzebna jest wspólnota z nimi w kłamstwie: jakiś odblask wspólnoty w zbrodni, bo czymże, jak nie zbrodnią, jest niszczenie społecznej komunikacji? Wymiana argumentów jest zatem z zasady niemożliwa: byłaby ona przyznaniem polemiście równych praw, podczas gdy nie jest on tu nawet przeciwnikiem – jest wrogiem. „Jeśli wróg się nie poddaje, to się go unicestwia”, pisał w roku 1930, w stalinowskiej „Prawdzie”, Maksym Gorki.

Pytanie, skąd w nas się wziął ów owczy pęd zawsze w tym samym kierunku? Jakie trucizny krążyły przez lata istnienia III Rzeczypospolitej? Szukając odpowiedzi najgłębszej i najpierwotniejszej, dochodzę do wniosku dla mnie jako katolika szokującego i bolesnego. Wszak wszystko to wzięło się z Kościoła! Wszystko – z Jana Pawła II! To przecież przekonanie Kościoła i polskiego papieża o niedyskutowalności głoszonych prawd

Jaka jest odpowiedź polskiego Kościoła na rodzące się w społeczeństwie pytania? Tylko jedna: zamknięcie archiwów.

zrodziło ów fundamentalizm moralny, który tak świetnie wyraża dziś Kaja Godek, a który dowodzi, że dla katolickiego rygoryzmu żadne bariery nie istnieją i że nie łągodzi go nawet postawa dla chrześcijaństwa tak zasadnicza jak miłosierdzie. Czy trzeba dodawać, że taki rygoryzm prowadzi do zniszczenia dyskusji? I że jest nie do pogodzenia z demokracją?

Przez dziesiątki i setki lat polscy pisarze i myśliciele analizowali nasze wady narodowe, starali się o ich naprawę, wzywali do moralnego odrodzenia. Dziś odwrotnie: jesteśmy usypiani bajkami o „dumnym narodzie” i stajemy bezbronni wobec moralnych anatem Kościoła, kłamstw IPN oraz nihilizmu i cynizmu rządzących. Dziś dominuje nie polski indywidualizm, ponoć tak słynny w świecie, lecz polska mimikra, polski instynkt stadny, ów „terroryzm nierozumu”, o którym prawie już 200 lat temu pisał Maurycy Mochnacki. I to prowadzi wprost do tytułowego wymóżdżenia. Bo wszelkie bezpieczniki zostały – przez Kościół – wyłączone.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Tragiczny realizm Roberta Kaplana

To, czego nasi przywódcy dopuścili się w Afganistanie i Iraku, było szaleństwem. Szaleństwo to może zostać powtórzone wobec Rosji i Chin, z o wiele gorszymi skutkami

John Gray

Brytyjski filozof John Gray jest prawdopodobnie najbardziej znanym współczesnym myślicielem politycznym na świecie. Wykładał na najznamienitszych uniwersytetach (Oksford, Harvard, Yale oraz London School of Economics and Political Science). Jego poglądy przeszły znaczącą ewolucję. Jako uczeń Isaiaha Berlina i Michaela Oakeshotta zaczynał jako obrońca neoliberalizmu i jego brytyjskiej wersji – taczeryzmu. Friedrich August von Hayek uznał go za najwybitniejszego kontynuatora swojej myśli. Dziś Gray jest radykalnym obrońcą środowiska naturalnego i przeciwnikiem antropocentryzmu. Jego ostatnia książka nosi tytuł „Feline Philosophy. Cats and the Meaning of Life” („Kocia filozofia. Sens życia według kotów”, Warszawa 2022).

W prezentowanych fragmentach tekstu, który 28 stycznia 2023 r. ukazał się na stronie internetowej tygodnika „The New Statesman”, Gray odnosi się do najnowszej pracy amerykańskiego dziennikarza i analityka politycznego Roberta D. Kaplana „The Tragic Mind. Fear, Fate, and the Burden of Power” („Tragizm polityki naszych czasów. Strach, fatum i brzemię władzy”, Warszawa 2023). Gray – od samego początku przeciwnik amerykańskiej inwazji na Irak – docenia chęć Kaplana rozliczenia się z błędów początkowego jej popierania. Kaplan sytuuje się w jawnej opozycji do amerykańskiej klasy politycznej, która nie widzi specjalnych powodów do krytycznego przemyślenia podjętych wtedy decyzji. Grozi jej też popętnienie podobnych błędów w odniesieniu do Rosji i Chin.

Średniowieczny filozof perski Abu Hamid al-Ghazali stał na stanowisku, że jeden rok anarchii jest gorszy od stu lat tyranii. O prawdziwości tej myśli amerykański pisarz Robert

Kaplan przekonał się na podstawie własnego gorzkiego doświadczenia. Jako korespondent pracujący na Bałkanach, w Jemenie, Afganistanie i Sierra Leone – poparł wojnę w Iraku, wierząc, że obalenie tyranii Saddama Husajna będzie korzystne dla tego kraju. (...) Po pierwszej bitwie o Faludżę w kwietniu 2004 r., zastał jednak sytuację „dużą gorszą od tej, jaka panowała w Iraku w latach 80. (XX w. – przyp. P.K.): krwawą wojnę wszystkich przeciw wszystkim, którą reżim Saddama, choć przy użyciu skrajnie brutalnych środków, potrafił powstrzymać. Depresja, na którą cierpieć przez następne lata z powodu mojej pomyłki co do irackiej wojny, doprowadziła mnie do napisania tej książki. Obląłem mój test jako realista (...). Przyczyniłem się do propagowania wojny, na skutek której zginęły setki tysięcy ludzi”.

Tragedia to konflikt jednego dobra z drugim. Sprawiedliwość i wolność są wielkimi dobrami, lecz podobnie pokój i porządek.

Kaplan rozpoznał źródło swojego błędu w nieumiejętności myślenia w sposób tragiczny. Tragedia to konflikt jednego dobra z drugim. Sprawiedliwość i wolność są wielkimi dobrami, lecz podobnie pokój i porządek. Dobra te mogą pozostawać wobec siebie w sprzeczności. Powyższemu konfliktowi wartości przeczą ci, którzy wierzą, że liberalne wartości demokracji i prawa człowieka rozprzestrzeniają się na świecie, i dążą do przyspieszenia tego procesu za pomocą wojen zmierzających do zmiany reżimów politycznych. Niektórzy piastowali wysokie stanowiska w najpotężniejszej maszynie militarnej świata. „Wiara, że potęga Stanów Zjednoczonych potrafi

zawsze naprawić świat, jest pogwałceniem tragicznej wrażliwości. Mimo to znacząca liczba przedstawicieli naszej waszyngtońskiej elity ze sfery polityki zagranicznej wyznaje ten pogląd. Ponieważ polityka sama w sobie jest procesem zmierzającym do poprawy – a najlepiej do naprawy – niezliczonych punktów widzenia reprezentowanych za granicą, elity ufają, że z każdym problemem można się uporać, a podawanie tego w wątpliwość jest jedynie fatalizmem”. (...)

Ten skromny, elegancki i przejmujący tom (praca Kaplana „The Tragic Mind” – przyp. P.K.) zawiera w sobie więcej mądrości niż niezliczone napuszone studia z zakresu nauk politycznych. Jeśli istnieje jedna współczesna książka, która powinna znaleźć się w rękach ludzi decydujących w kwestii wojny i pokoju, to jest nią właśnie ta pozycja.

Poruszając się po szeroko rozumianych naukach humanistycznych, Kaplan prezentuje wnioski płynące ze starożytnych greckich dramatów, z dzieł Szekspira, Melville’a i innych pisarzy, którzy badali nierozwiązywalne ludzkie dylematy. Z głębi swojej depresji wydobył garść pereł. Gdzie jednak biją źródła tragedii w polityce i dlaczego tak uparcie się jej przeczy? Jednym ze źródeł naukowych, na których Kaplan się opiera, jest praca oksfordzkiego klasycysty Maurice’a Bowry „Sophoclean tragedy”, opublikowana w 1944 r. Tak jak w przypadku Kaplana zdobycie wiedzy na temat tego, czym jest tragedia, nie przyszło Bowrze łatwo. W I wojnie światowej walczył

on w bitwie pod Passchendaele, w której „codziennie oglądał śmierć” w okopach, rozkładające się ciała ludzi i koni (pomiędzy 31 lipca a 6 listopada 1917 r. liczba ofiar po stronie aliantów i Niemców przekroczyła pół miliona żołnierzy). W pewnym momencie Bowra został przysypany w ziemiance, 20 stóp pod ziemią. Przeżył, nabrał głębokiej odrazy do wojny, ale jednocześnie gardził pacyfizmem. Oglądając Hitlera na wiecu, stał się jednym z najzacieklejszych krytyków ustępstw. Wojna była straszna, ale nazizm był gorszy – wybór między nimi był nie do uniknięcia.

Kaplan ma rację, stojąc na stanowisku, że sednem tragedii nie jest problem zła. „Holokaust i ludobójstwo w Rwandzie nie były tragediami. Były ogromnymi i nikczemnymi zbrodniami”. Jądem tragedii jest los, fakt, że istoty ludzkie stają przed nieuniknionymi wyborami i cokolwiek robią, pociągnie to za sobą nieodwracalną stratę. (...) Wedle Sofoklesa bogowie zderzyli ludzi z problemem tragedii, aby nauczyć

ich pokory. Jak to ujął Bowra: „Tragedia Sofoklesa krąży wokół konfliktu pomiędzy bogami a ludźmi. Bogowie mają powód, aby do tego konfliktu doprowadzić. Chcą udzielić ludziom lekcji, zmusić ich, by uświadomili sobie i zaakceptowali to, że jako śmiertelników dotyczą ich ograniczenia”. Świadomość tragedii – wywodząca się z teologii pogańskiej, w której nieograniczona ambicja jest najpewniejszą drogą do zguby – została osłabiona wraz z nadejściem chrześcijaństwa. (...) Chrześcijaństwo jest wiarą antytragiczną. Za sprawą agonii Chrystusa na krzyżu ludzkość została odkupiona. W greckiej tragedii natomiast nawet najwięksi ludzie doświadczają zupełnej, ostatecznej klęski. Współczesna wiara, że każdy ludzki konflikt można rozwiązać, jest świecką, humanistyczną wersją chrześcijańskiej obietnicy powszechnego zbawienia, odartą z nadprzyrodzonych treści. Orędownicy zmian reżimów tłumaczą makabryczne fiaska, do których doprowadzili, jako błędy, których można było uniknąć. Twierdzą, że

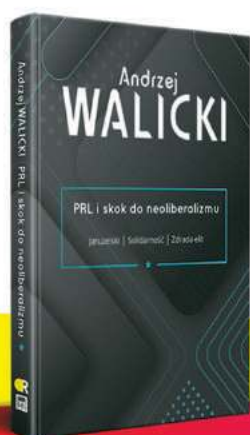
przy odpowiednim planowaniu i wystarczającej determinacji Afganistan i Irak mogłyby zostać przekształcone w coś na wzór zachodnich demokracji. Nie istniała zatem tragiczna alternatywa w postaci tyranii lub anarchii, którą Kaplan zbyt późno rozpoznał w Iraku. W powyższym światopoglądzie nie ma miejsca na tragedię, są tylko pomyłki lub słabości woli. (...)

Po dziś dzień ci, którzy w Waszyngtonie i w Londynie parli do irackiej wojny, odmawiają wzięcia jakiegokolwiek odpowiedzialności za uwolnione przez siebie niszczycielskie siły. Kaplan jest niemalże sam w przyznaniu się do odegrania swojej roli i do tego, jaki popełnił błąd. Nasi przywódcy niczego się nie nauczyli. To, czego dopuścili się w Afganistanie i Iraku, nie było tragiczne – choć wielu ludzi poniosło dotkliwe straty – to było czyste szaleństwo. Niebezpieczeństwo polega na tym, że takie szaleństwo może zostać powtórzone w stosunku do Rosji i Chin, z o wiele gorszymi skutkami (...).

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

POLITYCZNY TESTAMENT PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO

TRZY TOMY NAJWAŻNIEJSZYCH PISM WYBITNEGO INTELEKTUALISTY



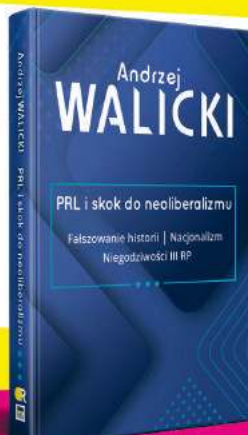
I TOM 75 ZŁ

- JARUZELSKI
- SOLIDARNOŚĆ
- ZDRADA ELIT



II TOM 76 ZŁ

- ANTYKOMUNIZM ZAMIAST WOLNOŚCI
- PORACHUNKI INTELIGENTKIE



III TOM 77 ZŁ

- FAŁSZOWANIE HISTORII
- NACJONALIZM
- NIEGODZIWOŚCI III RP

PAKIET
228 zł
190 zł

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa dostawa** kurierem InPost.

Niewygodny bohater

Dlaczego pomniejsza się rolę PLAN – walczącej w getcie organizacji lewicy demokratycznej

August Grabski

Powstanie w getcie warszawskim stanowi najważniejszy symbol żydowskiego antyfaszystowskiego czynu zbrojnego. Jako takie stanowiło od początku obiekt zabiegów ze strony różnych sił politycznych, które usiłowały kształtować jego wizerunek zgodnie z własnym interesem. Przykładem tego może być choćby wieloletnie wyeliminowanie z obiegu medialnego prawicowej organizacji Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW) przez historyków związanych z Żydowską Organizacją Bojową (ŻOB). Ofiarą umniejszania i wyciszania ze strony tendencyjnych historyków padła też organizacja lewicy demokratycznej – Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa (PLAN), kierowana przez Cezarego Szemleja, ps. „Janusz”, „Ketling” (po wojnie zmienił nazwisko na Janusz Ketling-Szemlej). W historii pomocy dla walczącego getta jest to postać istotna – nie ma wątpliwości, że był on ważnym dostawcą broni dla Żydowskiego Związku Wojskowego, co więcej, świadczącym pomoc dla tej organizacji bez akceptacji AK, a potem usiłującym ratować żołnierzy ŻZW.

PLAN powstała w 1940 r., w miejsce innej organizacji używającej takiej samej nazwy, która została rozbita przez Niemców. W miarę autonomizowania się i zrywania z AK opracowała własny radykalny program społeczny, zakładający uspołecznienie środków produkcji i wprowadzenie gospodarki planowej, decentralizację państwa oraz stworzenie federacji narodów Europy Środkowo-Wschodniej (tę koncepcję określano mianem federalizmu). Program PLAN tworzony był przez Cezarego Szemleja, Wacława Barcikowskiego, po wojnie przewodniczącemu Centralnego Komitetu

Stronnictwa Demokratycznego, oraz literata Jana Nepomucena Millera. Ta kilkusetosobowa organizacja konspiracyjna do dziś nie znalazła swego badacza. Nie sprzyjało jej szczęście. Najpierw – jako zbyt lewicowa – wzbudzała niechęć AK i jej apologetów, w latach 60. zaś jej komendant został skazany na więzienie za przekazywanie „oczerniających” PRL informacji Radiu Wolna Europa.

Kim był barwny i kontrowersyjny komendant PLAN? Cezary Szemlej (1915-1979) przed wojną był pracownikiem Ministerstwa Sprawiedliwości, udzielał się w środowisku Stronnictwa Demokratycznego. W związku z podporządkowaniem PLAN AK zorganizowany przez PLAN pluton pod kierownictwem Cezarego Szemleja był

szukających trzeciej drogi między AK i PPR. Zmuszony do wybierania między komunistami a Londynem, w okresie powstania warszawskiego Szemlej był zdecydowanym zwolennikiem podporządkowania się Centralnego Komitetu Ludowego PKWN, do czego zresztą doszło.

Bohater ze skazą?

Na postać Szemleja rzuca cień wystawiana mu przez antykomunistów z AK opinia watałki gotowego na czyny nieetyczne. Wspomniane negatywne oceny Cezarego Szemleja były związane z niewyjaśnioną sprawą rzekomej próby denuncjacji redakcji pisma „Z Dnia na Dzień”. W związku z tą sprawą 21 lutego 1943 r. II Wojskowy Sąd Specjalny przy KG AK skazał zaocznie Cezarego Szemleja na karę śmierci za wystąpienie pod koniec sierpnia i na początku września 1942 r. do gestapo dwóch anonimów (które, przejęte, nie trafiły do hitlerowców) z propozycją wydania czołowych działaczy konspiracyjnych polskiego Państwa Podziemnego w zamian za zwolnienie aresztowanego działacza PLAN.

Sprawa próby wydania redakcji „Z Dnia na Dzień” wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była zmontowaną przeciwko Szemlejowi prowokacją polityczną mającą go zniszczyć za krytykę przez PLAN kształtującej się w AK koncepcji „stania z bronią u nogi”. Krytyka ta miała również charakter publiczny. Oto bowiem w październiku 1942 r. pismo PLAN „Rzeczpospolita” zamieściło artykuł zatytułowany „Do czynu!”, radykalnie krytykujący gróźnienie ruchu oporu w bierności: „Przestańmy się oglądać na niebo i biernie wyczekać defilady zwycięskich wojsk amerykańskich, czy bolszewickich. Nie



częścią warszawskiego Kedywu. Za udział w akcjach zbrojnych Szemlej został odznaczony przez komendanta AK Krzyżem Walecznych (w czerwcu 1943 r., gdy był już skazany na śmierć przez AK!). Po zerwaniu kontaktów z AK PLAN wzięła udział w powołaniu w listopadzie 1943 r. Naczelnego (potem Centralnego) Komitetu Ludowego – bloku politycznego socjalistów, demokratów i syndykalistów



Fałszywy wojenny dokument Cezarego Szemleja, wystawiony na nazwisko Oskar Romer.

które będą w najbliższym czasie przeprowadzone”.

Z kolei Bernard Zakrzewski, szef kontrwywiadu AK, pisał (do dowódcy Kedywu płk. Emila Fieldorfa): „Arpad vel Janusz powiązany silnie z żydowskim ruchem komunistycznym w getcie warszawskim, dokonuje znacznych przerzutów uzbrojonych Żydów w okolice podwarszawskie, gdzie zamierzają dokonywać aktów sabotażowych na własną rękę. Wciąż do tej roboty szerokie kręgi zdezorientowanej młodzieży, staczając się na coraz bardziej komunistyczne pozycje. Jest to niebezpieczny akt zdrady, nieobliczalny w swych wojskowych i politycznych konsekwencjach”. Zakrzewski naciskał na szybką „likwidację” Szemleja. Nazywanie przez niego prawicowego i syjonistycznego ŻZW komunistami było oczywiście fałszem mającym jedynie przyspieszyć likwidację Szemleja jako jednostki niebezpiecznej dla propagandy orientacji polonijnej.

Z pomocą walczącemu gettu

Do pierwszego kontaktu Szemleja z ŻZW doszło w grudniu 1942 r. Związek natrafił na dojście do Szemleja „przypadkowo”; była to już kolejna próba nawiązania przez tę żydowską organizację kontaktu z Delegaturą i AK. Wobec ówczesnych opinii

przyzwyczajamy się do myśli, że damy się zarżnąć jak żydowskie barany. A już dochodzą nas wieści z Polesia, że wzięli się tam Niemcy za wyniszczanie Polaków. (...)

Niech staną Arbeitsamty i Kreislandwirty i inne urzędy, ale niech jednocześnie padnie sygnał, że mają stanąć koleje, tramwaje, elektrownie, gazownie, warsztaty, fabryki – wszystko! To rewolucja i powstanie? Tak to rewolucja i powstanie, akcja czynna. To walka. Lepsza jednak walka, choćby najbardziej ryzykancka, choćby nawet beznadziejna, niż to grzęźnięcie w bagnie apatii, w ohydzie poddaństwa. Odwlekanie pociąga za sobą więcej ofiar, niż pociągnąć może akcja jak najszybsza. Dość zebrań, gadaniny, składania wniosków, wycyrklowanej i zardzewiałej odwagi, dość kompromitacji tzw. zdrowego rozsądku. Do czynu, czynu wołamy!”.

Apel PLAN został przedrukowany przez „Trybunę Wolności”, organ Polskiej Partii Robotniczej, jako wyraz przenikania świadomości konieczności walki do coraz szerszych kół społeczeństwa. Dla Delegatury artykuł był podstawą do postawienia PLAN (fałszywego) zarzutu infiltracji komunistycznej.

W kontekście wzmożonego zainteresowania „Ketlingiem” w AK, po skręceniu PLAN „w lewo”, na temat Szemleja powstało kilka notatek,

w których przedstawiona została również jego współpraca z Żydowskim Związkiem Wojskowym.

Stanisław Michałowski z Biura Informacji i Propagandy KG AK pisał wiosną 1943 r. o warszawskim getcie: „Jest tam podobno grupa ok. 150 Żydów młodych i zdecydowanych na wszystko i dość dobrze uzbrojonych [chodzi o Żydowski Związek Wojskowy]. [Szemlej] prowadzi z tą grupą interesy handlowe, dostarcza broń i to podobno w dość dużych ilościach, w zamian za gotówkę, względnie artykuły odzieżowe. Twierdzi, że był w getcie i widział daleko idące przygotowania obronne, np. zamaskowane piwnice, różne

Cezary Szemlej był ważnym dostawcą broni dla Żydowskiego Związku Wojskowego, a potem usiłował ratować żołnierzy ŻZW.

podziemne przejścia, a w szczególności tunel długości kilkudziesięciu metrów [pod Muranowską]. W schronach i tunelach znajdują się duże zapasy żywności i broni. Tunel ma wyjście na dzielnicę aryjską. Wymieniona grupa żydowska szuka przez Arpada [Szemleja] kontaktu z Teodorem [chodzi o płk. Franciszka Niepokólczyckiego – zastępcę komendanta Kierownictwa Dywersji w Komendzie Głównej AK] dla uzgodnienia pewnych dużych akcji sabotażowych,

o Szemleju w Komendzie Głównej AK był on oczywiście fatalnym kandydatem na pośrednika w kontaktach z AK. Z drugiej strony zainteresowanie Delegatury i KG AK pomocą dla żydowskich konspiratorów było skromne (świadectwem są tu kontakty ŻOB z AK). Nie jest więc do końca przypadkiem, że ŻZW mógł i musiał współpracować jedynie z działaczem skromnej rangi, jakim był Szemlej. Do pierwszego spotkania Szemleja z ŻZW doszło poza gettem w grudniu ▶

► 1942 r. Żołnierze ŻZW chcieli zarówno uzyskać pomoc polskich instruktorów wojskowych, jak i zakupić od Polaków broń.

Dla człowieka takiego jak Szemley, watażki o sarmackim temperamencie, bez wątpienia getto było atrakcyjnym miejscem walki z Niemcami, walki, z której nie musiał szczegółowo tłumaczyć się władzom AK, niemającym dobrego rozeznania na tym terenie. Dodatkowo za akcje zbrojne w getcie nie odpowiadała polska ludność cywilna. Wspomniana kwestia narodowa nie miała dla niego (jako lewicowca, antyklerykała, być może sympatyka masonerii) zasadniczego znaczenia, ale z technicznego punktu widzenia było to istotne dla Szemleya jako podlegającego prawicowym polskim władzom wojskowym.

PLAN wzięła udział w szerokim przerzucie broni dla ŻZW i szkoleniu jego żołnierzy, pomogła ŻZW w likwidacji konfidentów w getcie, wspólnie z ŻZW przeprowadziła akcję zniszczenia magazynów SS. W czasie powstania w getcie PLAN wzięła udział w dwóch akcjach pod murami getta. Chodzi o próbę wyśadenia muru od ul. Bonifraterskiej 19 kwietnia i atak na posterunek niemiecki na rogu Okopowej i Dzikiej 23 kwietnia 1943 r. Gdy ŻZW zaczęło brakować możliwości walki – zbyt wielka była przewaga Niemców, zbyt skromne uzbrojenie powstańców i zbyt dotkliwa stosowana przez nazistów taktyka wypalania budynków – grupa kierowana przez Pawła Frenkla 29 kwietnia tajnym tunelem pod ul. Muranowską opuściła getto, przechodząc do domu po aryjskiej stronie muru na Muranowskiej 6.

PLAN pomogła w dalszej ewakuacji żydowskich powstańców (w liczbie ok. 30-40) przy użyciu karawanu, który wywiózł żołnierzy ŻZW do Michalina, gdzie na bojowników czekała specjalnie wynajęta willa. Często jeżdżący karawan nie wzbudzał zainteresowania Niemców ze względu na znajdujący się w pobliżu szpital Jana Bożego. Jednak po dekonspiracji (zdaniem Szemleya „na skutek niezachowania dostatecznych środków



Strona tytułowa „Rzeczpospolitej” – organu PLAN.

ostrożności”) i walce z Niemcami w Michalinie ta grupa żydowskich bojowników wróciła do Warszawy, gdzie ukrywając się po aryjskiej stronie, nadal korzystała z pomocy finansowej PLAN.

W kierunku lewicowego patriotyzmu?

W kwestii problematyki narodowej PLAN toczyła zdecydowaną walkę polemiczną z endecją, usiłując przeciwstawić jej model patriotyzmu zawierający poszanowanie dla ideałów sprawiedliwości społecznej i praw mniejszości narodowych. Organizacja głosiła więc na łamach swojego pisma „Rzeczpospolita”: „Narodowi »Demokraci«, którzy szerzą u nas sztukę lichą deklamacji, wprowadzili zwyczaj publicznego wyznawania na zimno miłości ojczyzny. A jak wiadomo, Narodowa »Demokracja« jest ultra katolicka, a więc kocha bliźniego, ale nienawidzi: postępowych demokratów, socjalistów, żydów, rusinów, litwinów [pisownia oryginalna]. (...)

Gdy cała tzw. »miłość ojczyzny« redukuje się do przedwyborczej modlitwy: »narodzie daj mandat«, gdy się staje i z gestem mickiewiczowskim pokrzykuje: »endecja i naród

to jedno«, gdy kochać ojczyznę znaczy: siedzieć cicho, nie mieć swego zdania, zdychać z głodu, dać się skubać księdzu i zachwycać się wszystkimi bzdurami »rozmyślań nowocześnie Polaka« – to chciałoby się taką miłość ojczyzny odrzucić precz jak robaka, co po nas łązi... Bo czymżesz jest owa miłość ojczyzny co parska nienawiścią do trzech czwartych obywateli?».

PLAN odwoływała się w kwestiach narodowościowych do Kościuszki, Pułaskiego, Mickiewicza, jako reprezentantów patriotyzmu, którzy, „z najgłębszej miłości Ojczyzny czerpiący nakaz miłości całej ludzkości”, realizowali „wysiłkiem całego życia najpiękniejsze hasło braterstwa wszystkich wolnych ludów”.

Zawłaszczanie przez endecję haseł narodowych budziło radykalny sprzeciw: „Z pięknego wyrażenia »narodowość«, »narodowy« zrobiono jakiś łachman plugawy, aby się nim objawiały jak w togi wszelkie ludzkie miernoty, wszelkie reakcyjno-klerykalistyczne i moralne gadziny. Wyraz ten wbrew swojej niedawnej przeszłości stał się symbolem myślowego niedołęstwa, ten wyraz, który dawniej z siłą magiczną całe pokolenia budził do największych wysiłków, do bezgranicznych ofiar, do poświęceń bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Dziś zamieniony w czapkę błazeńską brzęczy nad głową łada matofka w »narodowej« służbie”.

Nie odzegnując się od haseł narodowych i przedstawiając własny model patriotyzmu zawierający poszanowanie dla ideałów sprawiedliwości społecznej i praw mniejszości narodowych, PLAN nawet tej wersji patriotyzmu nie wynosiła do rangi naczelnego hasła organizacji. Takimi hasłami otwierającymi numer „Rzeczpospolitej” w połowie 1942 r. były: „Demokracja, Federalizm, Sprawiedliwość społeczna”. Takimi wartościami kierowali się bohaterowie jednego z ważnych epizodów pomocy dla walczącego warszawskiego getta ze strony polskiej lewicy.

„Przegląd” 16/2008



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Finlandia – oddalający się ideał

Przeczytałem książkę o Finlandii młodego socjologa z Uniwersytetu Łódzkiego Wojciecha Woźniaka. Tytuł jest wymowny: „Państwo, które działa. O fińskich politykach publicznych”. Intencje krytyczne autora są jasne: tam państwo działa, u nas nie. Dlatego moglibyśmy nauczyć się od Finów, jak dobrze je zorganizować. W tym kontekście przywoływana książka jest szczególnie ciekawa. Wskazuje ona bowiem zupełnie inną drogę wychodzenia z peryferyjności niż ta, która stała się naszym udziałem.

Finowie postawili na silne państwo, które nadzoruje rynek kapitalistyczny, po to by rezultaty jego działania były korzystne dla wszystkich. Mało tego, państwo inicjuje istotne działania gospodarcze, które realizują pewien plan modernizacji – tak, tak, plan! – przyjęty przez wszystkie siły polityczne i realizowany pomimo zmian u steru władzy. W dodatku jest to państwo opiekuńcze. Nikogo nie pozostawia swojemu losowi, zapewnia bezpieczeństwo socjalne i poczucie bycia elementem wspólnoty, która dba o dobro wszystkich. Ogromne znaczenie w procesie podejmowania decyzji mają tam zawsze eksperci naukowcy, albowiem naukę traktuje się serio i potrafi się z niej korzystać dla dobra wspólnego.

Szczególną rolę w wielkim sukcesie Finlandii odegrała edukacja. Wyłącznie państwowa (istnienie szkół prywatnych jest zakazane), na wspaniałym poziomie, dbająca o równość i zapewniająca znakomite warunki do rozwoju wszystkim dzieciom. Nauczyciele fińscy są świetnie wynagradzani, a zawód nauczyciela cieszy się wielkim prestiżem. Autor podkreśla również funkcję bibliotek publicznych, które nie tylko stanowią miejsce realizacji pasji czytelniczych obywateli, ale także są lokalnymi centrami kultury i życia wspólnotowego.

A teraz Polska. Poszliśmy dokładnie w przeciwną stronę. Dziki, nieregulowany kapitalizm, na który spoglądało bezsilne państwo. Zwijające się i tanie, czyli dziadowskie. Nierealizujące żadnego planu strategicznego. Nie było też żadnego ponadpolitycznego konsensusu. Co rząd, to inna koncepcja rozwoju, a właściwie brak takowej, wszak rynek miał sam załatwić wszystko – i właściwie jedynie co do tego była zgoda. Wszystkie rządy miały w nosie naszych naukowców i naukę jako taką. Czy słyszeliście Państwo, aby kiedykolwiek zasięgnięto ich rady przed podjęciem ważnych decyzji gospodarczych lub społecznych? A proszę mi wierzyć, akurat nauka polska nie odstaje poziomem od fińskiej. Problemem był zawsze programowy antyintelektualizm naszych elit politycznych, co zmarły niedawno Paweł Śpiwak, naukowiec zaplątany

onegdaj w tryby polityki, stwierdzał nieraz z wielkim rozczarowaniem.

Edukacja? Upadająca, z coraz większym sektorem prywatnym i ogromnym rynkiem usług korepetycyjnych, znakiem wadliwości systemu jako takiego. Po 1989 r. zamknięto 2 tys. bibliotek publicznych (sic!), zdaje się, że w imię idiotycznego założenia neoliberalnego światopoglądu, że jak ktoś chce czytać książki, to niech sobie je kupi. Trwa nędra nauczycieli i wykładowców szkół wyższych – po 40 latach w zawodzie stwierdzam wprost: ich sytuacja nie poprawiła się ani na jotę, jak na początku mojej kariery, tak i teraz młody adiunkt klepie biedę. Plus upadek prestiżu ich zawodu. A bibliotekarze? Ci niedocenieni agenci światłego społeczeństwa? Cisi bohaterowie marzenia o lepszym, bo mądrzejszym świecie? Nic, tylko usiąść i płakać nad ich losem.

Nigdy nie przesuniemy się do gospodarczego centrum, zawsze pozostaniemy peryferiami. Na własne życzenie.

I tak oto Finlandia, prowadząc mądrą politykę społeczną, szybko stała się krajem centrum gospodarczego, o najwyższej na świecie jakości życia, a my zostaniemy wieczną prowincją, z coraz gorszymi usługami publicznymi i nędznymi płacami sfery budżetowej, ale z wielkimi pretensjami do lokalnej mocarstwowości. Dlaczego nawet nie próbowaliśmy uczyć się od Skandynawów? Skąd to nasze zauroczenie najgorszą, anglosaską wersją kapitalizmu? Skąd uporczywe podążanie w kierunku przeciwnym do tego, który takim krajem jak Finlandia zapewnił sukces? Wciąż realizujemy niemądre schematy amerykańskiego turbokapitalizmu. Vide sukces Konfederacji, partii reprezentującej dokładnie odwrotny wobec skandynawskiego pakiet propozycji gospodarczych i społecznych. A także posłuch dla bliskich jej idei Forum Obywatelskiego Rozwoju, których realizacja gwarantuje obywatelski niedorozwój na wieki.

Nigdy nie przesuniemy się do gospodarczego centrum, zawsze pozostaniemy peryferiami. Na własne życzenie. Szukaliśmy rad i inspiracji za oceanem, zamiast wzorować się na naszych sąsiadach zza Bałtyku. Chcieliśmy być drugą Japonią, zamiast pragnąć być drugą Finlandią. Podniecaliśmy się bogactwem kilku naszych oligarchów, zamiast dbać o przyzwoity poziom życia wszystkich. Ubóstwiliśmy nowego boga: rynek kapitalistyczny, zamiast okiełznać jego ekscesy i kazać mu iść tam, gdzie chcemy. Przegapiliśmy naszą dziejową szansę, a Finlandia odplynęła nam w siną dal...

Tępimy absurdy pseudomedyczne

Mleko z miodem, herbata z cytryną, rosół z kury, witamina C lub D, sok z jeżówki nie leczą przeziębienia. Mogą czasami łagodzić niektóre objawy

Rozmawia Michał Sobczyk

Na swoim kanale na YouTube konfrontuje pan powszechne przekonania ze sfery zdrowia z aktualnym stanem wiedzy naukowej.

– Wiele mitów panuje choćby w odniesieniu do używek. Oto przykłady tych najbardziej popularnych: kawa „wypłukuje” magnez, odwadnia organizm i szkodzi na serce, alkohol w małych dawkach jest zdrowy, piwo jest dobre na nerki, czerwone wino jest zdrowe.

A tak nie jest?

– Kawa nawadnia organizm tak samo jak każdy inny płyn, nie „wypłukuje” magnezu, a nawet sama go zawiera. Z powodu obecności przeciwutleniaczy i związków fenolowych może działać korzystnie na układ sercowo-naczyniowy. Problemem jest natomiast wypijanie dużych ilości tego napoju – ze względu na zawartość kofeiny. Wówczas faktycznie może zaszkodzić. W przypadku alkoholu wykazano, że już nawet małe dawki, ale wypijane regularnie, mogą działać szkodliwie (np. powodować wzrost aktywności niektórych enzymów wątrobowych i uszkadzać hepatocyty – komórki wątroby). Piwo zawiera alkohol, który uszkadza miąższ nerki, czyli działa nefrotoksycznie, aczkolwiek rzeczywiście zwiększa ilość wydalanego moczu, zmniejszając w pewnym stopniu ryzyko rozwoju kamicy. Ale uwaga! Można nie mieć „kamieni” nerkowych mimo poważnego uszkodzenia (niewydolności) nerek. Czerwone wino faktycznie zawiera antyoksydanty, np. resweratrol, jednak problemem pozostają zawarte

w nim alkohol i konserwanty, takie jak siarczyny i dwutlenek siarki, dlatego lepiej zamienić wino na sok z jagód, czarnej porzeczki lub czerwonych winogron.

Wielu produktom żywnościowym towarzyszy wiara w ich specjalne właściwości. Niektórym pokarmom przypisuje się działanie przeciwzapalne, podczas gdy inne mają zakwaszać organizm. Pan dowodzi w filmach, że niektóre z tych obie-

gowych mądrości mają się nijak do prawdy.

– Tak zwane zakwaszenie organizmu to mit. Organizm utrzymuje pH krwi na stałym poziomie, tj. 7,35-7,45. Jego wartości w poszczególnych typach komórek są inne, ale także względnie stałe – jest to niezbędne m.in. do prawidłowego funkcjonowania enzymów wewnątrzkomórkowych. Produkty „zakwaszające” (np. mąka, cukier, pszenica, wieprzowina,



PATRYK NOWAK

– diagnosta laboratoryjny, absolwent Akademii Medycznej we Wrocławiu, twórca popularnonaukowego kanału Pod Mikroskopem na YouTube, wydał książkę „Pod mikroskopem. Największe absurdy pseudomedyczne”. Obecnie pracuje w Zakładzie Patomorfologii i Cytologii Klinicznej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu.

wędliny, słodczyce) są rzeczywiście niezdrowe, ale nie dlatego, że „zakwaszają”, tylko z powodu małej wartości odżywczej (niskiej zawartości białka, niezbędnych nienasyconych kwasów tłuszczowych, witamin i składników mineralnych). Z kolei produkty „alkalizujące” (np. szpinak, brokuły, oliwa, większość owoców i warzyw) są po prostu zdrowe, bo zawierają wyżej wymienione składniki odżywcze.

Czyli taki podział nie ma sensu?

– Podział żywności na „zakwaszającą” i „alkalizującą” mija się z celem i jest sprzeczny z wiedzą naukową, bo organizm posiada niewyczerpywalne i odnawialne układy buforowe (m.in. wodorowęglanowy, białczanowy i fosforanowy), które utrzymują pH na względnie stałym poziomie. Nieprawdziwe są też twierdzenia, że ocet jabłkowy jest bardzo zdrowy, a sok z cytryny zakwasza żołądek, który dzięki temu lepiej trawi. Wszystkie owoce i warzywa są bardzo zdrowe, każdy powinien zjadać co najmniej pięć porcji warzyw i owoców dziennie. Gwoli ścisłości: nie uważam, że są to produkty niezdrowe. Niektórzy ludzie, np. chorzy na zespół jelita drażliwego, nie powinni jednak spożywać wszystkich owoców i warzyw ze względu na dużą ilość fermentujących węglowodanów (choćby w brukselce, jabłkach czy kalafiorze). Istnieją również choroby lub objawy chorobowe, w przebiegu których należy ograniczać warzywa i owoce z powodu dużej zawartości błonnika (jak te przebiegające z biegunką). Dieta „przeciwzapalna” ma zmniejszać stan zapalny w organizmie, a więc być bogata w przeciwutleniacze i substancje o działaniu bakteriobójczym (garbniki, olejki eteryczne, terpeny i terpenoidy). Zawarte są one m.in. w czosnku, cebuli i zielonej herbacie. Nie należy jednak oczekiwać, że wyleczymy tą dietą raka, zapalenie stawów, jelit albo inne choroby. Także tutaj istnieją indywidualne przeciwwskazania do stosowania takiej diety, która powinna być dobierana indywidualnie, np. z pomocą dietetyka.

Które z najsilniej zakorzenionych w świadomości społecznej domowych sposobów na powszechne dolegliwości, np. na przeziębienie,

nie mają żadnego potwierdzenia w wynikach badań?

– Tak naprawdę zawsze są „jakieś” wyniki badań. Przecież zwolennicy tzw. altmedu też się na nie powołują. Jednak jakość tych badań budzi duże wątpliwości – brakuje w nich grupy kontrolnej lub badana próba jest mała, co nie pozwala na wykonanie testów statystycznych i wyciągnięcie obiektywnych wniosków. W wielu przypadkach są to badania in vitro, czyli przeprowadzone poza organizmem. Tymczasem o skuteczności można mówić dopiero wtedy, gdy lek przejdzie próby kliniczne, względnie gdy metoda leczenia okaże się skuteczna w dobrze zaplanowanych, dużych badaniach: metaanalizach, kohortach, próbach podwójnie zaślepionych lub randomizowanych. A takich w przypadku przeziębienia nie ma. To choroba wirusowa, wywołana najczęściej przez rinowirusy, którą można leczyć tylko objawowo. Leczenie przyczynowe nie istnieje. W związku z tym mleko z miodem, herbata z cytryną, rosół z kury, witamina C lub D, sok z jeżówki, olej z wątroby rekina, tran itp. nie leczą przeziębienia. Mogą czasami łagodzić niektóre objawy. W dużych przeglądach systematycznych wykazano, że przyjmowanie tak popularnej witaminy C może skrócić czas trwania przeziębienia o ok. 8% u dorosłych i 13% u dzieci, czyli w praktyce o niecały dzień. Jedynie cynk wypadł nieco lepiej.

Nasz naród wyznaje rozmaite, nieraz sprzeczne przekonania, również na temat mechanizmów tycia i chudnięcia.

– Tutaj sprawa jest z pozoru oczywista: tyjemy wskutek zwiększonej podaży kalorii, a chudniemy w sytuacji deficytu kalorycznego. Reszta to kwestia odpowiedniego doboru produktów żywnościowych i stylu życia, w przypadku którego decydującą rolę odgrywa poziom aktywności fizycznej. Są oczywiście wyjątki od tej reguły. Czasami trudności w odchudzaniu lub tyciu mogą być spowodowane pewnymi stanami chorobowymi, np. chorobą Cushinga (nadmiar kortyzolu we krwi), cukrzycą, zespołem metabolicznym, nadczynnością (chudnięcie) lub niedoczynnością (tycie) tarczycy, zaburzeniami wchłaniania

składników pokarmowych związanymi z chorobami jelit, trzustki lub celiakią. Są to jednak indywidualne przypadki.

Kolejny obszar pańskiej działalności popularyzatorskiej to prześwietlanie różnych rodzajów testów, którym poddają się osoby zatroskane o swoje zdrowie. Co z tego ma jakąś wartość, a co pasuje raczej do szufladki „modne a durne”?

– W diagnostyce różnych stanów chorobowych należy brać pod uwagę testy o dużej wartości diagnostycznej, czyli takie, które przekazują jak najwięcej informacji o stanie zdrowia. Mówiąc fachowo, mają wysoką czułość i swoistość diagnostyczną oraz wartość predykcyjną. Po co nam test, którego nieprawidłowy wynik jest trudny do interpretacji, bo przykładowo może świadczyć o kilkunastu różnych chorobach, a nawet występować w niektórych stanach fizjologicznych? Testy, które odradzam, bo są z pogranicza praktyk znachorskich, to m.in. badanie żywej kropli krwi, biorezonans, analiza pierwiastkowa włosów, kwantowa analiza składu ciała. Nie warto też wykonywać badań „z krwi” w kierunku infekcji *Helicobacter pylori* (nadaż się do tego testu na antygen z kału). Inne testy, których również raczej nie polecam, przynajmniej jako badań wstępnych, to ocena składu flory jelitowej, zawartości witamin we krwi (z wyjątkiem kwasu foliowego i witaminy B12) oraz indywidualne profile genetyczne. Ale już konkretną wartość mają takie badania jak morfologia krwi, OB, CRP, AST, ALT, kreatynina, glukoza, hormony (kortyzol, TSH), kalprotektyna w kale, badanie ogólne moczu.

Ciekawi mnie, które z „ludowych” przekonań na temat zdrowia, choć brzmią niedorzecznie, okazały się uzasadnione naukowo.

– Niektóre popularne przekonania mogą być „bliskie prawdy”. Dotyczy to stosowania miodu w infekcjach górnych dróg oddechowych – wprawdzie miód ich nie leczy, ale zmniejsza częstość kaszlu u dzieci. Innym przykładem są starodawne okłady ze spleśniałego chleba na rany – z pleśni *Penicillium spp.* wyizolowano antybiotyk penicylinę – czy ▶

▶ jedzenie kiszzonek i picie kefirów w czasie antybiotykoterapii: wiemy, że bakterie probiotyczne działają korzystnie na przewód pokarmowy, jednak muszą być dostarczane w postaci probiotyków aptecznych lub żywności z przedrostkiem bio- lub acti-. Zimne okłady na zbiecie gorączki na czoło lub kark to kolejny przykład. Także stosowanie ziół (np. dziurawca, mięty, melisy, rumianku) znajduje uzasadnienie w niektórych dolegliwościach. Zaliczyłbym tu również przyjmowanie cynku w stanach zwiększonej podatności na infekcje górnych dróg oddechowych, ale już niekoniecznie tranu. Następny przykład to okłady z herbaty na oczy w zapaleniu spojówek, ze względu na zawartość garbników faktycznie może (?) ona wykazywać działanie słabo bakteriobójcze i przeciwzapalne.

Jak weryfikować „odziedziczone” czy zasłyszane opinie na tematy medyczne? Gdzie, poza kanałem Pod Mikroskopem, szukać wiarygodnych informacji?

– W razie wątpliwości odnośnie do zasłyszanej informacji na tematy związane ze zdrowiem należy zasięgnąć opinii osoby, która ma wiedzę w danym zakresie zdobytą w czasie nauki – w zależności od konkretnej sytuacji może to być lekarz rodzinny, pielęgniarka, diagnosta laboratoryjny, dietetyk itp. Bardzo dobrym źródłem informacji, bo dostępnym dla każdego, kto korzysta z internetu, jest baza MEDLINE stworzona przez National Center for Biotechnology Information (NCBI). Dostęp do niej odbywa się poprzez PubMed, jest bezpłatny i nie wymaga wcześniejszej rejestracji. Dobrym wyborem są również czasopisma naukowe, ukazujące się w formie tygodników, miesięczników czy kwartalników (jak słynne „Lancet” i „Nature”) oraz opinie ekspertów towarzystw naukowych. Ostatecznie można sięgnąć do podręczników akademickich lub ze szkoły średniej, bo mamy gwarancję, że treści w nich zawarte zostały sprawdzone pod względem merytorycznym przez specjalistów. Popularne mity na tematy związane ze zdrowiem zostały też obalone w mojej książce „Pod mikroskopem. Największe absurdy pseudomedyczne”.

Mity na temat chudnięcia i tycia

W sprzeczności z aktualnym stanem wiedzy pozostają następujące przekonania:

- mało jem, a mimo to nie mogę schudnąć (przyczyną jest złe liczenie kalorii lub choroba);
- dużo jem, a mimo to nie mogę przytyć (również tutaj decyduje liczba kalorii, a brak przyrostu masy ciała może być związany z chorobą, np. zespołem złego wchłaniania lub nadczynnością tarczycy);
- „dieta cud” powoduje gwałtowny spadek masy ciała w kilka dni, mimo że nie jest drastyczna (zwykle jest to ubytek wody związany z rozkładem wiążącego ją glikogenu, a nie faktyczna utrata tłuszczowej masy ciała; efekt ten obserwowany jest najsilniej w przypadku bardzo popularnej ostatnio diety ketogenicznej);
- dieta musi być bardzo restrykcyjna, aby jak najszybciej osiągnąć zamierzony rezultat (to błędne przekonanie, bo „zdrowa” utrata masy ciała powinna wynosić 0,5-1 kg/tydzień);
- żeby schudnąć, trzeba wykluczyć z diety tłuszcz (nieprawda, bo organizm może „zamienić” w tłuszcz również węglowodany; nie należy rezygnować z tzw. zdrowych tłuszczów zawartych w olejach roślinnych);
- nie można schudnąć na diecie bogatej w tłuszcz (błędne przekonanie – przykładem jest dieta ketogeniczna, bogatotłuszczowa i niskowęglowodanowa, na której się chudnie);
- lepiej jeść często, ale mniej, niż rzadko, ale dużo (w rzeczywistości nie ma to większego znaczenia dla odchudzania, jeśli podaś kalorii jest w ciągu doby podobna).

Jak rozbrajać antynaukowe przekonania naszych krewnych i znajomych? Niektórzy są bardzo przywiązani do swoich wyobrażeń i praktyk.

– To prawda. Nie należy niczego narzucać na siłę, stosować krzyku, obrażać, ponieważ to tylko doprowadzi do konfliktu i uzyska się efekt odwrotny do zamierzonego. Natomiast tam, gdzie to potrzebne, należy spokojnie przedstawić swoją opinię

i poprzeć ją logicznymi argumentami. Można skierować krewnego do innej osoby, która jest dla niego autorytetem – np. dla ludzi starszych często będzie nim lekarz rodzinny. Z własnego doświadczenia wiem jednak, że czasami to nie działa. Niektóre stereotypy są tak mocno zakorzenione w ludzkiej świadomości, że nie sposób z nimi walczyć. Ale nie zawsze jest to konieczne. Tam, gdzie wskutek stosowania niepotwierdzonych metod leczenia nie ma ryzyka pogorszenia stanu zdrowia, można odpuścić. Jeśli nasza babcia chce stosować herbatę z miodem na przeziębienie i wierzy, że jej to pomoże, nie trzeba jej zabraniać, chyba że ma cukrzycę...

Które popularne mity ze sfery szeroko rozumianego zdrowia uważa pan za szczególnie zabawne, a które – za groźne dla społeczeństwa?

– Zabawne jest stosowanie drogiej soli himalajskiej zamiast taniej i lepszej, bo jodowanej, kuchennej, picie tzw. wody strukturyzowanej lub „z lodowca”, stosowanie „reguły pięciu sekund” (gdy coś upadnie na podłogę, to można podnieść i zjeść, jeśli zrobi się to bardzo szybko), przynoszenie chorem do szpitala rosółów, unikanie dodawania cytryny do herbaty, bo „uwalnia się glin i można dostać alzheimera”, twierdzenie, że jedzenie w pośpiechu spowoduje wrzody żołądka albo że nie wolno otwierać okna w domu i wietrzyć mieszkania, bo przeziębimy się od zimna (tzn. że lepszy jest ciepły smrodek niż świeży chłodek). Niebezpieczne są te zachowania, które mogą doprowadzić do obrażeń tkanek lub narządów (np. picie octu w celu zakwaszenia żołądka u osoby z chorobą wrzodową – może to wywołać krwawienie z owrzodzenia i nasilenie dolegliwości bólowych), stosowanie głodówki w czasie infekcji (bo „choroby nie należy karmić”), przyjmowanie megadawek witamin na różne dolegliwości, leczenie raka i chorób autoimmunologicznych samą dietą, eliminacja bez potrzeby glutenu z jadłospisu – bo to prowadzi do odrzucenia wielu wartościowych produktów spożywczych, zwłaszcza bogatych w selen, takich jak pszenica.

Michał Sobczyk

Wiosną stanęły zegary Froteksu

13 lat temu zniknął z mapy przemysłu tekstylny gigant, ale nie zniknął z domów, z pamięci, z serc

Beata Dżon-Ozimek

– Myślę, że wszyscy mieli ręczniki Froteksu – mówi 60-latek z Opola. Pokazuje miejsce na Małym Rynku, gdzie był modelowy sklep firmowy, jeden z wielu w Polsce.

Do dziś dawni pracownicy i byli prezes, Josel Czerniak, współtwórca fantastycznej pozycji Froteksu na rynku europejskim, nie wierzą, że można było tak dobrą markę i firmę zepsuć, wyprzedać, zniszczyć. Nawet kilka lat po wojnie fabryka zaczęła prężnie działać, chociaż Neustadt, miasto niemieckie, dopiero zamieniło się w polski Prudnik.

Niedaleko dworca kolejowego, przy głównej drodze, wciąż z gładkiej kostki, rozciąga się miasto w mieście. Miasto-fabryka w ruinie, w części zachowane, w części już tylko wyobrażone. Musiało być ogromne, jeśli w latach 20., a potem 60. XX w. pracowało tu, jadło, korzystało z zaplecza socjalnego aż 4 tys. osób. Romantyzujący ceglany neogotyk, który do dzisiaj wielu zachwycił starannością formy, był i funkcjonalny, i nowoczesny na miarę czasów – słyszę i czytam – nieustannie modernizowany.

Jeśli ktoś nie wiedział, dlaczego w fabrykach tekstylnych ogromne okna podzielone są na mnóstwo małych szybek, to powodem były „latające” czótenka – elementy ciągnące nitkę podczas tkania na krosnach przemysłowych. Ciężkie czótenka lubiły bowiem uwalniać się z rytmu tkania i z wielką siłą wylatywać – jeśli nie uderzyły w tkaczkę, mogły skończyć lot np. na szybie, ale wtedy tłukły jedną szybkę czy dwie, a nie całą tafelę. O tym opowiadały mi dawne tkaczki nieistniejących, lecz wciąż silnie obecnych – a właściwie silnie nieobecnych – w Prudniku i regionie



Zbigniew Cwynar przez wiele lat projektował wzory tekstyliów.

Zakładów Przemysłu Bawełnianego Frotex.

Rzeka Prudnik zmieniała zabarwienie w zależności od tego, na jakie kolory farbowano przędzę. Przecież dawniej nikt specjalnie się nie martwił ekologią i „współpracą” fabryki z rzeką, jej bliskość była kluczowa. Prudniczanie wiedzieli, jaki kolor tkanin aktualnie jest w produkcji.

Dawne niemieckie Neustadt przy czeskiej granicy nazywano kiedyś miastem tkaczy i szewców, ale to XIX i XX w. okazał się złotym okresem dla miasta. Dzięki rodzinom Fränklów i Pinkusów, które stworzyły jedną z największych i najnowocześniejszych fabryk włókienniczych w Europie. Ba, w XIX w. Fränklowie i Pinkusowie uchodzili za jednych z największych producentów tkanin lnianych na świecie! Włączali w zasoby fabryki zadłużone zakłady Czech i Prus, budowali własne. Równolegle fundowali najważniejsze instytucje użyteczności publicznej: szpital, łaźnię, szkołę czy synagogę i park. Max Pinkus zebrał ok. 25 tys. woluminów w swojej wybitnej „bibliotece śląskiej”. Kiedy pisano o tych żydowskich przemysłowcach, obywatelach niemieckich,

zwykle pojawiało się słowo „hojni”. Miasto Prudnik zyskało też nadzwyczajnej urody wille rodziny przemysłowców, jedna z nich to siedziba Prudnickiego Ośrodka Kultury. W innej znajdowały się m.in. przedszkole i świetlica dla dzieci pracowników Froteksu.

Bielszy odcień bieli

ZPB Frotex był chlubą przemysłu tekstylnego w PRL, największym producentem ręczników frotte najwyższej jakości, którymi wycierali się piłkarze reprezentacji narodowej i olimpijczycy, goście znamienitych sieci hoteli w Polsce, Niemczech albo Wielkiej Brytanii (berliński Savoy czy sieci Sheraton i Holiday Inn). Ile się pracownicy nabiedzili nad szukaniem bielszego odcienia bieli, bo tylko jeden określony był akceptowany w sieci hoteli. Z Froteksu pochodziły ręczniki kąpielowe, plażowe, promocyjne (np. dla Coca-Coli czy marek piwnych, samochodowych), frotowe szlafroki, ale także obrusy i ekskluzywna pościel, adamaszki, a nawet tkaniny techniczne, np. niepalne, antystatyczne dla straży pożarnej, górników, hutników.

► To dzięki Froteksowi weszły do polskich domów kuchenne ręczniki, produkowane wedle wzorców poznawanych na targach w całej Europie. – Ludzie nie wiedzieli, że można mieć w kuchni oddzielny, w specjalnym formacie, ręczniczek do rąk, nie tylko ścierkę do naczyń. To z Anglii przyszło, na Zachodzie te standardy obowiązywały, a my jako zakład wprowadzaliśmy je w Polsce, nieskromnie mówiąc – uśmiecha się wieloletni szef zespołu projektantów Zbigniew Cwynar, projektant wzornictwa tekstyliów z Prudnika z najdłuższym, 37-letnim stażem. I to Frotex uczył odróżniania ręczników plażowych, kolorowych, z jednej strony gładkich, z drugiej – pętelkowych, od ręczników łazienkowych, kąpielowych, tych bez krzyczących wzorów, projektowanych w pięknych zestawach kolorystycznych, które co sezon się zmieniały.

Moda obowiązywała także na rynku tekstyliów użytkowych, a Frotex, który bywał na najważniejszych targach, np. we Frankfurcie, i przywoził stamtąd nagrody, dyplomy, wnosił tę „tekstylną kulturę” w betonowe ściany blokowisk. Jego wyroby włókiennicze, nie szkodzi, że leciwe, bo jakości niemal nieśmiertelnej, ciągle znajdują się w wielu polskich domach. – Usłyszałem niedawno od koleżanki, że prawie ją wycieram – śmieje się Cwynar. Otóż „jego kropki”, zaprojektowany przez niego zielony zestaw kąpielowy, nawet po ponad 20 latach mają się znakomicie.

Tekstylią kultowego w okresie PRL Froteksu, do którego sklepów firmowych ustawiały się kolejki, były sprzedawane np. do Włoch, Belgii, Danii, Słowenii, Chorwacji, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Tajlandii, Japonii, Stanów Zjednoczonych i Australii. W Polsce bardzo się podobał akt kobiecy na ręczniku plażowym albo „polski seksowny hydraulik”.

Dawni pracownicy ratowali pamiątki po zakładach. Zdjęli też z budynku zegar, który dziś wisi w Centrum Tradycji Tkackich.

Zakład S. Fränkel na początku XX w. produkował tkaniny obicowe, meblowe, moze i naścienne, dla firm przewozowych, na statki, kolej. Jak wspominali rodzice niektórych pracowników, zatonięły w 1912 r. na Titaniku...

Zamiast pomagać, szkodzono

Niemal 100 lat później miasto wyrosło na tkaninach także zatonięło – w morzu przemian, brutalnych, bezmyślnych i krótkowzrocznych. Obiekty pofabryczne w Prudniku są, jak w wielu miastach mających jednego wielkiego pracodawcę, miejscem wymarłym. Tego frotek-

optycało” szybko je zepsuć i rozebrać, niż pozwolić im przekształcić się i przetrwać. Często rękami ludzi przywiezionych w walcie, ale i swoich, którzy znali wartość np. wyprzedawanego sprzętu.

Nikt nie zdołał powstrzymać upadku giganta, mimo że szanse na to miał Josel Czerniak, wieloletni prezes (1990-2001, w najtrudniejszych czasach), przedtem niezwykle skuteczny kierownik działu inwestycji i rozwoju technicznego (od 1977 r.). Za jego szefostwa 40% wyrobów szło na eksport, a pod koniec lat 90. Frotex był najlepiej w Polsce przygotowany pod względem technicznym do produkcji ręczników.

Ręcznikami Froteksu wycierali się piłkarze reprezentacji narodowej i olimpijczycy, goście sieci hoteli w Polsce, Niemczech czy Wielkiej Brytanii.

sowego Titanica poprowadzono wprost ku katastrofie. Pozostała resztką wspaniałych murów pod opieką konserwatorską, w praktyce ruina. Dlaczego? Na to pytanie można odpowiedzieć, że łatwiej było wyprzedać, niż dobrze zarządzać, że ktoś chciał wtedy zarobić szybko, że nowy ustrój był chaosem i wylęgarnią karierowiczów bez kompetencji. Jak pokazują przykłady innych prężnych zakładów, „bardziej się

„Jednym z większych problemów Froteksu było to, że powstały Narodowe Fundusze Inwestycyjne, których zmieniające się co pół roku szefostwo co rusz mieszało i wymyślało coś nowego, uważając się za najlepszych fachowców od ekonomii i gospodarki rynkowej. W efekcie, zamiast pomagać, szkodzono nam. Mimo trudnego okresu nie było miesiąca, żeby pracownicy nie dostali wypłat na czas. Mogliśmy się też poszczycić wysoką zdolnością kredytową”, mówił Czerniak na łamach „Tygodnika Prudnickiego” w 2011 r. Pracę stracił w 2001 r., potrzebna była zdaniem szefów NFI „świeża krew”. Działania kolejnych osób szybko skończyły się niewypłacalnością i syndykatem. A ten, zdaniem Josela Czerniaka, aktualnie radnego miasta Prudnik, „zrobił straty rzędu 6-7 mln zł” swoim nieudolnym postępowaniem.

Pracownicy i obserwatorzy smutnego losu tego wówczas nowoczesnego giganta są zgodni, że prezes Czerniak znał się na rzeczy, współtworzył zakład przez kilka dekad, mając kontakty międzynarodowe,



funkcjonując europejsko, odważnie, ciesząc się społecznym i instytucjonalnym zaufaniem. Ale, jak mawia, „takie losy prezesów”. Szkoda Froteksu, szkoda ludzi. Bo rękienki i tkaniny trwają. Jakość do dziś się broni.

Wiosną 2010 r. dla wielu mieszkańców Prudnika i okolic czas stanął. Zegar zakładowy zatrzymano 31 marca na godz. 11.20., wtedy ogłoszono upadłość likwidacyjną, choć pewnie każdy ma własną godzinę „końca świata”. Kiedy ktoś pracuje całe życie w jednej firmie, trudno sobie wyobrazić siebie w innym miejscu, zwłaszcza że do dziś nie ma gdzie pracować w mieście i okolicy. Można jechać za granicę, np. do opieki nad starszą osobą.

Tak było

Siedzimy w Klubie Senior+ z paniami Jasią, Haliną i drugą Haliną, Krystyną, Olą i Ireną. Opowiadają jedna przez drugą jak młodziutki dziewczyny, oczy im się śmieją do przeszłości.

– Pamiętacie? Były zdjęcia zrobione z góry, jak pierwsza zmiana szła do domu. Tyle ludzi, że nawet na Boże Ciało to byłoby pełno.

To Frotex uczył odróżniania ręczników plażowych, kolorowych, z jednej strony gładkich, z drugiej pętelkowych, od łazienkowych, kąpielowych.

– Tu z całej Polski przyjeżdżały dziewczyny na naukę zawodu, chodziły w mundurach, mieszkaly na przeciw szkoły i rano na pierwszą zmianę szły ze śpiewem. Jest jeszcze pani Jadzia, najstarsza żyjąca dziewczyna z tych czasów.

– Ja pamiętam, bo pod oknami u mnie szły i śpiewały jakieś stalinowskie piosenki.

– Bo wtedy był taki trend.

– W pierwszy dzień, jak przyszedł do Froteksu – do końca życia nie zapomnę... Przyszedł z innego środowiska i jak zobaczyłam te krosna, weszłam na tę pierwszą salę... Gorąco, bo szyby u góry, a okien nie było. Jak przyszło lato, to lałyśmy się wodą po prostu. Od silników, motorów i tylu kobiet na hali to gorąco był



Obiekty Froteksu popadają w ruinę.

niesamowity. Szłyśmy po wodę i lałyśmy jedna drugą po plecach.

– Ile razy krosna się paliły! A nici chodzą i pył robią, kolory były różne. Ja miałam np. dwa krosna szerokie, te duże, i szły ich trzy rzędy.

– Było zamówienie, ponad 500 szpilek kolorów, był wzór podany i według tego wzoru snowaczka musiała wszystko poukładać na takich olbrzymich ramach jak pokój, to wszystko szło na osnowę, potem przewożone na tkalnię. Oczy trzeba było mieć dobre, bo to tyle kolorów.

tapet, ręczników, stołowych. Stworzono Centrum Tradycji Tkackich, część Muzeum Ziemi Prudnickiej, w odrestaurowanej z niezwykłym smakiem kamienicy w Prudniku, gdzie po wojnie mieściło się getto dla Niemców. Na najwyższym piętrze klatki schodowej, malowanej w motywy jednego ze wzorów ze skarbca wzorników, znajduje się ogromny zegar. Tuż przed śmiercią fizyczną zakładów przemysłu bawelnianego, przed zawaleniem obiektów dawni pracownicy ratowali pamiątki, drobiazgi, bezcenne elementy, związane też z rodami ojców założycieli, Fränkla i Pinkusa. Przeczuli, że to ostatnie chwile na takie ruchy. Zdjęli również z budynku ten zegar, który pokazuje pamiętną godzinę, 11.20., a kiedyś oberwał kulą z kałacha. To dzięki ludziom stąd (miejscowi wiedzą, komu dziś zawdzięczamy materialną pamięć o Froteksie i jego historii) CTT może z taką pieczołowitością zajmować się spuścizną tekstylnego imperium. Nie ma tu w okolicach chyba nikogo, kto nie miałby kogoś z rodziny we Froteksie.

W Prudniku pamięć o Froteksie trwa. Żałoba także, nieutulona. – O 10 lat przeżyliśmy Łódź, tamtejsze fabryki, ale dziś to tam jest muzeum, Manufaktura, życie; zatroszczono się o obiekty – słyszę w gronie prudnickich emerytów. Płakać im się chce, kiedy przechodzą ulicą Nyską i widzą te ruiny. Zostawili tam kawał życia.

Beata Dżon-Ozimek

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



Migiem, ale nie za szybko

Media ogłosiły koniec służby MiG-29.
Awansem, choć faktycznie to ostatnie chwile
radzieckiej „supertechniki” w Polsce

Marcin Ogdowski

MiG-29 to jeden z najpopularniejszych wojskowych odrzutowców. Sklasyfikowany jako myśliwiec frontowy, był radziecką odpowiedzią na amerykańskie F-15 i F-16. Tym oczekiwaniom jednak nigdy nie sprostał – podczas I wojny w Zatoce Perskiej (1991) na ziemię spadło pięć irackich migów, przy zerowych stratach walczących z nimi F-15. Kolejne pięć padło ofiarą amerykańskich F-15 i holenderskich F-16 podczas zmagania lotniczych nad Jugosławią w 1999 r. – znów bez strat pośród „efów”. Mimo to produkt biura konstrukcyjnego Mikojan i Guriewicz uchodzi za niezły samolot. Oblatany w 1977 r., wszedł do służby w liczbie 1,6 tys.

egzemplarzy. Myśliwca nie produkuje się już seryjnie, ale po dziś dzień jest modernizowany. Jego głównym użytkownikiem pozostaje Rosja (230 maszyn). Migi biorą udział w walkach nad Ukrainą, a ostatnio widziano je nad Chartumem, stolicą Sudanu, użyte przez jedną ze stron konfliktu domowego.

Niemieckie znaczy zużyte

W Polsce MiG-29 pojawił się w 1989 r. Cztery lata wcześniej na podmoskiewskim lotnisku Kubinka właściwości myśliwca zaprezentowano delegacji PRL, co skończyło się deklaracją zakupu 36 jednomiejscowych samolotów bojowych oraz sześciu dwumiejscowych maszyn szkolno-bojowych (określanych

przez pilotów WP mianem „szparek”). Z powodu mizernej kondycji finansowej państwa planów tych nie udało się zrealizować. W 1987 r. Polska złożyła zamówienie na dziewięć samolotów bojowych i trzy szkolno-bojowe. Następnie domówiono pięć egzemplarzy, których jednak nie odebrano. W lutym 1989 r. na szkolenie do ZSRR wysłano 60 pilotów i mechaników, w lipcu do Polski przyleciały pierwsze samoloty. Dostawy wspomnianej dwunastki zakończyły się jesienią 1990 r., a więc już po przełomie politycznym (choć nadal w realiach Układu Warszawskiego, rozwiązanego w lipcu 1991 r.).

Zmiana sojuszy zamknęła drogę do pozyskania kolejnych maszyn z ZSRR, a potem Rosji, ale rodzima flota migów i tak się powiększyła.

Produkt biura konstrukcyjnego Mikojan i Guriewicz uchodzi za niezły samolot. Oblatany w 1977 r., wszedł do służby w liczbie 1,6 tys. egzemplarzy.

W połowie lat 90. Siły Powietrzne RP wzbogaciły się o maszyny pozyskane z Czech. Dziesięć w niewielkim stopniu wyeksploatowanych migów kosztowało nas 11 nowych śmigłowców Sokół. W 2003 i 2004 r. do Polski trafiły migi z Niemiec, z zasobów dawnej NRD. Były to maszyny mocno zużyte – przez kilkanaście lat po zjednoczeniu, jako „supertechnikę” potencjalnych wrogów, poddawano je brutalnym testom i wykorzystywano w roli „agresorów” w licznych ćwiczeniach z udziałem państw NATO. W efekcie tylko 11 z 24 myśliwców nadawało się do służby – resztę przeznaczono na rezerwuar części zamiennych, pomoce naukowe dla szkół i eksponaty w muzeach. Gwoli rzetelności trzeba nadmienić, że niemieckie migi kosztowały nas symboliczne euro za sztukę, choć należy pamiętać, że zapowiedź ich dostarczenia skutkowałą decyzją o redukcji zakupów F-16 – z planowanych 64 do 48 maszyn. Później tej jednej niekupionej eskadry „efów” będzie Polsce bardzo brakować.

Migi trafiły do dwóch eskadr (wcześniej pułków), w 2016 r. dysponujących 13 maszynami bojowymi i trzema „szparkami” każda. Był to ostatni rok, kiedy jednostki miały pełen etatowy skład – w 23. Bazy Lotnictwa Taktycznego (BLT) w Mińsku Mazowieckim stacjonowała dwunastka „oryginalnych” samolotów (tych z ZSRR) i cztery dawne maszyny czeskie. W 22. BLT w Królewie Malborskim używano maszyn polniemieckich oraz piątki „czechów”. Przez lata załogi migów wykonały tysiące dyżurów bojowych, także w ramach natowskich misji Air Policing. Jednak z czasem coraz poważniejsze stawały się problemy wynikające z zużycia sprzętu i generalnie niskiej jakości radzieckiej techniki. Potęgowało je odcięcie od oryginalnych części oraz fabrycznego serwisu.

Już pod koniec pierwszej dekady XXI w. było jasne, że migi trzeba zastąpić. Te malborskie planowano

wyciąć w 2012 r., dla mińskich przewidziano dłuższą służbę, ale po przeprowadzeniu modernizacji. Na przeszkodzie znów stanął brak pieniędzy. Wprawdzie migi z 23. BLT udało się wyposażyć m.in. w awionikę nowej generacji (w Wojskowych Zakładach Lotniczych w Bydgoszczy), ale o poważniejszych krokach, z rezygnacją z samolotu łącznie, nie było mowy. Tymczasem w czerwcu 2016 r. na lotnisku 22. BLT doszło do pożaru jednego z myśliwców. Ogień pojawił się podczas rozruchu maszyny, nikomu nic się nie stało, zniszczony samolot spisano ze stanu. Dwa lata później zaczęła się seria katastrof, w której utracono trzy migi, jeden z pilotów, kpt. Krzysztof Sobański, nie przeżył wypadku. Cenione dotąd samoloty zaczęto nazywać latającymi trumnami.

Niezwyczajnie istotny akt

W lutym 2022 r. Siły Powietrzne Rosji wzięły udział w inwazji na Ukrainę. Nie ma jasności, ile myśliwców MiG-29 wystawiła przeciw nim armia ukraińska. Po ZSRR dawna republika odziedziczyła ponad 200 samolotów, ale z biegiem

dostawami migów niegdyś należących do Mołdawii, a w latach 90. sprzedanych USA. Waszyngton kupił wówczas 21 myśliwców – nie wiemy, ile ich w ramach amerykańskiej pomocy dotarło do Ukrainy (raczej w formie części zamiennych, a nie sprawnych maszyn).

MiG-29 jest jednym z symboli ukraińskiego oporu. Mowa tu przede wszystkim o „Duchu Kijowa” i jego sześciu zestrzeleniach podczas walk nad stolicą. I choć to zabieg propagandowy, bo „Duch” jako pojedynczy pilot nigdy nie istniał, składający się na tę kreację lotnicy z krwi i kości rzeczywiście latali migami. Lecz jakkolwiek by się starali – oni i ich koledzy – nie zmieniają fakt, że Rosjanie mają nad Ukrainą ogromną przewagę ilościową. Stąd konieczność pozyskania maszyn z zagranicy, o które Kijów prosi od początku rosyjskiej inwazji. W marcu ub.r. na tapecie pojawiła się sprawa polskich migów – władze RP zadeklarowały gotowość ich przekazania Ukrainie. Wtedy jednak nie było klimatu dla dostaw ciężkiego sprzętu na wschód, USA i NATO miały wątpliwości, czy należy konfrontować się w ten sposób z Ro-

Przez lata załogi migów wykonały tysiące dyżurów bojowych, także w ramach natowskich misji Air Policing.

lat większość uległa technicznej degradacji, także na skutek mniej lub bardziej oficjalnej kanibalizacji. Części sprzedawano za granicę, również do Polski (co pozwalało utrzymać gotowość naszych samolotów). W 2014 r., gdy wybuchła wojna w Donbasie, Ukraina posiadała ok. 80 migów. Dla ekspertów oczywiste było, że co najmniej połowa pozostaje nielotna. Osiem lat później w służbie mogło być nie więcej niż 50 sprawnych „dwudziestekdziesiątek” (po 2014 r. Kijów na poważnie wziął się do odbudowy armii, choć w przypadku lotnictwa nie był to tak spektakularny proces). Do kwietnia br. ukraińskie lotnictwo straciło 20-25 migów, sporo zostało uszkodzonych. Straty w jakiejś mierze zostały skompensowane

są. Stanęło więc na tym, że Polska przekazała Ukrainie zapas części zamiennych i amunicji do migów. Problem wrócił na agendę w marcu br. (choć zakulisowe rozmowy trwały nieprzerwanie od minionej wiosny). Na konferencji darczyńców w Ramstein Słowacja zadeklarowała, że dostarczy Ukrainie 13 swoich migów, wyciągniętych ze służby latem zeszłego roku. Do inicjatywy dołączyła Polska, na początek obiecując Ukraincom cztery myśliwce.

Słowackie migi są już na miejscu. Cztery poleciały do Ukrainy z lotniska na Słowacji. Za sterami zasiadli ukraińscy piloci, co nie zmienia faktu, że do startu doszło z terytorium NATO. Symbolicznie to niezwykle istotny akt, pokazujący, jak dramatycznie osłabła pozycja Rosji ▶

► w oczach członków Sojuszu. Nie żywią już obaw z początku wojny, że taki ruch mógłby zostać potraktowany przez Moskwę jako casus belli. Reszta słowackich migów – w tym trzy pozbawione silników – dotarła do Ukrainy drogą lądową. Jak wynika z informacji ukraińskich mediów, myśliwce ze Słowacji pełnią już dyżury bojowe nad Charkowem. Nie wiadomo za to, gdzie są polskie „dwudziestkidziwiątki” – wspomniana pierwsza czwórka wysłana została na wschód kilkanaście dni temu. Co ciekawe, i te migi wleciały w przestrzeń powietrzną Ukrainy, startując uprzednio z terytorium NATO (z jednego z lotnisk w Polsce). Wiemy, że to były maszyny czeskie, wcześniej należące do eskadry malborskiej. Na początku kwietnia br. rząd RP zwrócił się do Niemiec z formalną prośbą o zgodę na wystanie migów poniemieckich (takiej procedury wymaga reeksport/przekazanie dalej broni). Chodziło o pięć samolotów, Berlin udzielił pozytywnej odpowiedzi w ciągu kilkunastu godzin.

Nieunikniona westernizacja

Gdy zatem piszę te słowa, najprawdopodobniej dziewięć naszych migów znajduje się w Ukrainie (albo

cztery, a kolejne pięć lada moment tam będzie). To zaś oznacza demonstację jednej z eskadr, co skutkuje zarzutami o rozbrajanie Polski, formułowanymi zwłaszcza w środowiskach niechętnych Ukrainie. Mimo pozorów logiczności trudno z nimi się zgodzić. Los maszyn MiG-29 w Siłach Powietrznych RP został przesądzony wraz z serią wspomnianych katastrof. Samoloty przeszły gruntowne przeglądy, piloci odzyskali do nich zaufanie, ale było jasne, że długo już nie polatają. Te w najlepszym stanie, po modernizacji, „skończą się” w 2027 r. Obecnie to 14 migów

misji i ekspozycji na działanie lotnictwa wroga. Ostatecznie zaś „szparki” mogą posłużyć jako rezerwuar części zamiennych. Tak czy inaczej, mówimy o maksymalnie 14 samolotach z Polski, a najpewniej o 12, przy założeniu, że wysłane zostaną również te dwumiejscowe. Kolejne 14 to pieśń przyszłości, a może i zupełnie nierealny scenariusz, bo kto wie, ile z tych zmodernizowanych migów dotrwa do 2027 r., ile będzie wówczas miało jakąkolwiek wartość dla Ukraińców, ba, czy ci w ogóle będą o nie zabiegać. Ukraina na gwałt potrzebuje samolotów bojowych,

Po ZSRR Ukraina odziedziczyła ponad 200 samolotów, ale z biegiem lat większość uległa technicznej degradacji.

(w tym trzy „szparki”, w większości z oryginalnej serii). Przez lata wchodziły one w skład eskadry z Mińska, ale jednostkę przewidziano do przebrojenia na koreańskie FA-50, kupione w zeszłym roku. Mińskie migi trafiły więc do eskadry w Malborku. Proces gospodarowania zasobami jest zatem racjonalny – co można, nadal wykorzystujemy, czego nie opłaca się eksploatować, wycofujemy. Samoloty z 22. BLT (te z pierwotnej puli) miały przed sobą najwyższe kilkanaście miesięcy służby. Zamiast być „zajeżdżane” do końca i odstawiane na pomniki, posłużą Ukrainie.

Ile w sumie migów oznakowanych dotąd szachownicą może trafić na wschód? 22. BLT, zanim stała się użytkownikiem mińskich samolotów, miała 14 maszyn. Jeśli dziewięć już przekazano (są przekazywane), to zostało nie więcej niż pięć (a może tylko trzy, bo o dwóch migach mówi się, że zostały wcześniej skanibalizowane). W tej piątce są „szparki” – samoloty szkolno-bojowe, których nie wyposażono w radar, a więc ich użyteczność na polu walki jest niska. Z drugiej strony można je wykorzystać do ataków z użyciem pocisków Harm, przeznaczonych do niszczenia stacji radiolokacyjnych. Najogólniej rzecz ujmując, ta broń nie wymaga sterowania z kabiny pilota, co skraca czas

a migi z demobilu to tylko proteza. Zachód na razie wzbrania się przed wysyłką własnych konstrukcji, ale westernizacji ukraińskiego lotnictwa nie sposób uniknąć – wszak podaż radzieckich konstrukcji jest bardzo ograniczona.

Pozostając zaś przy wątku westernizacji – w 2027 r. zacznie się ostatni rozdział tego procesu w Siłach Powietrznych RP, zapoczątkowany 20 lat temu kupnem F-16. Odejdą migi, w międzyczasie pozbędziemy się Su-22, szturmowców radzieckiej proweniencji, dziś będących w linii wyłącznie po to, by podtrzymać nawyki pilotów i personelu technicznego. Za cztery lata w barwach Rzeczypospolitej służyć będą koreańskie szkolno-bojowe FA-50 (dwa pierwsze przylecą latem tego roku, łącznie kupiliśmy 48 sztuk). W 2025 r. zaczną się dostawy F-35, a wszystkie 32 supermyśliwce znajdą się na stanie Wojska Polskiego do końca dekady. Dodajmy do tego 48 F-16, które co prawda dziś są w samolotowym wieku średnim, ale przejdą niebawem głęboką modernizację. W sumie daje to ponad setkę nowoczesnych maszyn, o zdolnościach przekraczających wszystko, co do tej pory latało z szachownicami na skrzydłach.

Marcin Ogódowski
m.ogodowski@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nie będę ukrywał, że przecież można było (teoretycznie) wybrać inną ścieżkę niekariery i niedorozwoju niż te całe niby-media. Mówiąc bez ogródek, kołaczę mi się po głowie wariant bandziorski, myśl moja krąży wokół bogactwa form przestępczych, żadne tam kary rzecz jasna lub ich zaostrenie nie robią wrażenia. Pieniądz przychodzi szybko, adrenalina przyjemnie masuje głowę i członki, wyobrażenia pracuje, nowych umiejętności warto się uczyć, więc właściwie dlaczego by nie? A jak jeszcze ktoś fascynuje się polityką, taką prawdziwą, że o coś innego walczy niż o odprawę w spółce skarbu państwa, premię za budowę rakiety kosmicznej w polu ziemniaków – to może połączyć przyjemne z pożytecznym i sobie trochę poterroryzować. A małoż to wzorców godnych naśladowania? No i jak po raz kolejny człowiek sobie jeszcze uzmysłowi, że jest w Polsce, gdzie jest polska policja, rządzona przez ministra skazanego na więzienie za grube przestępstwa, kiedy był poprzednio takim samym ministrem, to nie bardzo właściwie odnajduję argumenty przeciw. I wtedy, całe

jak przypomniał Przemysław Witkowski, kiedy korwinista groził, że wysadzi autobus we Wrocławiu, fascynat Breivika Brunon Kwiecień budował albo nie bombę i chciał iść z nią na Sejm, kominiarz spod Olsztyna i nacjonalista neopoganin też swoje planowali. Podobnie jak niesłusznie zapomniane sakramentalne polskie i katolickie małżeństwo, które o mały lont nie zdetonowało realnej bomby podczas parady równości w Lublinie w imię ewangelii, miłości bliźniego i Polski Maryi Królowej Polski. No i jeszcze zabójca prezydenta Pawła Adamowicza mógłby się tu pojawić. Może to i niewiele, ale wzorzec czytelny: prawica, skrajna prawica, jeszcze bardziej skrajna polska, narodowa, katolicka prawica. Tyle rzeczywistość.

Ale nie w naszych manewrach. W poznańskim wariacie wyrafinowanej gry miejskiej pod kryptonimem „Wolf-Ram-23” (wolf, rozumiecie, to po niemiecku wilk, życie prawem wilka, niezłomni, wyklęci, nie wykluci) terrorystą okazała się samotna kobieta w muzułmańskim hidżabie, która krzyczała jak szalona, z oczu płynęła jej krew i miała mieć na sobie pas szahidki

FBI, mówicie? Ci, co dopuścili do ataku na WTC?

na białą, wchodzą ogólnopolskie ćwiczenia antyterrorystyczne pod wezwaniem św. FBI, bo z CIA już nasi potańcowali na odcinku „tortury zamiast sądów”, „podtapianie zamiast dowodów”, „usługi zakazane w USA – chętnie i niedrogo (za to w gotówce i w kartonach, żeby później księgowa mogła w siatach wynieść) świadczymy”. A potem niech państwo płaci odszkodowania. Więc ostatnio takie wiekopomne manewry służb, sił tajnych i co najmniej dwupłciowych, przetoczyły się przez ojczyznę Kościuszki. Jak jeszcze lepiej sparaliżować sparaliżowane miasto – FBI doradzi (obawiam się, że wcale nie tak tanio, ale co tam drażyć temat). Udało się zapobiec godnemu uczczeniu 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim, ale korzyści też były. Kiedy obok siebie stali prezydent Izraela i prezydent Niemiec (i podobno jeszcze Andrzej Duda, który, pamiętając o akcentach antysemitycznych użytych podczas jego kampanii wyborczej przez podporządkowaną ślepo PiS telewizję „publiczną”, powinien do końca życia nie mieć czelności stanąć w tym miejscu), upamiętniając i prosząc o wybaczenie (Steinmeier) za zbrodnie Zagłady Żydów, której jednym z ostatnich krwawych akcentów była walka w getcie warszawskim, minister – tak, tak, kiedyś nie będzie można w to uwierzyć – kultury wsunął prezydentowi Niemiec list z rządowymi oczekiwaniami reparacji wojennych dla Polski od Niemiec. W tym momencie. To jest poza skalą.

Ale wracam do ćwiczeń antyterrorystycznych w kraju bez terroryzmu, nie licząc tych prób w ostatnich latach,

z bombą biologiczną. Dostaliśmy zatem pełen pakiet amerykańskich mokrych snów z czasów „wojny z terroryzmem” – muzułmanin terrorysta, i to w postaci opętanej kobiety (co za potworność). Nie rozumiem tylko, dlaczego w tej islamofobicznej szopce nie wstąpił jakiś oddział katolickich egzorcystów Piorun Boży czy coś. Widocznie Amerykanie mają wciąż potrzebę uzasadniania niczym nieuzasadnionej interwencji w Iraku i w Afganistanie (Saddam ma broń biologiczną – zapewniał kłamliwie Colin Powell, generał i sekretarz stanu USA, na forum ONZ). A Polacy uszy po sobie, jak ruki po szwam.

Pamiętacie, jak w zimnowojennym dowcipie Amerykanie zrzucili nad ZSRR swojego tajnego agenta, który rosyjskim władą jak Lermontow, Puszkina znał na pamięć, grał na harmoszcze niczym wirtuoz, hołubce wycinał i spirytus bez zmrżenia oka pił szklankami jak Sokołow (grany przez Bondarczuka) w „Losie człowieka” według Szołochowa? Ale każdy jego kolejny wyczyn babuszka w karczmie witała krzywym uśmiechem i rzucała: „Ty szpion”. Kiedy tą swoją nieskalaną ruszczyzną dopytywał, dlaczego tak go podejrzuje, babuszka tylko mamrotała: „U nas niegrów niet”.

A wystarczyło podmienić w Poznaniu muzułmankę na siostrę zakonną i cała policja, służby, strażacy, Wąsik z Kamińskim i Macierewiczem pomogliby jej zdetonować dowolną bombę – atomową, biologiczną, termobaryczną. A FBI miałoby się z pyszna. Zygy-zyg, marcheweczka, amen, zdrowaś, Mario.

W drodze człowiek rozpina skrzydła

Strach ma świetny PR. Ludzie są często wychowywani tak, żeby wszystkiego się bać

Rozmawia Mateusz Demski

„Roving Woman” można przetłumaczyć jako „kobieta wędrująca”. Do ciebie chyba pasuje ten tytuł. Dużo w życiu jeździłaś po świecie.

– Tak jakoś się stało. Ale nie pytaj mnie, proszę, jakie miałam motywacje i dlaczego wyjechałam. Wyruszyłam w drogę w sumie szybciej, niż się zastanowiłam, byłam młoda i niczego nie zdążyłam nauczyć się bać. Potem w tej podróży byłam i byłam, ale nie wiedziałam nawet, że może być inaczej. Wszystko, co znamy, jest w ciągłym ruchu, wibracji, zaczynając od atomów, na planetach i gwiazdach kończąc. Dla mnie też ruch był po prostu naturalny.

Mieszkałaś w Londynie, Nowym Jorku i Los Angeles. Ile miałaś lat, gdy wyjechałaś z Polski?

– Jakoś 16. Pierwszą klasę liceum skończyłam. Ale właściwie, jak dzisiaj o tym myślę, to zawsze, odkąd pamiętam, byłam w ruchu. Rodzice są artystami. Matka punkowa, ojciec malarz. Nigdy nie mieliśmy domu dłużej niż dwa, trzy lata. Raz mieszkaliśmy w jakiejś industrialnej przestrzeni, raz w starym przedszkolu. Najdłużej chyba na blokach w Gdańsku-Oliwie naprzeciwko cmentarza, tam było fajnie. A raz, pamiętam, trafiliśmy do jakiegoś zamku w lesie. Byliśmy też na chwilę w Niemczech. Potem z ojcem jeździłam do Anglii, dlatego, mając te 16 lat, wyjechałam do Londynu, bo był już na mojej mapie. Z powodu wędrownego trybu życia nic nie było na stałe i nie



LENA GÓRA

– aktorka, współtwórczyni filmu „Roving Woman”

rozwinęłam w sobie myśli o przynależności czy posiadaniu. Nie myślałam, że to jest moja szkoła, to są moje koleżanki, a to jest moja zabawka.

A jak patrzysz na ten artystyczny świat, w którym się wychowałaś?

– Jak wszystko, miał dobre i złe strony. Na pewno było w tym dużo inspiracji. Byłam otoczona genialną sztuką. Dostawnie wychowałam się w pracowniach ojca, na jego wernisażach czy imprezach trójmiejscowej sceny alternatywnej. Mama grała w różnych zespołach: Apteka,

Pancerne Rowery, Szelest Spadających Papierków. Enklawą artystyczną w tamtych czasach był klub Sfinks i SPATiF. Był też klub Ucho, do którego chodziło się na punkowe koncerty. Słuchałam rozmów dorosłych o książkach, poezji, sztuce, narkotykach. Pojawili się pierwsi skejterzy, oni się najlepiej ubierali, byli najwrażliwsi i najdzikszy, więc z nimi się trzymałam. Robiliśmy grube akcje, ale nie będę tutaj opowiadać (śmiech). Jeździliśmy np. na składach pociągów. Dla moich starych to było normalne. Nie zabraniali mi wychodzić z domu. Nie kontrolowali mnie. Dostałam w prezencie wolność. Ale oczywiście cieniem tego był brak gruntu i poczucia bezpieczeństwa. Musiałam sobie tego gdzieś sama poszukać.

I znalazłaś?

– Tak, trafiłam do teatru. Kiedy miałam 14 lat, posłam na warsztaty aktorskie dla dorosłych do Wybrzeża. Tak trafiłam do grupy Szymona Jachimka. Poznałam tam świetnych twórców, którzy się mną zaopiekowali, otworzyli mi świat, w którym mogłam poczuć się bezpiecznie. W teatrze wreszcie znalazłam granice, których potrzebowałam. Każda wystawiana sztuka jest skończona i osadzona w swoich ramach, a to było dla mnie bardzo kojące. Do dzisiaj jest. Podobnie rzecz się ma z filmem. No i szybko zaczęłam występować na scenie. Robiliśmy potem spektakl w Berlinie. Grałam w nim po angielsku i wypatrzili mnie w nim ludzie z Londynu, którzy szukali aktorki w moim wieku. Powiedziałam w domu, że lecę, i poleciałam.



„Roving Woman” to historia o dziewczynie, która jest zagubiona w świecie, rusza w podróż i próbuje odnaleźć w niej siebie. Już w kinach.

A rodzice co na to?

– Wspierali mnie. Rozumieli, ale teraz wiem, że mamie było z tym bardzo ciężko. A ja zapakowałam się w dwie walizki i wsiadłam do samolotu.

Podobno kasy z grania w ogóle nie było.

– 20 funtów za próbę. 30 za spektakl. Ale ja się tym nie przejmowałam. To się pewnie brało z domu. Byłam nauczona, że człowiekowi nie może być za wygodnie. Łapałam się różnych fuch w Anglii. Pracowałam za barem w klubie The Macbeth we Wschodnim Londynie. W tamtym czasie często wpadała tam Amy Winehouse ze swoim facetem. Łatwo się tam odnalazłam. To chyba dzięki energii trójmiejskich artystów, z którymi się wychowywałam. I przyciągnęło mnie londyńskie queerowe towarzystwo. Nie myślałam o braku kasy. Jak trzeba było, to tygodniami jadłam tylko ryż. A ryż jest smaczny. Były też takie punkowe akcje, że chodziło się po śmietnikach i szukało żarcia, które wyrzucały restauracje.

Ale udało się nie zrezygnować z aktorstwa.

– Od razu po przyjeździe zapisałam się do college’u aktorskiego. To było niesamowite, że mnie tam w ogóle przyjęli. W międzyczasie grałam w małych offowych teatrach. A później wpadłam w świat mody. Trafiłam na Andreasa Lönna i Petera

Aluana, wspaniałych stylistów i projektantów, którzy wprowadzili mnie w ten świat. Ubierali mnie w ciuchy Ricka Owensa, a ja nawet nie wiedziałam, co noszę. Był taki czas, że chodziłam na imprezy z najważniejszymi ludźmi świata mody. Nocami przebierałam się w drogie ciuchy, tak że wyglądałam na bogatą, a w dzień jadłam te resztki ze śmietnika. A Peter jest teraz moim prywatnym stylistą. Nigdy nie przestał się mną opiekować.

Niczego za bardzo w Los Angeles nie miałam, więc nic nie zostawiałam.

To ciągle jeszcze nie był dla ciebie awans?

– Raczej żyłam w dwóch równoległych światach. Pamiętam, jak kiedyś pojechałam na Fashion Week do Paryża. Zarabiałam tyle co nic, ale i tak chciałam tam być. Na wielki pokaz mody poszłam z siatkami z Ikei. Schowałam je gdzieś za barem i trafiłam na zamknięte afterparty, gdzie byli Kanye West i siostry Olsen. Jak impreza się skończyła, to doszło do mnie, że przecież nie mam gdzie spać tej nocy, bo po pokazie skończyła mi się rezerwacja w hotelu. Zadzwoeniłam do fotografa, który tego samego dnia pstryknął mi fotkę. Mieszkał z mamą pod miastem i zabrał mnie ze sobą. Rozłożył mi spanie na podłodze.

Skąd w ogóle wziął się pomysł, żeby z Londynu pojechać dalej, do Nowego Jorku?

– Rozerwałam więzadło krzyżowe w lewym kolanie. Przeszłam operację. Lekarze mówili, że może już do końca życia będę kuleć. Pół roku leżałam przykuta do łóżka. Pomyślałam sobie, że gdybym mogła znów normalnie chodzić, zrobiłabym coś, o czym zawsze marzyłam, i pojechałabym do Nowego Jorku. Kiedy noga wyzdrowiała, okazało się, że

nie kuleję, więc trzeba było jechać. Spakowałam kilka rzeczy, większość sprzedałam. Miałam na bilet i na pierogi w Chinatown.

Nowy Jork ma swoją legendę. Kołębka awangardy i sztuki. Alternatywna scena muzyczna, Velvet Underground, jazz, Andy Warhol...

– Albo Susan Sontag, Philip Roth, Paul Auster i inni. Można by poematy o tym pisać. To magiczne, ale też trudne do życia miasto. Fran Lebowitz powiedziała kiedyś, że nikogo, kto mieszka w Nowym Jorku, nie stać na to, by mieszkać w Nowym Jorku. Sama, kiedy tam przyjechałam, miałam kasę na maks dwa tygodnie życia. Miałam farta, że mogłam zahaczyć się o modę. Dołączyłam do agencji modelingowej i chodziłam ▶

► na castingi w loftach w Soho. Byłam w tym zakochana, czułam się jak w filmie, ale nie najlepiej mi to zrobiło. Zaczęłam okropnie chudnąć, a to się złożyło z tym, że akurat panowała moda na tzw. *heroin chic*. Pożądane były androgyniczne, wychudzone modelki z worami pod oczami, a ja tak trochę wyglądałam. Po latach skumałam, że to nie było okej.

To znaczy?

– Zaczęłam się wściekać na absurd, elitaryzm i brak integralności tego świata. W pewnym momencie wszystko mnie tam drażniło. Ta gloryfikacja niezdrowej chudości. Egocentryzm, który jest normą. To najtrudniejsza i najsmutniejsza branża, w jakiej pracowałam. Uciekłam z tego. Poznałam chłopaka, który też był modelem i tak samo jak ja miał to już gdzieś. Ale wiedziałam, że będę tęsknić za Nowym Jorkiem. Nie ma drugiego takiego miejsca na Ziemi. Jestem wdzięczna za jego istnienie, za tych wszystkich artystów, którzy są mi jakoś bliscy.

Ale przy całej miłości do Nowego Jorku czułaś, że musisz coś zmienić.

– Pojechaliśmy z chłopakiem do Los Angeles, żeby uciec razem w nieznane. Wielce byliśmy romantyczni. Kupiliśmy starą furę. Buicka GS 400 bez dachu z 1969 r.

Fajnie może być wszędzie. Kwestia tego, kogo do siebie przyciągniesz.

Ruszyliśmy nim na pustynię Mojave i olaliśmy wszystko. Pięć lat spędziliśmy, nie robiąc nic, poza życiem w drodze. Bardzo nam się ten tryb spodobał.

Dlaczego nie realizowałaś się jako aktorka?

– Dlatego, że ja chciałam robić teatr. Dopiero na miejscu zweryfikowałam, że w LA nie ma teatru. To miasto, w którym panuje gloryfikacja sławy, a nie rzemiosła. Ludzie są nastawieni na duży ekran. Część z nich ma obsesję kariery, zamiast na castingi, chodzą do miejsc z celebrytami, w nadziei, że ktoś ich w to wciągnie. Dużo robi się tam po to, żeby być sławnym. Teatr tego nie oferuje, dlatego tam ciśnie się na siłę do



W trakcie podróży po Stanach Zjednoczonych.

kina. A różne filmowe scenariusze, które dostawałam, to był chłam. Nie interesowała mnie też taka totalna komercja, praca wyłącznie z pobudek finansowych. Więc wołałam pojechać z chłopakiem w długą podróż. Doszłam do wniosku, że gwiazdy są fajne, ale jak są na niebie.

Nie bałaś się tak od razu wszystkiego zostawić?

– Niczego za bardzo tam nie miałam, więc nic nie zostawiałam. I wydaje mi się, że strach ma świetny PR. Ludzie są często wychowywani

Stońce. Zapach ciepłego powietrza. Polecanko.

Jak sobie radziliście przez te pięć lat na pustyni?

– Różne rzeczy się zdarzały, bo jeździliśmy wzdłuż i wszerz. Poznawaliśmy najróżniejszych pustynnych dziwaków. Od tirowców po bikerów, którzy na motocyklach przemierzają Amerykę. Na środku pustyni, pośrodku niczego, stoją bary bikerskie. Możesz tam napić się whisky, bourbona i pogadać z facetem z wężem na szyi. Naprawdę wygląda to jak na filmach. Klimat jak z „Urodzonych morderców”. Kiedyś jakiś facet prawie nas zastrzelił, jak weszliśmy mu na teren posiadłości, bo myśleliśmy, że sprzedaje mleko od swoich kóz.

Brzmi to przerażająco i faktycznie jest tam całe mnóstwo ludzi pogubionych, w kamperach, którzy czują, że nigdzie nie pasują. Niektórym nie udało się niczego osiągnąć w Hollywood, więc spieszyli na pustynię. Ale zarazem jest to najbardziej mistyczne miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam.

Co znaczy mistyczne w tym wypadku?

– Pustynne ziemie to często taki energetyczny i metafizyczny vortex. Dzisiaj przyciągają hipsterów, miłośników psychodelików, ale też ludzi, którzy szukają tam po prostu pierwiastka duchowego. Na pustyni żyje Chris Hanley, producent filmowy, który zrobił „American Psycho”

czy „Buffalo '66”. Facet mieszka na skraju Parku Narodowego Joshua Tree, w niewidzialnym domu.

Niewidzialnym?

– To lustrzany dom, który ma ściągnięte ze szkła odbijające światło. Budynek jest jak kameleon. Nie widać go z daleka, wtapia się w otoczenie, zmienia się w zależności od pogody. A w środku ma niewidzialne łóżko, niewidzialne gitary. Chris, jak wielu ludzi pustyni, jest równie magiczny i niesamowity, co odklejony i szalony. Myśli inaczej, czerpie z kontaktu z przyrodą, kwestionuje zasady. Wolność traktuje jako styl życia.

Hanley pojawia się w epizodzie w „Roving Woman”, filmie, który napisała razem z Michałem Chmielewskim. Kino drogi o tytułowej „kobiecie wędrującej”; historia, która dotyczy cię chyba bardzo osobiście.

– Każde z nas dało do tego projektu coś z siebie! Nasza ekipa z Polski patrzyła się na Amerykę po raz pierwszy, co otwiera w filmie inną, świeżą perspektywę. Ja pisałam o tym, co wiedziałam i co znałam. No i wiadomo, że istnieją jakieś związki między mną a filmową Sarą, ale jest ona też bardzo ode mnie różna, choć czerpie z mojego źródła. „Roving Woman” to historia o dziewczynie, która jest zagubiona w świecie, rusza w podróż i próbuje odnaleźć w niej siebie. A przede wszystkim, mimo różnych wstrząsów, idzie do przodu.

Film dedykuje amerykańskiej piosenkarce Connie Converse, która zaginęła prawie pół wieku temu.

– Connie próbowała zaistnieć jako singer-songwriterka w Nowym Jorku w latach 50. i 60. Nie odniosła sukcesu, jak Dylan w tamtym czasie, a przy okazji była totalną introwertyczką i, jak wielu niesamowitych artystów, miała problem z funkcjonowaniem w społeczeństwie. Pewnego dnia spakowała wszystko do fura, zostawiła listy, w których napisała najbliższej rodzinie, że mają jej nie szukać, i pojechała. Nie zrobiła z tego jakiejś afery, nie próbowała się tym wybić. A już na pewno nie myślała, że w przyszłości takie dwa ziomki jak ty i ja będą sobie o niej rozmawiać w Warszawie. Connie nie umiała po prostu sobie radzić w tym świecie, dlatego rzuciła wszystko

i wszystkich. Pojechała. Na 50 lat słuch o niej zaginął. Do dziś nikt nie znalazł ani jej, ani jej samochodu.

Jak myślisz, co się z nią stało?

– Lubię myśleć, że ma teraz prawie sto lat i gdzieś tam jest. Ciągłe na nią czekamy. Zostawiamy jej miejsce w kinach. Kiedy z naszym filmem dostaliśmy się na festiwal Tribeca, bardzo się cieszyliśmy, że zabieramy tę niezwykłą kobietę z powrotem do Nowego Jorku i wreszcie ludzie tam o niej usłyszą.

Człowiekowi nie może być za wygodnie.

Coś cię z Connie chyba łączy.

– Może w tych latach 60. przechodziła coś podobnego jak ja teraz. Próbowała zaistnieć w podobny sposób, bo miała potrzebę, żeby tworzyć, i podobnie zmagająca się z tym całym światem, który się umówił na pewne zasady gry w człowieka. Nie miała na to siły i ja też czasem nie mam. Wtedy odzywa się syndrom ucieczki, chcę gdzieś wyjechać, może uciec. Connie była jednak wersją hardcore tego, co ja robiłam. Wybrała życie w absolutnej samotności. Ludzie przestali o niej mówić i myśleć. Pracując nad „Roving Woman”, dużo się nad tym zastanawialiśmy, czy jeśli nikt cię nie widzi, ale także nie

myśli o tobie i już nawet nie pamięta, to czy w ogóle istniejesz?

Odbylaś długą podróż, ale teraz wracasz do Polski?

– Nie, nie wracam ani tu, ani tam. Strasznie nie lubię określać się geograficznie. Jestem tam, gdzie pracuję. To praca mi wytycza drogę. Uwielbiam być tutaj, bo Polskę mam we krwi i pełno tu świetnych ludzi, artystów, twórców, książek, inspiracji, więc jak będzie mi dane zrobić tu kolejny film, który do mnie przemówi, to przypędzę jak wiatr. A w Los Angeles mam ciągle rozkopane życie. Mam

tam kilka rozgrzebanych projektów, pudła z gratami, książki... Furę! A z drugiej strony dużo w ostatnim czasie u mnie się zmienia. Kończę za chwilę 33 lata, będę Jezusem! (śmiech) Przychodzi też taki moment, że chciałabym już przymocować się trochę do jakiegoś miejsca, wpleść w ziemię korzenie. Ale nie mam scenariusza na siebie. I nie planuję go sama pisać. Chcesz rozśmieszyć Boga, to opowiedz mu o swoich planach. Nie chcę jednak tak w kółko wozić książki z jednego końca świata na drugi. Fajnie mieć gdzieś regał, na którym można ją zostawić, i po czasie do niej wrócić.

Mateusz Demski



Organizator: FUNDACJA JUDAJCA – CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ

Współorganizacja: Złote programy:

Kraków
Urząd Miasta Krakowa

KRAKÓW
CITY OF JEWISH LIFE
UNESCO

WYDZIAŁ KULTURY
TERENOWOŚĆ NARODOWEJ

Partnerzy:

KÄRCHER

forum

AMERICAN ASSOCIATION
FOR POLISH JEWISH STUDIES

BERN – ODessa
LEGATO

KHKK

KMP

WODOCIEG
Kraków

70
mpeo

70
mpeo

Patroni medialni:

do Głosu
welcome
a Krakowa

TYT3
KRAKÓW

P
KRAKÓW

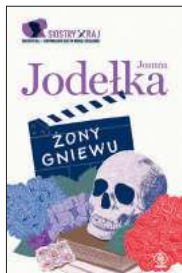
SŁOWO
ŻYDOWSKIE

miasteczko
KRAKÓW

Kazimierz.com

Współpaca redakcyjna: Classic

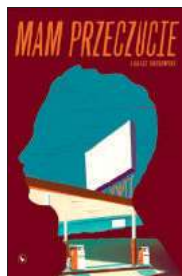
MIĘDZY OKŁADKAMI



Joanna Jodelka
Żony Gniiewu
Rebis, Poznań 2023

W zbrodniczo-literacką mapę Polski wbijamy kolejną chorągiewkę – zaznaczamy Gniiew. W panoramie pomorskiego miasteczka, malowniczo położonego na skarpie u ujścia Wierzycy do Wisły, dominują zamek krzyżacki i gotycki kościół. A jest jeszcze pałac Marysieńki, zbudowany dla niej przez Jana Sobieskiego. Skąd tu Sobieski? Warto zajrzeć do „Żon Gniiewu”. I może nawet, zamiast pchać się na majówkę gdzieś, gdzie jeżdżą zawsze wszyscy, samemu spenetrować scenierię trzeciego tomu cyklu o siostrach Raj, mistrzowsko władających pędzlami dwojakiego rodzaju i rozwiązujących zagadki kryminalne. Konserwatorka Tycjana, która powoli oswaja się z faktem, że ojciec spłodził drugą córkę, dołącza w Gniiewie do Angeliny Michaliny, charakteryzatorki, udzielającej się na planie filmu o miłości życia Sobieskiego. Emocje tam buzują więcej niż scenariuszowe! Walorem pisarstwa Joanny Jodelki oprócz humoru i wyjątkowo barwnych bohaterów są sugestie, na które zdarzenia i postacie historyczne dobrze zwrócić uwagę. Zatem książkę w dłoń – i do Gniiewu!

Aleksandra Pańko



Łukasz Krukowski
Mam przeczucie
Wydawnictwo Cyranka,
Warszawa 2023

Łukasz Krukowski to kolejny młody debiutant – obok Łukasza Barysa, Mateusza Górniaka i Justyny Hankus – który świetnie operuje językiem i odznacza się absolutnym słuchem literackim. Jego powieść, choć króciutka, ma swój rytm, Krukowski popisuje się literacką zręcznością i wyobraźnią. Niestety, samej opowieści brakuje „mięsa”. Główny bohater jest ledwie zarysowany, papierowy, a liczne wątki – studia filozoficzne, lewiatan metropolii, kryptowaluty, bycie prepperem, samotność pokolenia Z – są jedynie muśnięte. „Mam przeczucie” kojarzy się z innym debiutem, powieścią „Zaklinanie węży w gorące wieczory”. U Małgorzaty Żarów jednak koniec świata miał smak, zapach i tajemnicę. U Krukowskiego jest tylko obietnica takiej uczt. Autora stać na więcej. To debiut dobry, choć może zbyt pośpieszny.

Rafał Pikuta

KURTYNA W GÓRĘ

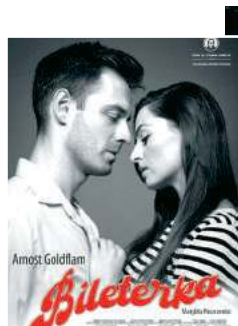


Chcemy rocka dla siebie

Musical z piosenkami legendarnej grupy Queen, który przez 12 lat nie schodził z afisza w Londynie, od teraz jest w repertuarze Romy. Akcja dzieje się w zglobalizowanym świecie przyszłości opanowanym przez egoistycznych przywódców. Na tej iPlanecie, którą dawniej nazywano Ziemią, rządzi tylko jedna korporacja. Nie jest to jednak satyra na PiS, chociaż ci przywódcy też tępią przejawy indywidualizmu. Przede wszystkim nie chcą dopuścić młodych do rocka, ale paradoksalnie innej muzyki w tym przedstawieniu nie ma.

Bronisław Tumitowicz

„We Will Rock You”, muzyka i teksty piosenek Queen, scenariusz Ben Elton, reżyseria Wojciech Kępczyński, Teatr Muzyczny Roma, premiera 15 kwietnia 2023



Czeski autorytaryzm w Łodzi

Nie potrzeba żadnego Führera ani Naczelnika, wystarczy skromna bileterka. Ona jest w stanie wziąć pod but publiczność zgromadzoną na sali, wyrzucać niepokornych, rozdzielać kary i nagrody. Warsztaty autorytaryzmu, wywołujące wśród widzów obawę, nawet strach i chęć ucieczki, przeprowadza jedna osoba – Matylda Paszczenko. A publiczność jeszcze jej śpiewa „Sto lat!”.

Bronisław Tumitowicz

Arnošt Goldflam, „Bileterka”, przekład, reżyseria, scenografia i kostiumy Matylda Paszczenko, Mała Scena Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi, premiera 15 kwietnia 2023

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Polonia prostituta

Św. Piotr, widząc kalekę na progu świątyni, zawołał: „W imię Jezusa Chrystusa Nazarejczyka, chodź!». I ująwszy go za prawą rękę, podniósł go. A on natychmiast odzyskał władzę w nogach i stopach. Zerwał się i stanął na nogach, i chodził”. Tak ja nagle odrzucam kule i idę na spacer przez wiosnę, która zakwitła. Czasami warto coś stracić, by potem to odzyskać, na dodatek w ulepszonej formie. U mnie to odbyło się bez cudu, wymieniono mi biodro naukowo.

Bogusław Chrabota, szef „Rzeczpospolitej”, oszalał. Pozwolił, by Jacek Kurski miał felieton w jego piśmie. Istnieje – myślę – coś takiego jak zbrodnia kłamstwa, więc Kurski jest przestępcą. Zabawne, bo jak kiedyś chciałem mieć felieton w „Rzeczpospolitej”, to Bogusław mi odmówił. I jaki ze mnie felietonista przy Kurskim. Fala hejtu, która zalała Chrabotę, przypomina, ile w nas bezradnego gniewu na telewizję publiczną, powszechnie zwaną szczujnią. Podejrzewa się redaktora naczelnego dziennika, że ma jakieś ukryte motywy polityczne, ja jestem pewien, że to tylko był akt głupoty, to się zdarza inteligentnym ludziom. A Kurski w swoim obleśnym cynizmie jest postacią abominacyjną, zasmrodził sobą dwie Rzeczpospolite. No i Chrabota na gwałt się wycofuje i przeprosza, że popełnił błąd. Miałem rację, to nie była perfidia, lecz atak głupoty.

List od Andrzeja Kijowskiego, że serdecznie zaprasza na uroczystość, odznaczony został Orderem Odrodzenia Polski, Polonia Restituta – to drugie pod względem starszeństwa polskie państwowe odznaczenie cywilne po Orderze Orła Białego, nadawane za wybitne osiągnięcia na różnych polach. Gdzie są te wybitne osiągnięcia Kijowskiego – nie wiem, ale wiem, że jest pisowcem, a to w zasadzie wystarczy. Czytam, że od czerwca 2017 r. do lutego 2023 r. był Kijowski „Rzecznikiem Wolności Słowa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji”. Toż to jak Ministerstwo Prawdy u Orwella. Andrzej miał niezwykłego ojca, też Andrzeja, błyskotliwie inteligentnego eseistę, człowieka szlachetnego. Syn identycznie wygląda jak ojciec, ma skopiowany jego głos, tylko że jest karykaturą ojca. Zaproszenie przesłał mi w formie euforycznej. Oni nie tylko obsadzają wszystkie stanowiska i obżerają się pieniędzmi, ale też przypinają sobie order, kompromitując ich rangę, Orzeł Biały zmienia się w białą kaczkę, a Polonia Restituta w polonię prostituta. Dla nich to już nie ma znaczenia, zamknęli się w swojej zagrodzie i żywią się

własnymi odchodami. Andrzejowi jednak, jak widać, jeszcze trochę zależy, by dostawać głaski od drugiej strony. Służę jedynie kopniakiem.

Sejm głosami posłów PiS uchwalił ustawę o powołaniu Państwowej Komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Polski w latach 2007-2022. Ma być więc teatr polityczny przed wyborami. Jak mówi Bronisław Komorowski: „To dziwny twór, który ma być jednocześnie służbą specjalną, prokuraturą, sądem i ferować wyroki. Co jest absolutnie sprzeczne z zasadami opisanymi w polskiej konstytucji, gdzie wyroki skazujące czy kary może nakładać tylko i wyłącznie sąd”. To ma być jeden z silniczków wyborczych. A tu zaraz drugi silniczek – Jarosław Kaczyński zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury o przestępstwie zamordowania prezydenta Rzeczypospolitej. Chodzi o katastrofę

Czasami warto coś stracić, by potem to odzyskać, na dodatek w ulepszonej formie.

smoleńską i śmierć Lecha Kaczyńskiego. Wybuch zniszczył wszystkie dowody wybuchu i to jest dowód, że był wybuch, tak argumentuje Macierewicz. Wracamy do paranoi, do czarów-marów, surrealistycznej makabry. Oskarżenia: Putin i Tusk, to oni zabili brata prezesa.

Ukazała się właśnie w Czytelniku moja nowa książka, „Bilet do nieistnienia”, pięknie wydana, ponad 120 krótkich opowiadań. Trudna forma, wszystkie problemy gromadzą się na małej przestrzeni, każda miniaturka musi mieć puentę, o którą czasami niełatwo, no i każde opowiadanie to inny pomysł, a ile ich można mieć. Właściwie najprzyjemniejszy czas, gdy książki jeszcze nie ma, powiedzmy na tydzień przed jej ukazaniem się, jeszcze nie ma rozczarowania, że niezauważona, że niedoceniona, że można było napisać ją lepiej. Czytam w autobusie kilka opowiadań, w przypadku niektórych poczuć, że ktoś pisał je za mnie, ktoś zdolniejszy ode mnie. Boję się, że każdy grafoman może czuć podobnie. Pokazuję książkę Franiowi, mojemu synkowi. Wiedziałem, że o to zapyta, jego pokolenie jest praktyczne i od razu pyta: – Ile na niej, tata, zarobisz? Mówię, że pewnie kilka tysięcy, nie więcej. – A ile ją pisałeś? – Chyba rok – odpowiadam ze wstydem. Kiwa z politowaniem głową.

Konrad Malec

Śliczna paskuda

**Ropucha ma szansę dożyć 30,
a ponoć nawet 40 lat!
Przynajmniej jeśli jest samicą**

Ropuchy nie mają dobrej prasy, gardzimy tymi zwierzętami, brzydzimy się ich, a nawet boimy! Znałem dawnego wicemistrza świata juniorów wagi półciężkiej w boksie, był już wtedy trenerem i nadal potrafił uderzeniem pięści zmiażdżyć przeciwnikowi twarz. Ów gość panicznie bał się zwierzęcia, które w najlepszym razie dorasta nieco ponad 12 cm. Szwagierce, która wsunęła mu ropuchę do kieszeni, omal nie złamał ręki. Powodów strachu nie potrafił wyjaśnić. Może na jego postawę wpłynęły dawne mity i legendy? W końcu i dziś, w pozornie cywilizowanej Polsce, dość często spotykam się z poglądem, jakoby dotknięcie ropuchy wywoływało liszaje, a całkiem niedawno pomawiano ją o konszachty z diabłem. Z trzech ropuch miał się składać herb Szatana!

W czasach polowań na czarownice znalezienie ropuchy w domu podejrzanej – lub podejrzanego – było pewną drogą na stos. Na stosie spłonął m.in. włoski filozof z początków XVII w., Lucilio Vanini, u którego znaleziono ropuchę. Nadmienię tylko, że skazany został on we Francji za ateizm i szerzenie poglądów zbliżonych do darwinizmu, ale ropucha była jednym z kluczowych dowodów w sprawie. Vanini jeszcze przed Darwinem wpadł na to, że człowiek pochodzi od małpy (właściwie to człowiek jest małpą, a wbrew częstemu pogładowi nie pochodzimy od szympanśów, lecz mamy z nimi wspólnego przodka). Doszedł do tego poglądu wyłącznie na bazie rozumowania, choć to Darwin przeprowadził pierwsze rozumowanie naukowe (angielski biolog zapoczątkował metodykę naukową w biologii, stosowaną do dziś). Vanini został potraktowany wyjątkowo brutalnie, nawet jak na ówczesne standardy, przed śmiercią wyrwano mu język i nie uduszono przed podpaleniem stosu.

Ledwie sto lat wcześniej, w ówczesnej stolicy intelektualnego świata, jakim była Italia, jeden z Medyceuszy, będących śmietanką inteligencji, po dotknięciu ropuchy szykował się na śmierć, a na



florenckim dworze ogłoszono załobę. Na szczęście nadworny medyk znał remedium, kazał księcia zaszyć w świeżo wypatroszonym mule. A gdy ten ostygł, w kolejnym i kolejnym... Kuracja okazała się nad wyraz skuteczna, książę przeżył, w przeciwieństwie do mułów. Podobnemu leczeniu poddał się Cezar Borgia, nieodrodny synek papieża Aleksandra VI, bodaj najbardziej odstałego od przyjętych norm moralnych władcy państwa kościelnego.

Jadowita szkarada

To nie koniec szkalowania ropuchy. Zwierzę miało płuć jadowitą śliną. I choć ropucha nie ma ślinianek, więc i śliny nie wytwarza, jest w tym ziarno prawdy. Ropuchy w istocie są jadowite. Jad podany w ilości 5 mg na kilogram ciała uśmierci każdego ssaka, a zgon będzie poprzedzony toczeniem piany z pyska i drgawkami. Pisząc po ludzku, jeśli macie wroga, musicie go nakarmić 10 wyrosniętymi ropuchami. Tyle że nie są one w stanie płuć jadem, a z braku zębów nie mogą nas jadowicie ukąsić. Byśmy

zatruli się ich jadem, to my musimy je ukąsić.

Ropuchy uchodzą za szkaradne za sprawą licznych brodawek na grzbiecie i głowie, to w nich znajdują się toksyny. Najwięcej jest ich w parotydach, dwóch półksiężycowatych wałeczkach w tylnej części głowy. Ich zadaniem jest ochrona zwierzęcia, a że zagrożenie nadchodzi zwykle z góry, nic dziwnego, że ta część ciała ropuchy jest szczególnie chroniona. Ochrona części zawierającej mózg wydaje się bardzo dobrze świadczyć o właścicielce parotyd, choć nie jest to najbystrzejsze zwierzę. Jad jest bronią defensywną, należy ropuchę uszkodzić, by nas nim poczęstowała. Wie o tym niemal każdy wiejski pies, który za szczeniaka bada świat pyskiem, biorąc do niego co popadnie. Gdy szczeniak chwytą ropuchę, zwykle rani jej skórę. Dopiero w takiej sytuacji z brodawek wydobywa się toksyna. Pies natychmiast wypłwaja obiekt, często dostaje przy tym ślinotoku, a niekiedy drgawek. Jeśli nie połknął płaza, objawy ustępują po 15 minutach, a pies lekcję zapamięta do końca życia.

Nie oznacza to, że ropuchy nie mają wrogów, jak najbardziej padają ofiarą dużych pijawek w czasie godów, odpornych na ich jad zaskrońców lub cwaniaków, którzy potrafią pochłoniąć dosłownie setki ropuch. W czasie studiów wybraliśmy się z promotorem do rezerwatu Zabrzeźnia koło Głowna. Przy leśnych stawach natknęliśmy się na drogę ustaną skalpami ropuch. Uznaliśmy to za akt ludzkiego okrucieństwa, nawet zamierzaliśmy wezwać policję (wszystkie płazy podlegają ochronie, ich krzywdzenie jest przestępstwem). Na szczęście, nim to zrobiliśmy, dokładnie obejrzeliliśmy miejsce zbrodni. Szybko odnaleźliśmy ślady sprawców – były to borsuki. Choć głównie żywią się bezkręgowcami, gdy natknęły się na obfitość białka zmierzającego na gody, skorzystały z niej. By uniknąć zatrucia, przewracały ropuchy na grzbiet i zjadały je od spodu, zostawiając głowy, przednie łapy i skórę pleców. W tym roku nad Narwią znaleźliśmy z córką podobne miejsce zbrodni, choć trupy były zaledwie trzy, co wiąże się z zaniem tych płazów.

Takie sytuacje jak powyższa zdarzają się dość rzadko, sam natknąłem się na ledwie kilka przypadków. Znacznie liczniejsze i groźniejsze dla ropuch są mniejsze organizmy. Układy pokarmowe ropuch zwykle są zainfekowane przez rzesze jednokomórkowych pasożytów: pierwotniaków, wiciowców czy orzęsków, w płucach zdarzają się przywry, a w układzie moczowym nicienie. Po prawdzie, to w naturze każdy ma jakieś pasożyty, tylko my, ludzie z bogatszej części świata, mamy przywilej bycia w większości wolnymi od nich. Jednak najbardziej makabrycznymi, przynajmniej według mnie, wrogami ropuch są niewielkie muchy ropuszanek. Te insekty lokują jaja w nozdrzach żab i ropuch. Gdy larwy się wylęgną, zjadają nosiciela od środka, początkowo omijając najbardziej niezbędne do życia narządy. Zwierzę umiera kilka dni, w niewyobrażalnych męczarniach. W tym czasie staje się apatyczne, przestaje jeść, bywa, że przesiaduje na słońcu, czego nie ma w zwyczaju, będąc w pełni zdrowia. Jeśli jednak uda się uniknąć śmiertelnych zagrożeń, ropucha ma szansę dożyć 30,

a ponoć nawet 40 lat! Wielokrotnie dłużej niż pies, kot czy krowa! Przynajmniej jeśli ropucha jest samicą. Samce, podobnie jak u nas, żyją krócej, w najlepszym razie zdmuchną 20 świeczek z tortu.

Ab ovo, czyli od jaja, a właściwie od amplexusa

O ile dorosłe osobniki są w znacznej mierze chronione, o tyle kijanki nie mają gruczołów jadowych i są przysmakiem ryb, ptaków wodnych, pluskwiaków, wodnych chrząszczy, larw ważek i wielu innych. Ale by pojawiły się kijanki, najpierw musi dojść do niezbyt romantycznej randki. Większość naszych płazów wabi partnerki śpiewem, i to jakim, jednym z najgłośniejszych zwierząt w Polsce jest rzekotka drzewna, mierzącego ledwie 4 cm kawalera słyhać z 2 km! Ropuchy szare nie śpiewają, ale po kolei. Dasze bohaterki gody zaczynają po przebudzeniu się ze snu zimowego. Pierwsze budzą się samce, tradycyjnie pod koniec marca, ale obecnie, z uwagi na brak zimy, dzieje się to nieco wcześniej. Samicom tak się nie śpieszy, zazwyczaj śpią jeszcze dwa-trzy tygodnie, choć niektóre dziewczyny pojawiają się znacznie wcześniej i na odwrót, niektóre samce budzą się później.

Ropuchy nie skaczą, ale kroczą, tak też podchodzą ofiarę.

Gdy w drugiej połowie marca prowadziłem inwentaryzację płazów na Mazurach, podczas najbardziej obfitej w spotkania z ropuchami szarymi nocy zobaczyłem niemal 20 panów i tylko jedną panią. Gdy dotrą do wody, napalone samce rzucają się na wszystko, co się rusza. Znaną są przypadki chwytania zanurzonych w wodzie przedmiotów, najczęściej rozmaitych badyli, innych płazów, ale może to być dosłownie cokolwiek. Wśród przykładów najbardziej przebojowych prób rozmnażania się wymieniany jest pewien džentelmen, który przez osiem dni trzymał w miłosnym uścisku nogę martwego zająca.

Osiem dni! Tyle czasu zajęło niefortunnemu kochankowi opadnięcie z sił. Dlaczego trwało to tak długo,

a pan ropuch nie zauważył pomyłki? Winna jest temu biologia rozrodu. O ile u innych naszych płazów panie wybierają, z którym kawalerem się połączą, o tyle u ropuch samica ma dość ograniczony wybór. Na godach zwykle pojawia się trzy-cztery razy więcej samców niż samic. Długowieczna samica ma perspektywę wielokrotnych godów, a wysiłek związany ze składaniem jaj, których może być 10 tys., jest dość znaczny, z tego powodu mamą zostaje co drugi albo i trzeci rok.

Produkcja nasienia jest znacznie mniej kosztowna, ale by móc je ulokować na jaju, trzeba się pomęczyć. Dlatego samiec, który statystycznie ma 25% szans na znalezienie partnerki, jest zdeterminowany. W praktyce pierwsze gody, odbywane zwykle w trzecim roku życia, są bezowocne, ale przy każdych kolejnych szanse kawalera rosną. Samice przystępują do rozrodu rok później, co dodatkowo zmniejsza liczbę potencjalnych partnerek. Zacięta konkurencja niejednokrotnie zaczyna się więc nawet 3 km od zbiornika. U ropuch szarych często obserwujemy samice dźwigające na grzbiecie znacznie mniejszego faceta. Najwięksi panowie osiągają nieco ponad 9 cm długości, a i to rzadko. Samice są o jedną trzecią większe i znacznie cięższe (na co

dodatkowo wpływają jaja, które już są niemal gotowe do złożenia). To największa dysproporcja wśród naszych płazów, u pozostałych gatunków płazów bezogonowych największe samice zwykle są dłuższe o 10% od najdorodniejszych amantów. Stąd rzucanie się na wszystko, co się natopczy. Do puszczenia skłoni absztyfikanta tylko jedno – wysokie popiskiwanie, jakim odzywa się inny samiec, gdy jakiś koleżka usiłuje go dosiąść. Podobnie odzywa się samica, która już złożyła jaja.

Szczęśliwy zdobywca chwytając łapkami samicę pod pachami, co fachowo nazywamy amplexusem. Ale to jeszcze nie oznacza sukcesu. Ów jegomość, a raczej jego wybranka, jest na celowniku wszystkich bezzęnych ▶

► samców w okolicy. Widząc szczęśliwą parę, amanci rzucają się ku nim i na wszelkie sposoby usiłują ściągnąć farciarza. W tej potyczce wszystkie chwytaki są dozwolone! Można próbować go zdjąć chwytem zapaśniczym, wciskać się pod niego, kopać po głowie itd. Szczęśliwiec musi mocno trzymać dziewczynę pokrytą śluzem, co nie jest łatwe. Wprawdzie na czas godów na przednich łapkach pojawiają się modzele godowe – chropowate, czarne narośle, ale i tak trzeba się wykazać nie lada siłą, by nie dać się zrzucić. A skoro przednie łapy ma się zajęte, pozostaje obrona przy użyciu tylnych, którymi rozdaje się kopniaki. Dlatego samica składa jaja po tygodniu, by na grzbiecie mieć mistrza, ale musi uważać. Jeśli przeholuje, ów może opaść z sił i zastąpi go słabeusz.

Konkurencja bywa tak zacięta, że niekiedy samce topią samicę, nawet tego nie zauważając. To kolejny powód, dla którego panie nie co roku przystępują do godów, dla nich seks jest zwyczajnie niebezpieczny.

Ropuchy są jadowite. Tyle że nie mogą jadem pluć, a z braku zębów nie mogą nas ukąsić. By zatruć się jadem, to my musimy ukąsić ropuchę.

Czasem panowie rozwiązują sprawę nieco delikatniej, amplexusem zbiorowym, gdy do pierwszego chłopaka podczepiony jest kolejny lub kilku kolejnych. U płazów bezogonowych zapłodnienie jest zewnętrzne, to znaczy, że samica składa jaja, a samiec oblewa je nasieniem poza ciałem samicy. Zwykle nie trafia w każde jajo, to szansa, choć niewielka, dla innego samca. Oczywiście im dalej w tej kolejce, tym prawdopodobieństwo przekazania materiału genetycznego mniejsze, ale lepszy rydz niż nic.

Z wędrówką godową wiąże się jeszcze jeden problem, trzeba na miejsce dotrzeć. Niestety, sieć dróg, tych dużych i małych, z roku na rok gęstnieje, a liczba pojazdów na nich rośnie. Wystarczy 20 pojazdów na godzinę, by zniszczyć całą ropuszą, a nawet płażą populację w kilka lat. Jeśli doliczymy do tego takie czynniki jak zanieczyszczenie chemiczne wody i gruntów, na które płazy są szczególnie wrażliwe, stopowienie

Polski i związany z tym zanik małych zbiorników wodnych (wspomagany zasypywaniem ich, zwykle śmieciami), inwazje obcych, pasożytniczych grzybów – i wiele innych – to na cud zakrawa, że płazy w ogóle jeszcze w kraju spotykamy. Niemniej to najszybciej zanikająca grupa kręgowców w Polsce i na świecie.

Byłe zmieścić w paszczy

Często jestem pytany, jak się pozbyć ślimaków z ogródka. Radzę wykopać staw dla płazów. Ropuchy, a także inne nasze płazy, nie są wybredne, zjedzą dosłownie wszystko, w tym duże ślimaki bezskorupowe, na których nie ma u nas zbyt wielu amatorów. Oczywiście jeśli delikwent zmieści się do pyska, ale nim dorosnie, będzie na celowniku ropuch. Ropuchy chętnie zjedzą także innych wrogów upraw, np. stonkę ziemniaczaną, której ptaki nie tykają, ponieważ jest trująca (trucizna przenika już do larwy chrząszcza z ziemniaków,

właśnie podchodzą ofiarę. Najpierw ją obserwują, następnie podchodzą, a gdy ta próbuje uciec, przyspieszają, by ją schwytać. To jedyny moment, gdy zwiększają tempo poruszania się.

Mniejsze, latające ofiary chwytają językiem. Ich pokryty lepkiem śluzem język jest umocowany z przodu pyska, nie zaś z tyłu jak u ssaków. To pozwala wyrzucić go na zewnątrz, by wciągnąć ze smacznym kąskiem. Usiłowaliście kiedyś złapać muchę w locie ręką? To trudna sztuka, bo choć mucha leci z prędkością 8 km/godz., jej pole widzenia sięga 360 st. i jest bardzo zwrotna. Ropucha językiem nigdy nie chybia, a robi to z prędkością niemal niezauważalną dla naszego oka. Po prostu muchy znikają.

Muza artystów

Tak, ropuchy nie są specjalnie lubiane, ale nie przez wszystkich. Pochwalę się, że po spacerze ze mną większość uczestników nabiera sympatii do tego zwierzątka. Cenią ją też ludzie o artystycznej duszy, a ponoć artyści widzą więcej. Wprawdzie w „Makbecie” Szekspir umieścił ropuchę w niecnym przepisie czarownic, które podkreśliły mordercze działania głównego bohatera, ale już w „Romeo i Julii” zauważył, że piękne oczy zawdzięcza transakcji handlowej ze skowronkiem (miała się zamienić z ptakiem, oczy zyskać za głos).

Urok tychże oczu docenił inny Anglik, George Orwell, który uznał, że są prawdopodobnie najpiękniejszymi w świecie zwierząt. Dostrzegł przy tym wiele innych przymiotów płaza, poświęcając mu cały esej, zatytułowany „Kilka myśli o ropusze zwyczajnej”. Rzecz jasna, w swoim stylu zawarł tam parę uwag klasowych o socjalistycznym wydzwisku oraz pokazał środkowy palec lewicowym krytykom miłości do przyrody. Także na naszym gruncie uroda ropuchy, a przede wszystkim jej oczy, zachwycała Grzegorza i Tomasza Kłosowskich, czym podzielili się w wydanej w ubiegłym roku książce „Bracia mniejsi i więksi”. Dlatego następnym razem, nim ze wstrętem odsuniecie się od sunącej powoli ropuchy, pochylcie się nad nią i spójrzcie w jej bursztynowe oczy.

Konrad Malec



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczek

Bibliografia alternatywna

Co jakiś czas znajomi przysyłali mi moje noty biograficzne z alternatywnej rzeczywistości, wygenerowane jakoby przez sztuczną inteligencję. Trzymały się kupy bardzo słabo, mniej więcej tak, jakby nadawało je Radio Erewan (dziadziom i boomerom nie muszą robić przypisu, młodszy i tak mnie nie czytają). Bawiły mnie do czasu, kiedy okazało się, że co prawda jako grotolaz naodkrywałem więcej nawet podziemnych kilometrów, niż to naprawdę miało miejsce, w dodatku w krasie alpejskim i kaukaskim, ale zginąłem 30 lat temu, tonąc w rzece jaskiniowej gdzieś na Krymie. „Kuczek, nie żyjesz!” – ostatnio mnie ktoś tak usilnie przekonywał podczas podwórkowych zabaw w wojnę przed 40 laty.

Postanowiłem zatem sprawdzić, czy to aby nie psikusy całkiem naturalnego intelektu moich złośliwych przyjaciół. Przelamawszy wstręt do sztucznej inteligencji, który wdrapał się u mnie już prawie na poziom wstrętu do sztucznych biustów i ust, osobiście zasiadłem z duszą na ramieniu przed laptopem i wszedłem na tzw. open AI. Z miejsca zadałem pytanie fundamentalne: kim jestem. W pierwszym zdaniu robot trafił (pisarz i dziennikarz), ale dalej było już tak, jakby ktoś tłumaczył fakty na translatorze Google. Rok urodzenia się zgadzał, dzień i miesiąc już nie, miejsce urodzenia padło niedaleko tego prawdziwego, a jednak obok. Wywnioskowałem stąd, że sztuczny inteligent ulega słabościom do uogólnień – nie przejmuje się szczegółami. Przyjąłem więc z dużą dozą tolerancji, że przyszedłem na świat pod znakiem Bliźniąt w Katowicach.

Robot pamiętał wprawdzie, że moje książki zdobyły powszechne uznanie polskich czytelników i krytyków, lecz zanim zdołałem się tym wzruszyć, podał tytuły i treść, a wtędy rozumiałem, że chodzi o kogo innego. To znaczy: o mnie, ale w innym wymiarze multiwersum, trochę jak w najbardziej przecenionym hollywoodzkim filmie roku – „Wszystko wszędzie naraz”. Przejąłem się tym, bo choć przeczuwałem, że najlepsze z moich książek to te, których nie zdołałem napisać, jednak nigdy dotąd nie zdołałem się przebić do rzeczywistości równoległej na tyle, by dostrzec choćby ich tytuły. Tymczasem czatbot wymienia je bez zająknięcia: „Siła wyższa”, „Pacjent”, „Dwie głowy”, nade wszystko zaś „Gniew” ogłoszony w 2006 r. i hojnie nagradzany. Książka opowiada historię mężczyzny, który po wielu latach wraca do rodzinnego miasta i konfrontuje się z demonami przeszłości. Jako żywo gdzieś tam w innym świecie napisałem zatem powieściową wersję „Życia rodzinnego” Krzysztofa Zanussiego i tu się czatbot nawet otarł o prawdę, gdyż pierwotną inspiracją „Gnoju” zaiste było dla mnie obejrzenie tego nieco zapomnianego arcydzieła.

Oto więc naocznie się przekonałem, co straciłem, kiedy przed 17 laty, zamiast siedzieć nad gniewną powieścią, konsumowałem sukcesy rodzinne, leniwie ogłaszając eseje

filmoznawcze poświęcone „Temu piekielnemu kinu”. Co prawda, eseje przełożono na niemiecki i zobaczyłem je niegdyś na półce w berlińskiej Kinematece, ale gdzież to drobne nasycenie próżności ma się do nagród za powieść, które mnie ominęły. Do biogramu Wojciecha Kuczoka artificial intelligence dołożyła sukcesy translatorskie, co już nijak ma się do moich zdolności językowych, dukam bowiem po angielsku wysoce nieswobodnie, mniej więcej tak „na Dudę”, zatem ani Salinger, ani tym bardziej Faulknera w oryginale bym się nie tknął. Ale gdzieś tam w odległej galaktyce, z której docierają zniekształcone informacje w wersji AI, zapewne byłem pilnym uczniem kursów językowych i być może nawet żyję do dziś z uczelnianej pensji profesora anglistyki.

Pośród tytułów powieści napisanych przez moje alter ego najbardziej zaintrygowały mnie „Dwie głowy”, poprosiłem więc, by czatbot streścił mi tę książkę. I tu mnie dobił: nie dość, że streścił, to jeszcze szczegółowo zanalizował i zinterpretował frapującą historię dwóch bliźniaków, w której „Kuczek” rzuca wyzwanie konwencjonalnemu pojęciu sukcesu i zaprasza czytelników do zastanowienia się, co tak naprawdę czyni nas szczęśliwymi i spełnionymi w życiu”.

Tajemnica sztucznej inteligencji zdaje się polegać na tym, że nie odróżnia ona prawdopodobieństw od faktów.

Hm. Być może. A skoro coś może być, to jest – tajemnica sztucznej inteligencji zdaje się polegać na tym, że nie odróżnia ona prawdopodobieństw od faktów. Jeśli w niedalekiej przyszłości ludzkość zamiast z Wikipedii zacznie czerpać wiedzę o świecie z czatbota, zrobi się wesoło. Tymczasem natychmiast zrywam tę konwersację, sprawy posunęły się bowiem zbyt daleko, moje kruche poczucie tożsamości zostało, by tak rzec, zbombardowane. Ta diabelska maszyna umie zbajerować narcyza, plotać o nim kosałki-opałki, których człek łacnie słucha i traci czas. I zanim zacznie pisać za mnie książki, jak rozumiem, także w moim imieniu czerpiąc z nich należne profity, śpieszę się, by jeszcze coś osobiście naskrobać.

Niedawno publicysta największego polskiego dziennika ogłosił eksperymentalnie pod własnym nazwiskiem artykuł stworzony przez sztuczną inteligencję. Nikt się nie zorientował. Jeszcze chwila i literatura piękna też będzie powstawała bez udziału człowieka – pazerni wydawcy, mogąc wybrać darmowego i superwydajnego autora wirtualnego, porzucą chimerycznych pisarzy, którym trzeba wypłacać honoraria. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl



World Press Photo 2023





1. Zdjęcie roku 2023 – Jewhen Małoletka/AP. Ostrzał szpitala położniczego w Mariupolu.

2. Nagroda za projekt długoterminowy – „Battered Waters”, Anush Babajanyan/VIIPhoto/National Geographic Society. Karima Usmanova zbiera bawełnę. Jest emerytką, ale dorabia w ten sposób 40 dni w roku.

3. Fotoreportaż roku – „The Price of Peace in Afghanistan”, Mads Nissen/Politiken/Panos Pictures. Niedożywione dziecko badane w małej klinice w miejscowości Alibeg.

4. Fotoreportaż roku – „The Price of Peace in Afghanistan”, Mads Nissen/Politiken/Panos Pictures. Ojciec z córką czyszczy buty, by zarobić na jedzenie.

5. Nagroda za projekt długoterminowy – „Battered Waters”, Anush Babajanyan/VIIPhoto/National Geographic Society. Na wyschniętym krańcu Jeziora Aralskiego rodziny żyją z hodowli wielbłądów. Łodzie do łowienia trzymają w resztkach wody.

6. Fotoreportaż roku – „The Price of Peace in Afghanistan”, Mads Nissen/Politiken/Panos Pictures. Młody mężczyzna na straży piątkowej modlitwy w meczecie Szer Szah Suri w Kabulu.



Jaka szkoda, że Kalibabka nie trafił do Piszczaca

Ojcem medialnego rozgłosu Tulipana był Leszek Konarski, młody reporter „Przeglądu Tygodniowego”

Wiktor Krajewski

NARODZINY GWIAZDY

Sukces ma wielu ojców. I chociaż poniekąd można uznać Kalibabkę za self-made mana, niesprawiedliwością byłoby pominięcie faktu, że ojcem medialnego rozgłosu Tulipana – o ile w tym przypadku wypada używać takich słów – był przede wszystkim dziennikarz Leszek Konarski. Młody reporter „Przeglądu Tygodniowego” na trop PRL-owskiego uwodziciela wpadł przez zupełny przypadek, gdy pewnego wiosennego dnia 1982 r. natknął się na wzmiankę o tym, że milicji w Nowym Sączu udało się „zatrzymać Jerzego K.”, poszukiwanego w całej Polsce listem gończym. Nikt wtedy nie sądził, że za tą niepozorną informacją stoi historia, która stanie się medialnym hitem.

LESZEK KONARSKI: Pojechałem do Nowego Sącza i dotarłem do inspektora wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy wojewódzkiej Andrzeja Zbróga, świeżo upieczonego absolwenta Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu przydzielono prowadzenie tej sprawy. Dowiedziałem się, że w restauracji w Szczawnicy zatrzymano przestępcę uwodziciela, który był poszukiwany w całym kraju, już kilka razy go aresztowano, ale skutki kajdankami uciekał z konwojów lub z komend milicji. Podróżując po Polsce, rozkochiwał w sobie bogate kobiety, zdobywał ich zaufanie, a w końcu ograbiał z kosztowności, futer, kozuchów...

Żeby wkupić się w łaski oszusta, Konarski przyniósł na widzenie kilka

paczek papierosów. Kalibabka spojrział tylko na niego z pogardą i wyciągnął z kieszeni paczkę własnych, amerykańskich. Pachniał Old Spice’em. Luksus jak na tamte czasy. Czy Tulipan już wtedy doskonale wiedział, że jeśli przedstawi historię swojego życia w odpowiedni sposób, stanie się ucieleśnieniem tego, o czym mężczyźni marzą za dnia, a kobiety śnią nocami?

Pierwszy reportaż o Kalibabce opublikowany w „Przeglądzie Tygodniowym” wywieszono w gablotce na Dworcu Głównym w Krakowie i nie sposób było się dopchać, żeby go przeczytać. Czytelnicy domagali się informacji o dalszych losach mężczyzny, więc redakcja tygodnika ogłosiła, że co kilka numerów będzie drukować teksty Konarskiego na temat uwodziciela. Kolejne materiały zapowiadała prowokująco: „Uwodziciel, oszust, brutal? A może więcej: męski mit nieujarzmionego zdobywcy? Reakcja Czytelników na głośny i kontrowersyjny reportaż o Jerzym Kalibabce (Leszek Konarski »Kochał, bił i kradł«, nr 21, »PT.«) jest niestychanie żywa. W jednym z najbliższych numerów naszego pisma powrócimy do sprawy J. Kalibabki w obszerniejszej publikacji”. Poniżej zamieściła listy od czytelników, które doskonale pokazują cały przekrój reakcji na fenomen Kalibabki:

OSZUST I NAIWNE

Zdumiewa głupota i naiwność naszych dziewcząt i kobiet. Przecież to nie do wiary, aby taki prymityw i brutal jak ów Kalibabka mógł tak grasować i ograbiać płeć piękną. Czyżby nasze kobiety nie miały oczu? Co z ich rozumem? Co

z uczuciami? Przecież godziły się na coś płaskiego, niskiego. (...)

Adam Z. Szymczak, Kraków

Obojętnie, jaki wyrok otrzyma Kalibabka, nic nie zmieni faktu, że to fenomen. Oczywiście fenomen przestępca. Z pewnością nader utalentowany, skoro zdołał uwieść i ograbić aż tyle dziewcząt i kobiet. Uważam, że to także samorodny talent literacki. Kalibabka powinien pisać, sądząc z próbki zamieszczonej w „Kochał, bił i kradł”

– nie krył ekscytacji inny czytelnik, niejaki Wacław Michlela z Wrocławia, i sugerował przy tym, aby któryś ze współczesnych polskich literatów wziął Tulipana pod swoje skrzydła i zrobił z niego prawdziwego pisarza. Pojawiły się także głosy zaniepokojonych rodziców, że popularność Kalibabki to wina niedostatecznej edukacji seksualnej młodzieży, i ogólne narzekania na zepsucie młodego pokolenia oraz łatwowierność dziewcząt, które same się proszą o podobne traktowanie. (...)

Z kolei Leopold C. w swoim liście zwierzył się, że jako mężczyźnie zdarzało mu się trafić na kobiety uwodzicielki, niewiele lepsze od słynnego Tulipana:

Idąc do przystanku trolejbusowego, po drodze spotkałem kobietę, która mi się bardzo spodobała i zrobiła wstrząsające wrażenie. Podeszedłem do niej i zaproponowałem jej spotkanie przy kinie Przyjaźń o godzinie 18-tej. [...] Po kinie odprowadziłem ją do domu. Kiedy stałem, trzymając jej rękę na pożegnanie, ona przewróciła mnie na ziemię i położyła się na mnie, w niedwuznacznych zamiarach.

Wyrok z 1984 r. nie był ostatnim, jaki dostał Kalibabka. W 1992 r. znów stanął przed sądem, tym razem za przetrzymywanie nieletniej.



Energicznie zrzuciłem ją z siebie i poszedłem na drugą stronę ulicy. Nie takiej kobiety pragnąłem. A takie są.

Nie zabrakło też głosów niezadowolonych, że poważny tygodnik zajmuje się tematyką godną brukowca, ale większość czytelników nie kryła fascynacji historią Kalibabki. Do redakcji spływały nawet próby poetyckie kobiet zachwyconych bohaterem reportażu Leszka Konarskiego. (...) Całe to szaleństwo najlepiej jednak wyjaśniał list przesyłany do redakcji „Przeglądu Tygodniowego” przez grupę dziewcząt z małej wsi w województwie lubelskim – znudzonych życiem na prowincji i żyjących marzeniami o wielkiej, romantycznej miłości rozpalającej ciało i duszę.

A W PISZCZACU NIC SIĘ NIE DZIEJE...

W naszej miejscinie Piszczacu zionie nudą. Od lat nic tutaj się nie wydarzyło, o czym byłoby głośno. A my po prostu marzymy o czymś takim. Żle czy dobrze, ale niech coś się dzieje, bo najgorsza jest martwota, całkowity letarg. [...] Jaka szkoda, że Kalibabka nie trafił do Piszczaca! Przecież w końcu zaczęłoby

się tutaj coś dziać. Ileż byłoby do opowiadania... [...]

Numer „PT” z opowiadaniem „Kochał, bił i kradł” krąży potajemnie wśród piszczańskich dziewcząt. Czytamy i wciąż dyskutujemy. Lekturze towarzyszy tęsknota za Kalibabką. Niejedna z nas powtarza z zawodem – dlaczego Kalibabka ominął nasz Piszczac. Przykro, że nie zdawał sobie sprawy, jak wielką rolę mógłby spełnić w naszym miasteczku, gdzie naprawdę nic się nie dzieje. Na pewno wybaczylibyśmy mu, że kradł i bił, skoro tak wspólnie kochał. U nas, jeśli się tylko słyszy, to o tym, że mąż pobił żonę, a nie o podbojach serc, o zdobywaniu miłośnym dziewcząt i kobiet, w czym niezrównanym mistrzem musiał być opisany przez Was syn rybaka, polski Casanova [pis. oryg.].

Na koniec mamy propozycję – czy redakcja „PT” nie mogłaby nam przesłać za opłatą fotek Kalibabki? Czy nie mogłaby umożliwić nam kontaktu listownego z aresztowanym? Chcemy nawiązać z Kalibabką korespondencję, gdyż z zamieszczonego opowiadania „Kochał, bił i kradł” możemy się domyślać, jak piękne listy miłosne pisał Jurek. Redakcjo, nam się aż marzy, aby ktoś do nas w Piszczacu takie listy nadsyłał.

Siedem nazwisk i adresów podanych do wiadomości redakcji.

Piszczac, woj. białkopodlaskie

Redakcja tygodnika zamieściła pod materiałem krótki tekst, w którym sprostowała, że pierwsza publikacja na temat Tulipana stworzona została zgodnie z faktami: „Tekst Leszka Konarskiego »Kochał, bił i kradł« jest reportażem, a nie opowiadaniem, jak go określają nasze korespondentki w nadesłanym liście. Niebawem w Piszczacu zjawi się ktoś z naszych reporterów i postara się przerwać milczenie wokół miasteczka”. Lawina listów od czytelników z mniejszych i większych ośrodków, napływająca do redakcji po ukazaniu się każdego numeru, w którym pojawiał się artykuł o Tulipanie, pokazała, że publika spragniona jest romantycznego antybohatera, porywów namiętności i powiewu wielkiego świata. Wszystko to mógł jej zaoferować właśnie on: Jerzy Julian Kalibabka.

Z czasem Konarski stał się jedynym dziennikarzem, którego Kalibabka traktował z szacunkiem. Chętnie z nim rozmawiał, zwierzał mu się, czynił śmiało wyznania. Między znanym oszustem a reporterem ▶

► wytworzyła się więc szczególnego rodzaju.

LESZEK KONARSKI: A ja w tym czasie odwiedzałem w areszcie Jerzego Kalibabkę i tak jak przypuszczałem, już podczas pierwszego widzenia wyjaśnił mi, że nie jest żadnym przestępcą, złodziejem czy gwałciicielem. [...] On tylko wstawiał dziewczynom „chmury i bajery”, wychodził naprzeciw ich marzeniom, opowiadał o tym, co chciały usłyszeć, same za nim szły. „Pukanie”, bo tak to nazywał, szło mu dobrze, bo bardzo dbał o własny wygląd, zawsze był wykąpany, wyperfumowany, w czystej koszuli. Wszystko kupował w pewexach, białe buty zamawiał u szewca w Warszawie. Mnie pouczał: „Pamiętaj, 60% twojego powodzenia to ubranie”. Długo opowiadał, jak na dyskotekach i na ulicach bezbłędnie selekcjonował dziewczyny, biednej nigdy nie „puknął”. Musiała mieć złoty łańcuszek i co najmniej trzy pierścionki. Z daleka potrafił odróżnić prawdziwe złoto od imitacji, nie mylił się. Jego peweksowska garderoba wzbudzała zainteresowanie, szczególnie w małych miasteczkach, przedstawiał się jako osoba na stanowisku, dobrze zarabiająca.

Konarski zdawał sobie jednak sprawę, że Kalibabka bardzo zręcznie tworzył własną legendę, żeby podtrzymać zainteresowanie swoimi podbojami. Często z premedytacją mijał się z prawdą i większość jego historii przytaczanych przez prasę stanowiła wyłącznie dowód na bujną wyobraźnię oszusta. A mimo to wydawało się, że cokolwiek powie, czytelnicy będą piali z zachwytem.

LESZEK KONARSKI: Pamiętam te wielogodzinne odwiedziny w więzieniu w Nowym Sączu, kiedy opowiadał mi o podbojach miłosnych. Tylko czasem, gdy np. twierdził, że w miesiącu miał 1000 kobiet, hamowałem go: „Jurek, czy ty nie przesadzasz? Więcej niż trzy dziewczyny dziennie?”. Chwilę pomyślał: „Dobrze, napisz 500”.

Początkowo Konarski płynął na fali reporterskiego uniesienia, poświęcał podrywaczowi i jego ofiarom wiele publikacji. Ale z czasem w dziennikarzu zrodziły się wątpliwości, czy na pewno dobrze zrobił, że oddał głos

Kalibabce i uczynił go bohaterem zbiorowej wyobraźni. Czytelnicy zbyt chętnie chłonęli każde słowo człowieka, który w kryzysie i beznadziei szaroburej rzeczywistości lat 80. był kimś wyjątkowym. Kolorowym rajskim ptakiem. Kimś, kto tę rzeczywistość przekształcał według własnych zachcianek i fantazji.

LESZEK KONARSKI: Po kilku latach doszedłem do wniosku, że muszę przestać pisać o „Tulipanie” lub „Delonie” (tak go nazywano w więzieniu), bo zupełnie straciłem nad nim panowanie. A on zaczął wierzyć we wszystko, co mi opowiadał. Nie było żadnych kradzieży, gwałtów, oszustw, tylko jedna wielka miłość.

JERZY KALIBABKA: Urodziłem się, by kochać. Jak chyba nikt inny poznałem psychikę kobiet. Wystarczy, że przez okno popatrzę na przechodzącą kobietę, i zaraz wiem, czego potrzebuje. Po ubiorze, po chodzie wyczuwam jej charakter, temperament. Żeby dojść do tych umiejętności, trzeba najpierw samemu kochać, i to nie tylko w słowach, ale tak naprawdę głęboko.

Historia Jerzego Kalibabki jest złożona i wielowątkowa, a jego skłonność do konfabulacji i megalomania znacznie zaciemniają obraz tego, co naprawdę się zdarzyło. Gdy jednak z ubarwionych historii wyłuska się to, co z dużym prawdopodobieństwem można by uznać za fakt, łatwo dostrzec pewne schematy zachowań i kobiece archetypy, które regularnie powracają w wyznaniach najpopularniejszego uwodziciela i oszusta matrymonialnego w Polsce. W jednym z artykułów w „Przeglądzie Tygodniowym” Konarski nakreślił szczegółowy profil dziewcząt, które najczęściej padały ofiarą Jerzego.

LESZEK KONARSKI: 90% dziewcząt, które stały się ofiarami Kalibabki, było w wieku 16-17 lat. A więc uczennice szkół średnich, przeważnie z dobrze sytuowanych rodzin oraz te po zasadniczych szkołach, dopiero zaczynające pracę ekspedientki, kelnerki. Wiele z nich to jędnaczki. Dużo dziewcząt pochodziło z rodzin rozbitych. Wychowywały je wyłącznie matki. [...] Złoto, które Jerzy Kalibabka zakopał w różnych częściach Polski – to

bizuteria zakupiona córeczkom przez kochających je rodziców. Z tych 16-letnich uczennic „ściągnął” też sporo kożuchów, płaszczy skórzanych, kurtek. [...] Te pozostałe 10% dziewczyn niemieszczących się w granicach „głupiego wieku” to takie po 14 i 15 lat oraz od 20 do 23 lat. O tych, które ukończyły 20 lat, Kalibabka mówi, że jest to „szaber”. Takie „stare” go nie interesowały, chyba że zauważył trzy pierścionki na palcach...

Kalibabka nie ukrywał, że często wcale nie kupował dziewczynom podarunków, a rzeczy, które dawał swoim wybrankom, pochodziły z kradzieży i nierzadko poprzednimi właścicielkami tych przedmiotów były kobiety oszukane wcześniej. Kierował się dość pokrętną logiką, gdy tłumaczył, że – niczym Robin Hood – „żeby jednym dać, musiał zabrać innym”. I do końca swoich dni był święcie przekonany, że w jego zachowaniu nie ma nic złego, że społeczny ostracyzm, który go spotyka, jest wysoce niesprawiedliwy. W rozmowach z dziennikarzami otwarcie zarzucał im, że wyolbrzymiają liczbę uwiedzionych kobiet i skradzionych rzeczy. Uważał także, że tak poważny temat, jakim są uczucia, nie powinien być traktowany jak materiał na tanią sensację, ponieważ w ten sposób obniżana jest powaga dramatu, który rozgrywa się w jego życiu i sercu. Raz nawet zapytał Konarskiego wprost: „Dlaczego pan nie napisze, jakim jestem człowiekiem?”. Gdy redaktor poprosił, żeby Kalibabka powiedział otwarcie, co kłębi się w jego umyśle i jaki sekret skrywa, ten z pogardą odburknął: „I tak pan nie zrozumie”.

Ja nie jestem przestępcą.
Chciałem tylko mieć
wszystkie kobiety świata.
Wszystkie naraz.

JERZY KALIBABKA: Mam pretensje, że z mojej miłosnej tragedii zrobiliście sprawę kryminalną. Ja nie jestem przestępcą. Chciałem tylko mieć wszystkie kobiety świata. Wszystkie naraz. Każde następne przeżycie, każda nowa miłośćka była smaczniejsza. Dlatego musiałem uwalniać się od poprzedniczki. Musicie więc jako dziennikarz wniknąć w moją psychikę i wtedy zrozumiecie, że nie powinienem być ukarany. Potrafiłem pójść

na Bazar Różyckiego w Warszawie i kupić dziewczynie prezenty za 130 tys. zł. Mogę powiedzieć, która z nich nosi dzisiaj moją kurtkę z lisów, która otrzymała w prezencie futro z norek. Nie mówię już o pierścionkach, które rozdawałem. Dlaczego dzisiaj żadna z nich nie przyjdzie do prokuratury i nie powie, że ma futro od Kalibabki? A ile razy wprowadzałem je do pewexu i pozwalałem wybierać, co tylko chcieli. Teraz żadna się do tego nie przyzna. Zgłaszają się tylko te, którym coś wzięłam.

Nie zgłaszają się te, które się wstydzą. Ofiar jest ponad 2 tys., ale na rozprawie zeznaje tylko 200 dziewcząt. Wszystkie za zamkniętymi drzwiami. Sąd rozpoznaje sprawę na posiedzeniu niejawnym, a jedna z gazet nazywa ją dość kpiąco „ogólnopolskim zjazdem łatwych i naiwnych dziewcząt”. Żaden z dziennikarzy nie może wejść na salę rozpraw. Wiadomo jednak, że Kalibabka, usłyszawszy o 15 latach odsiadki, płacze. Po raz pierwszy widać jego emocje. Do końca był pewien, że uda mu się uniknąć kary.

MIŁOŚĆ MI WSZYSTKO WYBACZY

Milicja podczas aresztowania zabezpiecza rzeczy, które Jurek i Niusia zostawili w szatni restauracji Halka. Nie ma tego za wiele. Uwagę funkcjonariuszy przykuwają: zeszyt z tekstem opowiadania i notes, samochodowy atlas Polski oraz aparat fotograficzny. Wszystkie przedmioty posłużą w śledztwie jako dowody przestępstw, których dopuścił się Kalibabka. O zeszytce i notesie (oraz ich zawartości) opowiem nieco później, teraz skupmy się na dwóch pozostałych przedmiotach. Atlas samochodowy okazał się skarbnicą wiedzy na temat wojaży Kalibabki i miejsc, w które udawał się na łowy.

LESZEK KONARSKI: Kółko zamalowane oznaczało miejsce, gdzie już był, puste, gdzie można jechać, krzyżyki to miejsca ucieczek. Stawiał też trójkąty i to znaczyło, że tam są domy wczasowe, a więc łatwo można wynająć kwatere, no i jest tam dużo nudzących się młodych dziewcząt obwieszonych złotem.

Małgorzata Zawadzka – w zamian za wcześniejsze wyjście z aresztu i złagodzenie kary – bierze czynny udział w kompletowaniu poszlak. Wraz z Andrzejem Zbrógiem, milicjantem prowadzącym sprawę Kalibabki, wsiadają do czarnej wołgi i ruszają w Polskę. Jeżdżą od miasteczka do miasteczka w poszukiwaniu dziewczyn, które padły ofiarą Jurka.

Nie jest to wcale łatwe zadanie. Tulipan spędził w areszcie śledczym w Nowym Sączu prawie dwa lata – najpierw przez niemal rok czekał tam na rozprawę, a potem na wyrok. Tyle czasu zajęło dotarcie do ofiar. Dziewczyny i kobiety, rozsiane po całej Polsce, nie chcą opowiadać o swoich upokorzeniach. Nic dziwnego, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie treść listów, które spłynęły do redakcji „Przeglądu Tygodniowego” po publikacji pierwszego artykułu o Kalibabce. To one – głupie i naiwne – zasługiwały przecież na społeczne napiętnowanie.

Ale w końcu ofiary zaczynają mówić. Śledczy gromadzą wystarczająco dużo dowodów i zeznań świadków, by 31 marca 1983 r. do Sądu Rejonowego w Nowym Targu złożyć akt oskarżenia, w którym wyliczyli aż 160 przestępstw.

Jednymi z najważniejszych dowodów w sprawie są sprzęt fotograficzny zabezpieczony na miejscu zatrzymania Kalibabki i Zawadzkiej oraz zdjęcia, które uwodziciel robił ofiarom w ostatnich miesiącach swojej działalności.

LESZEK KONARSKI: Fotografowanie zaczął w Chełmży. Pierwsza dziewczyna, której wykonał serię zdjęć, miała na imię Zuza. Po krótkich – jak zawsze – zalotach Kalibabka pojechał z Zuzą oraz Niusią i „Grzałką” do pobliskiego lasu. Kiedy weszli między drzewa, poprosił Zuzę, aby usiadła na pnium i uśmiechnęła się do aparatu, bo chce jej zrobić pamiątkowe zdjęcie. Gdy dziewczyna myślała, że to już koniec fotografowania, Tulipan kazał jej się rozebrać i zagroził, że jeżeli go nie posłucha, to zrobi jej zastrzyk i zostawią nieprzytomną w lesie. Po skończonej „sesji” pozostawili rozebraną dziewczynę tam, gdzie stała, i zagrozili, że gdyby komuś

o tym powiedziała, to jej zdjęcia porno zawisną na każdym słupie w Chełmży.

Kolejną ofiarą, której Kalibabka robi kompromitujące zdjęcia, jest Barbara. Tulipan razem z Niusią również tę dziewczynę wywożą do lasu. Gdy Basia słyszy, że ma się rozebrać, stawia opór. Kalibabka grozi jej, że jeśli nie pozbedzie się ubrań, on pojedzie do jej ojca i poważnie sobie z nim „porozmawia”. Dopiero wtedy przestraszona dziewczyna ze łzami w oczach zdejmując z siebie bluzkę, spodnie i bieliznę. Stoi przed nimi zupełnie naga. Niusia podaje Kalibabce sprzęt. Dźwięk migawki aż świdruje w uszach Basi. W przerwach między odgłosami dziewczyna odlicza sekundy upokorzeń. Gubi się po trzecim strzale. (...)

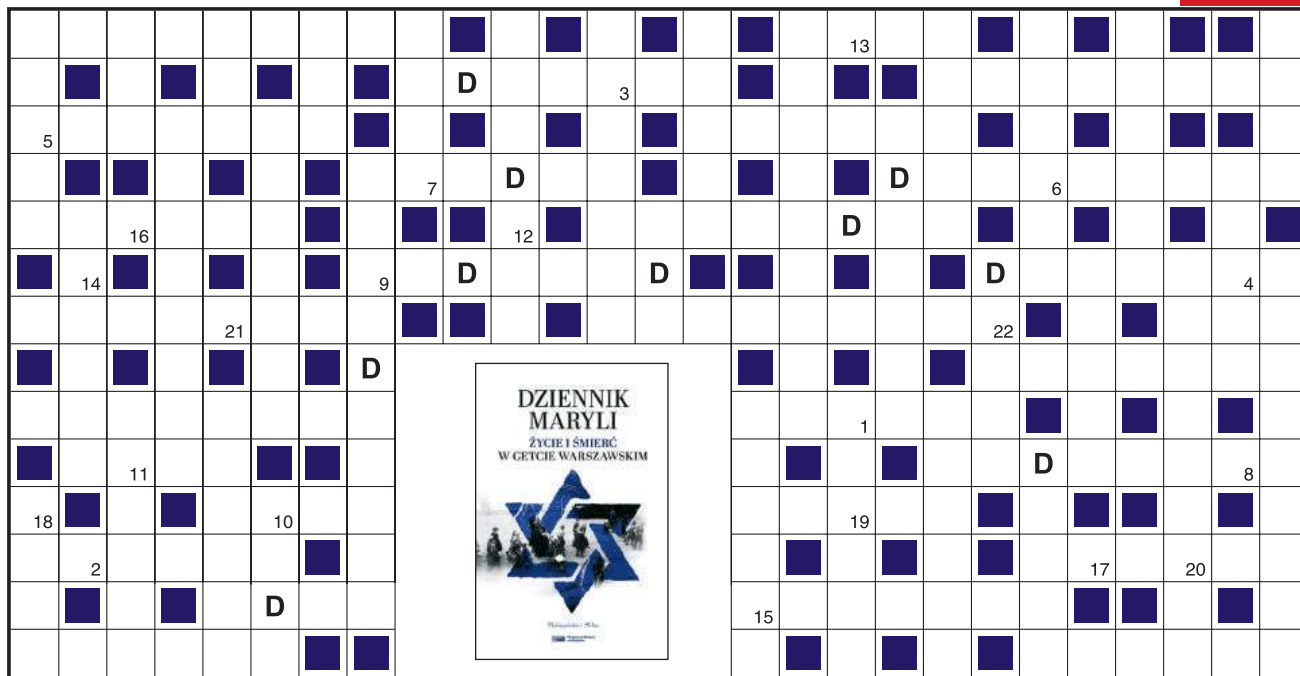
Jola, którą Kalibabka i Niusia poznają w Giżycku, też nie ma dużo szczęścia. Właściwie jej los zostaje przesądzony w momencie, gdy dziewczyna przyznaje, czym zajmują się jej rodzice. Ojciec piastuje wysokie stanowisko w miejscowym urzędzie, więc od razu wiadomo, że nowo poznana dziewczyna jest z dobrze sytuowanej rodziny. Kalibabka bez wahania zaciąga Jolę do łóżka.

LESZEK KONARSKI: Nazajutrz poszedł z nią do lasu już z aparatem fotograficznym oraz Niusią. Gdy Jola nie chciała się rozebrać, powiedział, że tam dalej stoją chłopcy, których on w każdej chwili może zawołać. Niusia była tu fotografką dokumentalistką. (...)

W Komendzie Wojewódzkiej MO w Nowym Sączu oglądałem kilka takich serii fotograficznych wykonanych przez Kalibabkę i Niusię. Na pierwszym zdjęciu dziewczyna zawsze uśmiecha się do obiektywu, potem ten uśmiech graniczy z płaczem przy zdejmowaniu kolejnych części garderoby. Wreszcie całkiem naga znowu musi robić do obiektywu przyjemną minę (...). Ten uśmiech miał być dowodem, że dziewczyna rozebrała się z własnej, nieprzymuszonej woli.

Fragmenty książki Wiktora Krajewskiego *Kalibabka. Historia największego uwodziciela PRL*, Znak Literanova, Kraków 2023





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- śpiewaczka Sari lub matematyczka Lovelace
- wyżej niż asystent na uczelni
- płacone po rozwodzie
- podobieństwo, zbieżność
- kwestionariusz z pytaniami
- tam po potopie osiadła Arka Noego
- ma cierpkie owoce podobne do borówki
- różanecznik
- pierwiastek w białku
- thriller z Jodie Foster i Forestem Whitakerem
- Atena lub Wenus
- wieloletnia roślina zielna

- ...pełnomocnictwa – odwołanie upoważnienia
- folwarczny budynek o czterech mieszkaniach
- niejedno na uczcie
- niedobór w budzecie
- szczegół, drobiazg
- kopalna mała czelkowształtna
- zbiór norm, moralność
- harscerski nóż
- o stracie przez brak doświadczenia, przez zaniedbanie
- Dziki... z „Wiedźmina”
- zagrywa kijem czarny krążek
- myśl przewodnia, pomysł
- posłanka bogów, uosobienie tęczy

- ...Sparrow grany przez Johnny'ego Deppa
- cienka, sucha kielbaska
- klacz Piłsudskiego
- wąski trójkącik, maleńka rozpórka
- przyprawa do kapusty, chleba
- kolorowa wstążka ludowa
- srebrne nitki na choince
- wysoka piłka
- wisior ze zdjęciem
- konieczność lub przetarte owoce
- grąźel, grzybień biały
- dręcząca myśl, mania, natręctwo
- pętla sieci
- sąsiad Kargula
- muzyczny lub pierwsza warstwa farby
- demonstracja, prezentacja
- wielożeństwo
- trząść nimi to bać się

- pedagogiczna lub Ministrów
- „Błękitna...” Gershwin
- klujące pole po żniwach
- podopieczny Nikoli Grbicia
- zdzierany z czaszki wroga
- połączenie wykonane palnikiem
- kilka kur lub gołębi
- siedziba władz powiatu
- kolega florecisty i szablisty
- neapolitański taniec ludowy
- powstawanie oporu hamującego ruch
- na hali się pali
- decyzyja jurorów
- zakładane przez kłusownika
- okucie do mocowania wieka, okna
- bufor
- dziki leśny kot

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1114”. Do rozlosowania książki „Dziennik Maryli” ufundowane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 maja 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1111” z nr. 14: Grzeczny ma wytrych do serca. Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Marek Szczepański z Gdyni, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

Teraz Chiny

Prezydent Francji Emmanuel Macron odwiedził Chiny. Towarzyszyli mu reprezentanci francuskiego biznesu. Wracając, stwierdził, że Europa musi częściowo zrzucić zależność od USA. Nic to nadzwyczajnego. Ale oto ekipa nad Wisłą wyczuli okazję do pokazania światu bezwarunkowej miłości do Ameryki.

Mieliśmy więc zawody w atakowaniu Macrona, kto go potępi z większym zapalem. Cóż, tym razem palma pierwszeństwa należy się Janowi Dziedziczkowi, sekretarzowi stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Oto jego słowa: „Ta wypowiedź powinna się spotkać wyłącznie z oburzeniem. Mamy do czynienia ze skrajną nielojalnością Francji wobec świata zachodniego. Uderza mnie też niewyobrażalna głupota prezydenta Republiki”.

Szanowni Państwo, to nie pokrzykiwanie działacza kółek rolniczych gdzieś z powiatu, lekko nietrzeźwego, to są słowa wysokiego urzędnika w KPRM, jeszcze niedawno wiceministra spraw zagranicznych. Jeżeli tacy ludzie tam pracują, to jakiej dyplomacji możemy się spodziewać?

Aha, wspomnieliśmy o Chinach... Pół MSZ opowiada, że nowym ambasadorem w Pekinie będzie Jakub Kumoch, do niedawna szef Biura Polityki Międzynarodowej Kancelarii Prezydenta RP w stopniu sekretarza stanu. Z tego stanowiska odwołany w styczniu 2023 r.

Okoliczności odwołania Kumocha wciąż są dobrze pamiętane. Otóż w listopadzie 2022 r., po tym jak na Przewodów spadły rakiety, prezydent Andrzej Duda odbył telefoniczną rozmowę z prezydentem Macronem. Przez siedem minut ze swadą opowiadał, co się zdarzyło i jakie jest polskie stanowisko w tej sprawie. Rzecz w tym, że jego rozmówcą nie był prezydent Francji, tylko dwaj rosyjscy pranksterzy, pracujący

dla Kremla. To była druga taka rozmowa, w której Duda został oszukany. Wcześniej Rosjanie podszyli się pod sekretarza generalnego ONZ.

Rosjanie wyśmiewali Dudę przed całym światem. Prezydent zapowiedział więc kontrolę w swoim biurze i konsekwencje wobec tych, którzy zawinili. Jako pierwszy kancelarię opuścił Piotr Gillert, dyrektor Biura Polityki Międzynarodowej. Uznano zatem, że to on odpowiada za skandal. Ale Kumoch temu zaprzeczał. W końcu odszedł i on. Tłumaczył na Twitterze, że o zamiarze odejścia poinformował prezydenta już w październiku (czyli przed feralną rozmową), a odchodzi, bo nawal obowiązków powoduje, że nie ma czasu spotkać się z dziećmi. „Sytuacja rodzinna i rozłąka z najbliższymi okazała się dla mnie i moich dzieci sprawą nie do przezwyciężenia – pisał. – Musiałem wybrać, między obecnymi obowiązkami wobec państwa oraz byciem ojcem”. Znaczący się, to on wybrał i zdecydował. Że woli pracować mniej.

Teraz, z takim багаżem, Kumoch ma jechać do Chin. Do tego dochodzi jego życiorys – pracę w rządzie zaczynał w Ośrodku Studiów Wschodnich, potem wyjechał do Moskwy, jako dziennikarz PAP. I dopiero później znalazł się w MSZ.

Pytań nasuwa się kilka: jak Pekin odbierze nowego ambasadora? Czy jako wysłannika prezydenta? Czy raczej wysłannika kogoś innego? Albo jako człowieka, któremu wciąż coś się zdarza, więc znalazł się na otarcie też daleką placówkę. Rodziną, jak najbardziej.

Choć w sumie, jeśli spojrzeć, jak ambasada ChRL w Warszawie potraktowała premiera Morawieckiego, chyba nie ma to już znaczenia.

Attaché

Uczestnicy 30. Marszu Żywych m.in. na rampie kolejowej między obozami Auschwitz i Birkenau upamiętnili ofiary Zagłady. W tegorocznym przemarszu wzięło udział ok. 10 tys. młodych ludzi z całego świata. 18 kwietnia 2023 r.





PENETRACJE

TYGODNIK
POWSZECHNY

HENA KUCZER/KRYSZYNA BUDNICKA,
CZŁONKINI STOWARZYSZENIA „DZIECI HOLOCAUSTU” W POLSCE

Ktoregoś dnia mój najstarszy brat Izaak przyprowadził koleżankę. Przedstawił ją jako swoją przyjaciółkę, która straciła całą rodzinę i nie ma gdzie mieszkać. Spotkał ją na ulicy zapłakaną i prosił nas, by mogła zostać z nami. Moja mama, pobożna Żydówka, zgodziła się, ale stwierdziła: „Jak to będzie wyglądać, ty kawaler, ona panienka, jak to tak?”. Więc brat stwierdził, że dobrze, niech będzie „narzeczoną”. „Skoro tak, to bierzecie ślub”, powiedziała mama. Był więc ślub w warunkach kanałowych. Na ręce mojego taty złożyli przysięgę małżeńską. Był jakiś rodzaj baldachimu, chyba z koca, ale żadnych innych uroczystości. Taka była miłość w bunkrze...

TYGODNIK
ANGORA
PRACOWNIK
PRACOWNIK
PRACOWNIK

ANTONI SZPAK,
PUBLICYSTA

Na naszych oczach wielcy bojownicy spraw ogromnych zaczęli obrastać w piórka. Złachane swetry zamienili na eleganckie garnitury i odgradzili się gabinetami od ludu pracującego miast i wsi. Zamiast obiecanych bułek z szynką wystawili faktury, rachunek do zapłacenia za swoją rzekomą bezinteresowną, kierowaną wyłącznie ideą wolności i braterstwa, walkę z socjalistycznym reżimem! I tak oto piękne życiorysy zaczęły parszywieć i cuchnąć. Legendarni antykomuniści, opozycjoniści okazali się zwykłymi, wyrachowanymi NAJEMNIKAMI! Sędziowie mierzyli i wyceniali bohaterstwo ludzi ze styropianu! Kolejka bojowników SSĄCYCH państwową kasę rosła w oczach. Bóg mamona obnażył ich prawdziwe gęby! Szlag trafił ideały Solidarności, psu na budę zdała się tablica z postulatami! Te i inne haniebne wydarzenia doprowadziły do powstania klasy próżniaczej!

KRAKÓW

KRZYSZTOF PIASECKI,
SATYRYK, ARTYSTA KABARETOWY

Pierwsza anegdota, która przychodzi panu na myśl.

– Mężczyzna chce się ubezpieczyć na życie. – Ile pan ma lat? – 82. – Nie ubezpieczamy takich starszych ludzi. – A to się tata zmartwi. – A to pan ma ojca? – Mam. – A ile on ma lat? – 102. – To wie pan co, niech pan przyjdzie z ojcem we wtorek. – A to się dziadek ucieszy. – To ma pan też dziadka? – Mam. – A ile ma lat? – 130. – To niech pan przyjdzie z dziadkiem i ojcem we wtorek o siedemnastej. – We wtorek o siedemnastej dziadek nie może. – Dlaczego? – Żeni się. – Chce mu się? – Nie chce. Musi.

VIVA!

ARTUR BARCIŚ,
AKTOR

W Nowym Jorku zrywałem azbest w absolutnie skrajnych warunkach. To była wycieńczająca harówka w gigantycznych temperaturach, pod sufitem. Tylko dlatego zostałem zatrudniony, że mieściłem się w rurach, do których inni nie mogli wejść. Pamiętam, jak w specjalnym kombinezonie ryczałem głośno, bo wiedziałem, że nikogo nie ma i nikt mnie nie słyszał. Byłem miesiąc po ślubie, tęskniłem straszliwie za Bebą, a jednocześnie tak dużo zarabiałem za godzinę pracy, że wiedziałem, że muszę wytrzymać.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

YCIETSTAETORNIE

MARÓCŹTOIEAMWIEZA

ODIEBENICIEKIEZ

ROZWIĄZANIA: ŻYCIE TO STAŁE TWORZENIE, MĄDROŚĆ TO NIE SAMĄ WIEDZĄ, OD SIEBIE NIE UCIEKNIĘSZ



Aby język giętki...

HENRYK MARTENKA
O ROBERCIE BIEDRONIU

Polityk, który własną popularność przepuścił, nie wiedząc nawet kiedy.

OLGA LEONOWICZ O MARKU BRZEZIŃSKIM

Lubię jego umiejętność dostrzegania pozytywnych i motywowania do działania. Mam podobne poczucie humoru i emocjonalność.

KUBA WOJEWÓDZKI O JANIE PIETRZAKU

O ile facet przebrany za babę w kabarecie jeszcze uchodzi, to hejter przebrany za kabareciarza już nie.

KRYSTYNA JANDA
O PARTNERZE NA WSPÓLNE ŻYCIE

Nie spotkałam nikogo, żadnego mężczyzny, który by mnie w tym sensie zainteresował. A poza tym coś mi nie pozwala.

DOROTA WELLMAN O MĘŻU KRZYSZTOFIE

W naszym związku nie ma sielanki. Opowieści o ludziach, którzy jedzą sobie z dziubków, to nie u nas.

ADAM WORONOWICZ
O MARCINIE DOROCIŃSKIM

Z charakteru jest sportowcem: praca, ambicja, solidność, żadnego chodzenia na skróty. Sama uczciwość.

KRYSTYNA PROŃKO
O ULUBIONYCH WYJAZDACH

Gdy mam potrzebę, by świat się odcepił, wyjeżdżam do Portugalii. Lubię na wakacjach być sama.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław

Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyzna
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy. **Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.**

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

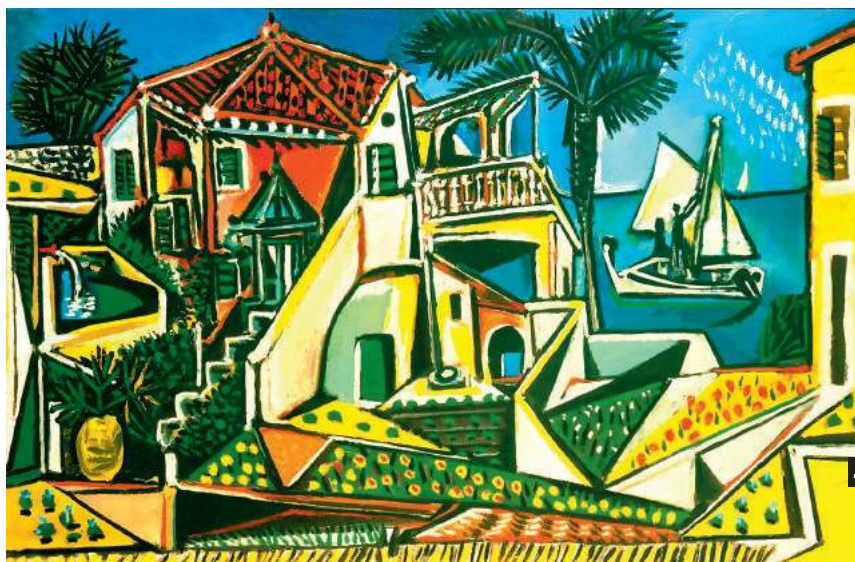
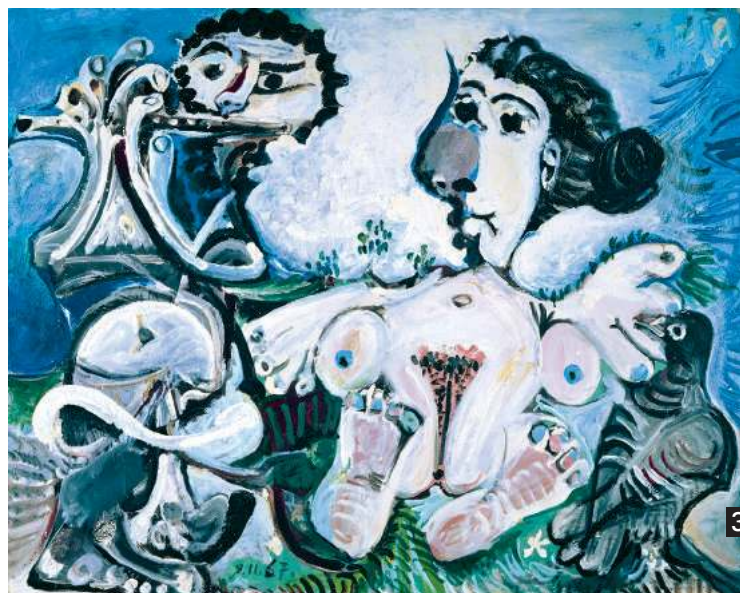
WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WPKPLPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Picasso w Wiedniu



Dokładnie pół wieku po śmierci Pabla Picassa muzeum Albertina upamiętniło jednego z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych artystów XX w. Na wystawie prezentowanych jest łącznie ponad 60 prac Picassa, w tym 18 obrazów ze zbiorów własnych wiedeńskiej placówki, a także rysunki, grafiki i ceramika. Reprezentują one kolejne fazy jego bogatej twórczości, od okresu błękitnego z początku wieku po późne dzieła, takie jak „Akt z ptakiem i flecistą” z 1967 r.



Muzeum Albertina
Wiedeń, Albertinaplatz 1
do 18 czerwca

1. Garnki i cytryna, 1907
2. Martwa natura z gitarą, 1942
3. Akt z ptakiem i flecistą, 1967
4. Śródziemnomorski krajobraz, 1952

HALEY
BENNETT

SAM
RILEY

MARISA
ABELA

ONA

JEST

MIŁOŚCIĄ

MIŁOŚĆ JEST CZUŁA, ZABAWNA, PIĘKNA,
NIESPRAWIEDLIWA, BOLESNA,
LEKKOMYŚLNA



W KINACH OD 28 KWIETNIA

 Dystrybucja w Polsce
www.galasagofilmu.pl



wysokieobcasy.pl



eprasa.pl a798e5220c

WIM WENDERS PRZEDSTAWIA

ROVING WOMAN

LENA GÓRA & JOHN HAWKES

REŻYSERIA MICHAŁ CHMIELEWSKI



AMOR VACUI FILMS WE WSPÓŁPRACY Z FWB STUDIO PREZENTUJĄ ROVING WOMAN FILM MICHAŁA CHMIELEWSKIEGO. W ROLACH GŁÓWNYCH LENA GÓRA, JOHN HAWKES, CHRIS HANLEY, BRIAN MCGUIRE, ED MATTUZZI, CRYSTAL RIVERS, LLOYD BEAR BADEAUX, NICK PILOT. PRODUCENT LENA GÓRA. PRODUCCENCI WYKONAWCZY WIM WENDERS, BRIAN WILLIAMS. KOPRODUCCENCI JOHN HAWKES, MARTA LEWANDOWSKA, ANNA LODEJ. WSPÓŁFINANSOWANIE POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ. SCENOGRAFIA MICHAŁ CHMIELEWSKI. KOSTYUMY PETER ALUDAN. MONTAŻ PRZEMYSŁAW CHRUSCIELEWSKI. DŹWIEK MARCIN LENAROZYK. MUZYKA TEONKI ROZYNEK. ZDJĘCIA ŁUKASZ DZIEDZIC. SCENARIUSZ LENA GÓRA I MICHAŁ CHMIELEWSKI. REŻYSERIA MICHAŁ CHMIELEWSKI.

W KINACH OD 21 KWIETNIA



wysokieobcasy.pl



eprasa.pl a798e5220c